

Płk Stanisław Kwiatkowski
Stali murem przed mundurem

Prof. Dariusz Jarosz
Polacy są chorzy na historię

Dlaczego lewica
przegrywa w sieci

Gaz i prąd – zapłacą ludzie,
rząd skorzysta

PEGASUS i królowie podsłuchów



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



ZACZNIJ DOBRZE NOWY ROK

KUP e-wydanie PRZEGLĄDU



**Prenumerata roczna
już za 99,90 zł + w prezencie e-book
„Kłamstwa o historii”**



ŚPIESZ SIĘ
Oferta ograniczona czasowo

sklep.tygodnikprzeglad.pl





Duda uczy się powolutku

Zapewniał rodaków, że cały czas się uczy. I proszę, minęło ledwie sześć lat prezydentury, a Andrzej Duda już wie, jaka jest hierarchia jego szefów. Dotąd bał się panicznie przede wszystkim prezesa Kaczyńskiego, ale zamieszanie wokół TVN uświadomiło mu, że są moce jeszcze groźniejsze od wicepremiera. Amerykanie, w kowbojskim stylu, sprowadzili Dudę na ziemię. Prezydent już wie, czego mu nie wolno. I kto może zablokować jego dążenia do zarabiania na chleb za granicą. Prezydentura przecież się skończy i co człowiek o tak skromnych kwalifikacjach może robić? Będzie próbował zaczeplić się w strukturach międzynarodowych, np. w którejś z agend ONZ. Pracuje już nad tym wysłany do Nowego Jorku Krzysztof Szczerski. Jednak bez wsparcia Amerykanów niczego intratnego dla siebie nie wyżebrzą. Wetując ustawę o TVN, Duda pokazał, że tylko tam, gdzie są bardzo zagrożone jego osobiste interesy, potrafi przeciwstawić się Kaczyńskiemu.

Ciągle uczący się Duda nie zdążył nauczyć się nawet podstaw polityki. A co dopiero jej skomplikowanej i wielowariantowej odmiany uprawianej przez zawodowców.

Polityka jest bardzo trudnym rzemiosłem, choć większość Polaków uważa, że to najłatwiejszy sposób, by samemu dorobić się majątku, a przy tym dobrze urządzić bliższą i dalszą rodzinę. Tak myśląca większość godzi się

z tym, że ma niewielki wpływ na bieg wydarzeń. Jest bierna i nie chce się wychylać.

Pytacie, dlaczego w Polsce jest tak, jak jest? No to spójrzmy na bierność, nawet w ważnych sprawach, i kunktatorstwo większości Polaków.

Rządzi PiS z przystawkami, a do powrotu szykuje się PO, która też chce zrobić z reszty opozycji przystawki. Twardzi zwolennicy obydwu obozów kierują się własnymi interesami. Jedni będą za wszelką cenę bronić dostępu do złotodajnego cycka, a drudzy, którym kończą się wcześniej zdobyte dobra, aż przebiegają nogami, by wrócić do dojenia ojczyzny. Gorzkie to słowa, ale nie mam złudzeń co do intencji większości naszej klasy politycznej.

Można oczywiście próbować wpływać na postawy zwolenników PiS. Ale najgorszą metodą są deklaracje, że po wyborach trzeba będzie skończyć z tym pisowskim rozdawnictwem. Utwierdzenie jednej trzeciej elektoratu w przekonaniu, że bez PiS grozi powrót do czasów, kiedy nie było dla tej części społeczeństwa pieniędzy, gwarantuje Kaczyńskiemu trzecią kadencję.

Jeśli opozycja, tylko nie wiem kto, nie zapewni wyborców PiS, że gwarantuje im utrzymanie obecnego socjału, to niech się nie dziwi, że żadna afery nie zmieni skali poparcia dla obecnej władzy.

BAKOWSKI



Najnowszy numer
ZDANIA (4/2021)

w WERSJI
ELEKTRONICZNEJ

15 zł
9 zł



sklep.tygodnikprzeglad.pl

CYTATY

KATARZYNA KLIMKIEWICZ,
reżyserka

*Zbyt długo myśleliśmy o PRL-u
jak o czymś wstydlwym.
„Twój Styl”*

OLIVER STONE,
amerykański reżyser

*Donald Trump był błędem, to menel,
egomaniak i człowiek niebezpieczny.
„Forum”, za „Süddeutsche Zeitung”*

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Pegasus i królowie podsłuchów**
Kogo podsłuchiwały służby
- 11 Pisowskie Watergate**
– rozmowa z Piotrem Niemczykiem
- 14 Na poczwórnym gazie**
Ludzie zapłacą, rząd skorzysta
- 16 Czapkowanie się skończyło**
Co z lotniskiem w Baranowie
- 19 Nieobojętne z ulicy Kamiennej**
Pomaganie we krwi
- 22 Świat faktów przestał istnieć**
– rozmowa z Jackiem Wasilewskim i Agatą Kostrzewą
- 26 Dziewuchy, aborcja, podatki i kult Korwina**
Lewica przegrywa w sieci

ZAGRANICA

- 30 Pracująca Ameryka mówi dość**
Korespondencja z USA
- 34 2021 – kanadyjski rok rekordów**
Korespondencja z Kanady
- 36 Chile sprząta po neoliberalach**
Nowy prezydent chce nowego kraju

OPINIE

- 38 Stanisław Kwiatkowski**
Stali murem przed mundurem

HISTORIA

- 41 Historia i Polacy: zapis uzależnienia**
Mniej polityki, więcej o życiu codziennym

KULTURA

- 44 Świata się nie opowie**
– rozmowa z Piotrem Cieplakiem
- 46 Moje życie zaczęło się od czajnika**
Projekty Lubomira Tomaszewskiego
- 49 Kulturalia**
- 66 My i psy, psy i my**

SPORT

- 50 Bajerant Paulo Sousa abdykuje**
Ucieczka portugalskiego selekcjonera

PSYCHOLOGIA

- 52 Wypaleni**
– rozmowa z Martą Jastrzębską-Kaczmarek

ZWIERZĘTA

- 56 Rozważania nad życiem rodzinnym**
Czego powinniśmy się uczyć od zwierząt

OBSERWACJE

- 58 Przeterminy**
– rozmowa z Katarzyną Bosacką

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Duda uczy się powołutku
- 13 Jan Widacki**
Po świętach
- 25 Andrzej Romanowski**
Chłopskie korzenie
- 29 Roman Kurkiewicz**
Ręce precz od czarownic!
- 33 Tomasz Jastrun**
Papier toaletowy
- 55 Wojciech Kuczek**
Niewczesny wędrowiec



52 PSYCHOLOGIA

WYPALENI

– rozmowa z Martą Jastrzębską-Kaczmarek

56 ZWIERZĘTA



ROZWAŻANIA NAD ŻYCIEM RODZINNYM

Czego powinniśmy się uczyć od zwierząt



58 OBSERWACJE

PRZETERMINY

– rozmowa
z Katarzyną Bosacką

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK, STANISŁAW KOWALCZUK/EAST NEWS,
STEFAN MASZEWSKI/REPORTER





Czynny chwalebne i haniebne

Szukanie swojej wartości w przynależności jest typowe dla jednostek z niską samooceną albo po prostu bezwartościowych.

Marcin Ruszczyk

Plagiaty w Biblii

Na tym ponoć polega intertekstualizm, stary jak wynalazek pisma, że do czytania mamy tylko same sequele, prequele, interquele, midquele, sidequele itd.

Maciej Cisto



Badania naukowe wskazują bezapelacyjnie, że większość opowieści z Biblii jest kopią mitów starożytnego Sumeru. Mit o potopie i inne, które są w Biblii, Żydzi przepisali od Sumeryjczyków. Mity sumeryjskie, w tym mit o potopie, zostały spisane dużo wcześniej niż hebrajska Księga Rodzaju.

Arkadiusz Haratym

Dowodzi to tylko, że ludzie ze sobą rozmawiali, słuchali innych i korzystali z ich dorobku religijnego. Ale także wskazuje, że było to plemię podporządkowane innym narodom, które kształtowały jego światopogląd. To bardzo ciekawe i dowodzi złożonej historii niewolnictwa tego plemienia i podporządkowania silniejszym i wpływowym. Jedno jest pewne – uczyli się od innych i mieszały z innymi. Ale z powodów nacjonalistycznych mają to, co mają.

Andrzej Technauta

„Wielcy artyści kradną” (Picasso). Autorzy biblijni są jak Szekspir – on niemal 100% swoich fabuł zaczerpnął z kronik i legend. W czym problem, skoro produkt, który stworzyli, jest

potrzebny? Biblia broni się sama, bo jest jedynym dziełem literackim tej klasy (no, może nie jedynym, ale arcyważnym), które porusza wielu ludzi. To, że religie mają te same motywy, wykonywane w tysiącu wariacji, gorszy mnie w takim samym stopniu jak to, że Chopin używał fortepianu, którego sam nie zbudował ani nie wynalazł.

Marcin Kozłowski

Miejsce powstania Biblii jest dość szczególne, bo mieszały się tam wszystkie kultury i religie. Ustne opowieści snuto od zawsze i zapewne dostosowywano do potrzeb. Nawet kult jednego Boga nie był wymysłem Hebrajczyków, za to rozwiązywał wiele problemów.

Dariusz Pawłowski

O zimowym dokarmianiu

Ubiegłej zimy, chodząc wokół osiedlowego stawku, zauważyłam, że podplwają za mną kaczki – czyli liczą na jakąś strawę. Kupiłam torbę łuskanego grochu z przekonaniem, że to pożywne, z dużą zawartością białka i im się spodoba. Rzeczywiście rzuciły się na skarpe, gdzie rozsypałam karmę. Ale natychmiast ogromny kaczor, pewnie ich przewodnik, zaczął dramatycznie wrzeszczeć i brutalnie dziobiąc w głowy, odpędził skutecznie całą gromadę. Co za egoista, pomyślałam, dla siebie chce wszystko zagarnąć. Myliłam się. Niczego nie tknął, tylko wybałuszył na mnie groźnie oczy i nastroszył pióra, tak że cofnęłam się kilka kroków, nie rozumiejąc, o co chodzi. A jak czegoś nie wiem – to do internetu. A tu wyraźne wskazania: żadnych suchych strączkowych nasion NIE WOLNO DAWAĆ PTAKOM, BO PĘCZNIEJĄ I ROZSADZAJĄ JELITA. Kaczor to wiedział, ja nie. Ja mam dyplom dobrego uniwersytetu, on nie rozpoczął nawet zerówki. Parę ciekawych wniosków można dalej z tego wysnuć...

TM

ZDJĘCIE TYGODNIA



Wszyscy na testy. W Chinach ruszyły masowe testy na covid. Jishan, prowincja Shanxi, 29 grudnia 2021 r.



PYTANIE TYGODNIA

Czego najbardziej powinni się obawiać Polacy w 2022 r.?

**PROF. KRYSZYNA
BIEŃKOWSKA-SZEWCZYK,**
wirusolożka, Uniwersytet Gdański

Niepokój musi budzić nasze zdrowie, gdy wiemy, jak wyglądają opieka szpitalna i możliwości uzyskania odpowiedniej pomocy, nie tylko w przypadku COVID-19. Moją podstawową obawą będzie zdrowie dzieci. Widzę, jak wiele infekcji przynosi z przedszkola mój trzyletni wnuk, i zdaję sobie sprawę, jak trudno diagnozować najmłodszych i organizować nad nimi opiekę. Niestety, jeżeli chodzi o koronawirusa, to statystyki pokazują, że dzieci do piątego roku życia zakażają się nawet pięciokrotnie częściej niż w poprzednich falach epidemii. A w odniesieniu do nich możliwości działania są niewielkie, bo nie możemy ich szczepić. Również leków, które już są na horyzoncie, przypuszczalnie nie będzie można stosować dla tej grupy wiekowej.

PIOTR KUCZYŃSKI,
*ekonomista,
analityk rynków finansowych Xelion*

Na całym świecie ekonomiści i analitycy najbardziej boją się wystąpienia

stagflacji, czyli połączenia stagnacji gospodarczej oraz wysokiej inflacji, więc teoretycznie powinna to być także największa obawa polskiego społeczeństwa. Niestety, Polacy nie są dobrze wykształceni ekonomicznie, dlatego na pewno boją się przede wszystkim tego, co odczuwają już teraz, czyli inflacji. I rzeczywiście, myślę, że w pierwszej części nowego roku będzie ich trapiła, choćby z tego powodu, że Polski Ład nałoży na część usługodawców większe składki zdrowotne, co musi się przełożyć na wzrost cen. Zakładam, że w drugiej części roku inflacja będzie zdecydowanie niższa, za to nadejdzie spowolnienie gospodarcze, które może się odbić na rynku pracy. Zawsze twierdzę jednak, że wszelkie prognozy są po to, aby je zmieniać, a nie po to, żeby przeciwdziałać spełnieniu niepożądanych scenariuszy.

SŁAWEK BRZÓZEK,
*ekspert w zakresie
zrównoważonego rozwoju*

Jeżeli chodzi o środowisko, to jest wiele rzeczy, których powinniśmy się bać: rozpadnięcia się ekosystemów wskutek

ingerencji człowieka, tego, co przyniosą zmiany klimatu itd. Wolałbym jednak nam wszystkim życzyć, żebyśmy nie tyle się bali, ile potrafili poradzić sobie z tymi problemami. Życzymy więc sobie, aby nasi ustawodawcy potrafili wprowadzić prawo, które pomoże nam uporać się z odpadami, produkcją czystej energii, zanieczyszczeniem ekosystemów wodnych oraz innymi wyzwaniami ekologicznymi. Trzymajmy też kciuki za nauczycieli i edukatorów, którzy przekazują społeczeństwu wiedzę o środowisku i o tym, jak na nie wpływamy. I wreszcie życzymy sobie, aby każdy z nas miał dość odwagi, by reagować na niszczenie środowiska przez sąsiada, członka rodziny, firmę, w której pracujemy, czy przez nasze państwo.

Czytelnicy PRZEGLĄDU
EWA CHAK

Nowych pomysłów ministra edukacji.

ROBERT KISIEL

Obserwując codzienne zachowania rodaków, powiem krótko: Polacy powinni obawiać się samych siebie.



Robert Walenciak

PEGASUS

i królowie podsłuchów

Kogo jeszcze podsłuchiwali? Czy znajdą się skruszeni, którzy wszystko ujawnią?

Kanadyjczycy czy Amerykanie? A może jedni i drudzy? Kto sygnął polskie służby? Bo informacje o tej aferze przyszły z zewnątrz... Działająca przy Uniwersytecie w Toronto grupa Citizen Lab podała nazwiska trzech osób z Polski, które były inwigilowane za pomocą izraelskiego systemu Pegasus. Czy to wierzchołek góry lodowej? Czy będą następne nazwiska? Czy władza zbiera na Polaków haki? Jak przed tym się bronić? Czy sprawa zostanie wyjaśniona? Pytań jest więcej niż odpowiedzi.

Zacznijmy od nazwisk: Krzysztof Brejza, Roman Giertych, Ewa Wrzosek. To oni byli inwigilowani przy użyciu Pegasus. Oprogramowanie to, opracowane przez izraelską spółkę NSO Group, uważane jest za najskuteczniejsze na świecie (szczegóły w rozmowie z Piotrem Niemczykiem – s. 11). Jest to broń skierowana przeciwko grupom terrorystycznym. Za pomocą Pegasusu służby mogą wkraść się do telefonu inwigilowanej osoby. Do poczty, SMS-ów, zdjęć, filmików, listy kontaktów, billingów, zainstalowanych aplikacji, czyli także do kont bankowych.

Do telefonu Krzysztofa Brejzy włamywano się aż 33 razy, do telefonu Romana Giertycha – 18 razy, do telefonu prokurator Ewy Wrzosek – sześć.

Poza tym zainfekowany telefon służyć może jako mikrofon i do podglądania osoby inwigilowanej i jej otoczenia poprzez kamerę. Wszystko ma się jak na dłoni, i to 24 godziny na dobę.

W Polsce po raz pierwszy opinia publiczna dowiedziała się o Pegasusie kilka lat temu, gdy rozeszła się wieść, że system zakupiło CBA. Ale po gwałtownych zaprzeczeniach sprawa rozeszła się po kościach. Bo jak sprawdzić pogłoskę?

Czuje się fatalnie...

Teraz wiemy już dużo więcej. Ewa Wrzosek najpierw pod koniec listopada otrzymała informację od Apple'a, że jej iPhone był przedmiotem ataku. A potem Citizen Lab potwierdziło,

że była inwigilowana Pegasusem. O sprawie doniosła amerykańska agencja prasowa Associated Press.

O prokurator Ewie Wrzosek, działającej w niezależnym stowarzyszeniu prokuratorów Lex Super Omnia, usłyszeliśmy, gdy wszczęła śledztwo w sprawie organizacji tzw. wyborów kopertowych w 2020 r. Po kilku godzinach śledztwo zostało jej odebrane i umorzone, a jej samej postawiono zarzuty dyscyplinarne oraz wszczęto sprawę karną o rzekome przekroczenie uprawnień.

Citizen Lab przekazał, że do jej telefonu system Pegasus włamywał się sześć razy, od czerwca do sierpnia 2021 r. „Za każdym razem był to agresywny atak, podczas którego pobrane zostały potężne pakiety danych. Ktoś miał moje życie podane na talerzu, to jest przerażające. Przecież telefon jest z nami wszędzie. W pracy, gdzie prowadzę postępowania objęte tajemnicą. W domu, w sypialni...”, mówiła mediom prokurator Wrzosek. Zastanawiała się przy tym, czy stosując przeciwko niej Pegasus, służby prowadziły jakieś konkretne śledztwo i czy miały zgodę sądu.

Z kolei telefon Romana Giertycha, jak poinformowali specjaliści z Citizen Lab, był atakowany 18 razy w 2019 r. Jak twierdzi sam poszkodowany, nagrywano jego rozmowy telefoniczne,

a także, wykorzystując mikrofon i kamerę, te rozmowy, które prowadził, mając przy sobie smartfona. „Dzień po dniu, godzina po godzinie rząd PiS chciał wiedzieć, co robię” – to słowa Giertycha z filmiku zamieszczonego na YouTube.

Po co? Zdaniem Giertycha politycy PiS obawiali się taśmy z Jarosławem Kaczyńskim i Geraldem Birgfellnerem albo nagrań z afery podkarpackiej, z którymi się zetknął, reprezentując rodzinę zmarłego Dawida Kosteckiego.

A na jakiej podstawie prawnej włamywano się do jego smartfona? Tłumaczą to media związane z PiS. Otóż prokuratura w Lublinie prowadzi śledztwo w związku z przywłaszczeniem 72 mln zł na szkodę giełdowej spółki Polnord. Pojawia się tam nazwisko Giertycha, zresztą był on już w tej sprawie zatrzymany. Śledczy zamierzają postawić mu dodatkowe zarzuty prania brudnych pieniędzy i wyrządzenia spółce szkody w wysokości 4,5 mln zł pod pozorem umowy na reprezentowanie przed NSA.

Mamy więc jak na dłoni mechanizm podsłuchu – prokuratura i służby specjalne stawiają wrogowi PiS jakiś zarzut i jest podkładka, by jak najbardziej legalnie prowadzić przeciwko niemu działania.

Przysłuchiwali się naradom sztabu

Podobnie działo się w przypadku obecnego senatora Koalicji Obywatelskiej Krzysztofa Brejzy. Według Citizen Lab do telefonu Brejzy od 26 kwietnia 2019 r. do 23 października



Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik byli oskarżeni w sprawie tzw. afery gruntowej, wymierzonej przeciwko wicepremierowi Andrzejowi Lepperowi. Warszawa, 12 czerwca 2012 r.

2019 r. włamywano się aż 33 razy! W tym czasie był on szefem kampanii wyborczej Koalicji Obywatelskiej. A wybory (do Sejmu i Senatu) odbyły się 13 października 2019 r.

Jaka była podstawa prawna, by założyć Brejzie podsłuch? Możemy tylko się domyślać, że chodziło o tzw. aferę fakturową w ratuszu w Inowrocławiu. Z kasy miasta poprzez wydziały promocji, kultury i komunikacji społecznej miało zostać wyprowadzone do zaprzyjaźnionych biznesmenów 200 tys. zł. Jednym z pomysłodawców proceduru rzekomo był Krzysztof Brejza, syn prezydenta miasta.

Rzecz jednak w tym, że śledztwo toczy się od 2017 r., a Brejzie nie postawiono żadnego zarzutu. Sprawa żyje w pisowskich mediach i służy do atakowania senatora. A jak widzimy teraz, służyła również do tego, żeby go inwigilować. Efektem tych działań było wykradzenie z telefonu Brejzy SMS-ów z roku 2014! To one, skompilowane, fałszowane, prezentowane były na antenie TVP Info.

No i przede wszystkim podsłuch dawał wiedzę o planach sztabu wyborczego KO. Ci, którzy zainfekowali telefon Brejzy Pegasusem, mogli czytać jego SMS-y i pocztę, podsłuchiwać rozmowy telefoniczne, przysłuchiwać się naradom w sztabie. Na bieżąco w nich uczestniczyć.

„W kampanii wyborczej ludzie PiS byli o krok za nami. Tam, gdzie jeździliśmy, tam oni bardzo szybko się pojawiali – mówił Brejza. – Dlatego uważam, że ta sprawa powinna być wyjaśniona przez co najmniej komisję śledczą, ponieważ wpłynęła na przebieg, wolność i uczciwość wyborów”.

Dorota Brejza, pełnomocniczka senatora, a prywatnie jego żona, także jest zwolenniczką wyjaśnienia sprawy do końca. „Zostaliśmy bezprawnie odarci z intymności, z prywatności, z naszych konstytucyjnych praw. Ja im tego po prostu nie odpuszczę. Winni poniosą odpowiedzialność”, zapowiedziała w rozmowie z portalem NaTemat. Przypomniła przy tym, że nawet ustawa o CBA, która pozwala na wiele rzeczy w ramach kontroli operacyjnej, nie pozwala na używanie Pegasusa.

Ustawa także nakazuje zniszczenie zebranych materiałów, jeśli w trakcie czynności śledczych okazało się, że danej osobie nie można postawić zarzutów. „W przypadku mojego męża, który nie popełnił żadnego przestępstwa, nie tylko nie zniszczono zgromadzonych materiałów, ale fałszowane SMS-y, posklejane, z podpisowanymi treściami, trafiły na antenę TVP – podkreśliła Dorota Brejza. – Młócono je przez całą kampanię

wyborczą. To pokazuje, jak bardzo TVP jest zblatowana ze służbami”.

Recydywa 2021

Mamy oto mechanizm wykorzystywania służb specjalnych do gry o władzę, do niszczenia niewygodnych ludzi. I to taki mechanizm, który opisywał jeszcze Karol Modzelewski – że za posłusznym prokuratorem idzie usłużny dziennikarz.

Mamy też sytuację swoistej patologii – gdyż szef MSWiA Mariusz Kamiński i jego zastępca Maciej Wąsik co najmniej dwukrotnie byli oskarżani o wykorzystywanie tajnych służb w walce z przeciwnikami politycznymi. Pisaliśmy o tym w PRZEGŁĄDZIE, więc tylko parę zdań przypomnienia. I Kamiński, i Wąsik zostali oskarżeni w sprawie tzw. afery gruntowej, wymierzonej przeciwko wicepremierowi Andrzejowi Lepperowi. Prokurator stawiał im, jako szefom CBA, zarzuty m.in. przekroczenia uprawnień i popełnienia przestępstw przeciwko wiarygodności dokumentów. W 2015 r. sąd skazał ich na karę więzienia (trzy lata), ale prezydent Andrzej Duda, zanim wyrok się uprawomocnił, ułaskawił obydwa.

Drugi przypadek dotyczy tzw. willi Kwaśniewskich w Kazimierzu nad Wisłą. W operacji o kryptonimie

► „Krystyna” Tomasz Kaczmarek, czyli agent Tomek, miał kupić tę willę w przekonaniu, że należy do Kwaśniewskich. Operacja się nie udała. Prokuratura zarzuciła Kamińskiemu fałszowanie materiałów śledztwa, naginanie faktów i wytudzanie podsłuchów. Ale do sądu sprawa nie trafiła, bo Sejm nie zgodził się na uchylenie posłowi PiS immunitetu. *Postscriptum* dopisał w grudniu 2019 r. agent Tomek, zeznając, że w latach 2007-2009 szefowie CBA Mariusz Kamiński i Maciej Wąsik nakłaniali go do fałszowania notatek z operacji „Krystyna”, tak by uprawdopodobnić winę Kwaśniewskich, mimo że nie było żadnych jej dowodów. Tomasz

Wąsik przysłuchiwał się rozmowom na sprzęcie zamontowanym w swoim gabinecie. Sam zresztą nie ukrywał, że „korzystał ze stanowiska podsłuchowego”. Ale nikomu nie przyszło do głowy, że w takiej skali.

Wróćmy więc do wcześniej postawionego pytania: kogo jeszcze mogli podsłuchiwać Kamiński i Wąsik? Na razie jesteśmy skazani na łaskę Citizen Lab... Ale możemy zakładać, że szefowie MSWiA podsłuchiwali każdego, kogo politycznie się opłacało. Nie tylko polityków opozycji, szefów sztabów wyborczych, ale również „swoich”. Bo wiedza na temat ludzi PiS niewątpliwie ułatwiała i ułatwia kierowanie tak dużym gremium, w dodatku skonfliktowanym.

Jest o tym przekonany Grzegorz Schetyna, były szef MSWiA. „Wydaje mi się, że następne dni będą przynosić nam kolejne konkretne nazwiska, telefony, hakowania, wchodzenia na skrzynki, używania programu Pegasus”, komentuje sytuację.

Niezależnie jednak od tego, jak ta historia się potoczy, jest już o niej za głośno, by spuszczać na nią zasłonę milczenia. Szczegóły zostaną wywleczone – albo w sejmowej komisji śledczej, albo gdy w Polsce zmieni się władza. Wtedy będzie można zrekonstruować ten mechanizm. Przede wszystkim trzeba będzie znaleźć komórkę, która odpowiadała za inwigilowanie Brejzy, Giertycha, Wrzosek i innych wrogów PiS.

Trudno przecież przypuszczać, by takie sprawy prowadzili przypadkowi funkcjonariusze, a Departamentu III już przecież nie ma. W III RP z tą „ułomnością” radzono sobie rozmaicie. Za czasów Andrzeja Milczanowskiego funkcjonował w strukturach Gabinetu Ministra zespół płk. Jana Lesiaka, który inwigilował m.in. Kaczyńskiego. Kamiński i Wąsik, jak wynika z zeznań Tomasza Kaczmarka, preferowali trochę inny system – agenta prowadzącego tajną operację. Ale taka operacja musi mieć dowódcę. Jakiś prokurator (kłania się Zbigniew Ziobro) musi prowadzić akta sprawy i pisać do sądu wnioski o zezwolenie na założenie podsłuchu. Ktoś musi pozyskiwane informacje sortować i analizować.

W „odzyskanych” służbach trzeba więc będzie szukać różnych ciał, zapewne dobrze poukrywanych pod niewiele mówiącymi nazwami. Tropem – jak podpowiadają fachowcy – powinny być pieniądze. Za „brudną robotę” dobrze się płaci, znacznie powyżej resortowej średniej. Podpowiadamy przyszłym szefom MSWiA – jeżeli odkryją komórkę, w której ludzie zarabiają niestandardowo dużo, to będą blisko.

Zresztą bardziej prawdopodobne jest, że znajdą się skruszeni funkcjonariusze, którzy wszystko ujawnią. Nie bez powodu Donald Tusk mówi w wystąpieniach o oficerach służb i skruszonych postach PiS, którzy rozmawiają z liderami opozycji. Może rozmawiają, może te słowa to tylko zachęta i rzucone we wraże szeregi ziarno niepewności.

Tego nie wiemy. Za to wiemy, że przed szefami PiS i pisowskich służb ciężkie dni. Muszą to wszystko załatwić. Bo kryzys podsłuchowy może być większy, niż im się dziś wydaje.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl



Możemy zakładać, że szefowie MSWiA podsłuchiwali nie tylko polityków opozycji, ale również „swoich”, z PiS.

Kaczmarek powtórzył później te słowa w „Superwizjerze” TVN.

Można rzec, że mamy do czynienia z recydywą. Z ludźmi, którzy bez jakichkolwiek zahamowań nasyłają na przeciwników agentów i preparują obciążające materiały. Ale czy tylko na przeciwników?

Podsłuchiwał wszystko. Na bieżąco

To jest kluczowa sprawa – trudno bowiem uwierzyć, że Pegasus używany był jedynie przeciw Brejzie, Giertychowi i prokurator Wrzosek. Można w ciemno zakładać, że Kamiński i Wąsik, mając tak poręczne urządzenie, skwapliwie z niego korzystają.

W roku 2011 światło dzienne ujrzała informacja (podał ją postom ówczesny szef CBA Paweł Wojtunik), że Maciej Wąsik, kiedy był zastępcą szefa CBA (od 4 sierpnia 2006 r. do 13 października 2009 r.), podsłuchiwał różne osoby ponad 6,2 tys. razy!

A kolejne nazwiska będą przynosić kolejne napięcia. Zwłaszcza że PiS jak dotąd nie za bardzo wie, jak się zachować. Liderzy idą w tzw. nieświadomość. O tym, że o Pegasusie nic nie słyszał, mówił już premier Morawiecki. Niewiedzę zadeklarował także wicepremier Kaczyński. A prezydent Duda powiedział, że on wprawdzie nigdy o podsłuchiwanie Pegasusem nie słyszał, ale „jeżeli takie pojawiają się twierdzenia, to sprawa wymaga wyjaśnienia. Jest chociażby w Sejmie komisja ds. służb specjalnych, która w pierwszej kolejności mogłaby się tym zająć”.

W poszukiwaniu Lesiaka IV RP

Czy Sejm tym się zajmie? Czy wniosek o powołanie komisji śledczej mógłby poprzeć np. Paweł Kukiz?

Wszystko rozstrzygnie się zapewne w najbliższych dniach. Czy będą publikowane nowe nazwiska inwigilowanych, czy też sprawa przyschnie?

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Czym jest program Pegasus, który polskim służbom specjalnym pozwolił podsłuchiwać m.in. senatora opozycji Krzysztofa Breję, niepokorną prokurator Ewę Wrzosek czy adwokata Donalda Tuska, byłego ministra rządu PiS, Romana Giertycha?

– Pegasus jest systemem inwigilacyjnym stworzonym i sprzedawanym przez powstałą w 2010 r. izraelską firmę informatyczną NSO Group z siedzibą w mieście Herclija. Założycielami firmy są byli pracownicy Jednostki 8200 Izraelskiego Korpusu Wywiadowczego. System ten składa się z kilku elementów. Informatycy wyszukują luki w oprogramowaniu nowo powstających urządzeń telekomunikacyjnych, po to by w niezauważalny sposób „przejść urządzenie” – smartfon, tablet, laptop, komputer. Luki, o których nie wie sam producent sprzętu, nazywane są *zero-day*. Dzięki ich wykorzystaniu można uzyskać pełen dostęp do np. konkretnego smartfona, po pierwsze – bez śladu, a po drugie – bez konieczności jakiegokolwiek aktywności jego posiadacza (kliknięcia np. w podejrzany link, otworzenia przesłanego zdjęcia itd.).

Nie znamy oczywiście szczegółowych specyfikacji innych tego typu systemów inwigilacyjno-przechwytyjących (a jest ich sporo), ale owa nieinwazyjna, bezśladowa zdolność działania Pegasusa ewidentnie odróżnia go od podobnych rozwiązań poprzedniej generacji. Do tego towarzyszy

Ktoś, kto posiada licencję na Pegasusa, ma pełną kontrolę nad wszystkimi funkcjami i możliwościami wybranego urządzenia elektronicznego.

temu programowi cały pakiet dodatkowych funkcji: rejestracja, zapisywanie rozmów i SMS-ów, możliwość sięgania do pamięci telefonu, wyszukiwania i reagowania na słowa klucze. Wejście w oprogramowanie urządzenia pozwala też na ominięcie systemów szyfrowania wiadomości podczas ich przesyłu np. przez aplikację Signal, WhatsApp, Telegram. Pegasus „widzi” te treści, zanim zostaną zaszyfrowane. Działa zatem w czasie rzeczywistym, jak również może

Pisowskie Watergate

Pegasus to raczej system inwigilacji totalnej niż urządzenie czysto podsłuchowe



PIOTR NIEMCZYK

– działacz opozycji w PRL, ekspert z zakresu bezpieczeństwa, w latach 1993-1994 zastępca dyrektora Zarządu Wywiadu UOP, stały doradca sejmowej Komisji ds. Służb Specjalnych.

gromadzić bez ograniczeń wszystkie dane z takiego urządzenia, zapisywać je i przechowywać „na kiedyś, na później, na zawsze”. Oprócz słów kluczy coraz częściej Pegasus ma możliwość analizowania i wyłapywania związków frazeologicznych, zbitek słów, które mogą nieść np. zaszyfrowane, zawołane znaczenia.

Na czarnym rynku istnieją podobne systemy inwigilacyjne (zdarzało się, że policje i służby specjalne różnych państw, zatrzymując przestępców, odnajdowały w ich smartfonach bardzo nowoczesne systemy komunikacyjno-kryptograficzno-inwigilacyjne), ale Pegasus jest bardziej zaawansowany.

obejmuje konkretną liczbę urządzeń do objęcia nadzorem. Obecnie jest na tej liście 37 państw (a było ponad 100) – podczas ostatniej redukcji wypadły z niej m.in. Polska i Węgry. Oficjalnie kryteria są powiązane z oceną praworządności i ochrony praw człowieka w każdym kraju. Faktycznie dochodzi tu jeszcze dość uznaniowy czynnik polityczny, którego kluczowym elementem jest ocena możliwości zagrożenia dla Izraela i USA.

Czyli raczej czynnik polityczny jest decydujący?

– Rzeczywistym powodem ograniczenia liczby krajów, które mogą korzystać z systemu, był konflikt USA z Izraelem. Powodem gniewu Amerykanów nie było bynajmniej ujawnienie faktu „spegasusowania” telefonów obrońców praw człowieka w Maroku czy Egipcie lub żony ważnego szejka z Arabii Saudyjskiej, tu zaważyło stwierdzenie użycia Pegasusa do zhakowania telefonów kilkunastu wysokich rangą urzędników amerykańskiego Departamentu Stanu. W konsekwencji Departament Handlu USA nałożył embargo na produkty NSO Group. Oznaczało to nie tylko zakaz zakupów produktów NSO Group w USA, ale także niemożność zakupów przez Izraelczyków technologii amerykańskich. Widać wyraźnie, że prawa człowieka są raczej listkiem figowym przy podejmowaniu decyzji. **To znaczy, że Izraelczycy przegięli, a ministrowie Kamiński i Wąsik**

Kto może się posługiwać tym systemem?

– NSO Group, twórca Pegasusa, żeby sprzedać go jakiegokolwiek instytucji lub firmie, musi mieć akceptację którejś z kluczowych instytucji wojskowo-wywiadowczych Izraela. Literalnie jest tak, że Ministerstwo Obrony Izraela ustala oficjalną, jawną listę państw (rządów), które spełniają warunki do ewentualnej sprzedaży im usług Pegasusa. Odbyna się to zresztą na zasadzie czasowej licencji, która

► **stracili cenny, niebezpieczny w ich rękach instrument inwigilacyjny, który miał nie zostawiać śladu?**

– Tak. Gdyby nie embargo amerykańskie, Ministerstwo Obrony Izraela nie skróciłoby listy państw dopuszczonych do stosowania Pegasusa z ponad 100 do przywołanych 37. Zresztą Pegasusa nie kupują wyłącznie instytucje rządowe. Często robią to firmy prywatne mające rządową „autoryzację”, widać tu duże podobieństwo do mechanizmów znanych z handlu bronią. Rządy mają wpływ,

wielofunkcyjne urządzenia rejestrująco-inwigilujące, które mogą też spełniać funkcje komunikacyjne. Działają nawet wtedy, kiedy telefon jest wyłączony, bo działa mikrofon, który może nagrywać i zapisywać, może być włączona kamera. Jawne stają się wiadomości SMS, wiadomości ze zwykłych komunikatorów, takich jak Messenger, oraz tych szyfrowanych (np. WhatsApp czy Signal), zdjęcia i filmy, lokalizacja GPS, lista kontaktów, kalendarz, historia z przeglądarki.

Kto realnie kontroluje takie zdobycze inwigilacyjne?

– Wygląda na to, że przy zakupie w takim pakiecie, w jaki zaopatrzyły się polskie służby, robią to izraelscy operatorzy programu i następnie przekazują rezultaty „klientowi”, w tym wypadku ma on nazwę „orzel-bialy”, ale pracuje na potrzeby najpewniej CBA, rodzimej służby PiS.

To jest jeszcze jeden bardzo ciekawy wątek tej afery. Jeśli nie tylko polskie służby miały dostęp do zgromadzonych informacji, oznaczałoby to, że dopuszczono sposób działania całkowicie niezgodny z pragmatyką służb i z polskim prawem. Tu prawo jest jasne: nikt, kto nie ma prawnej, instytucjonalnej konieczności wchodzenia w posiadanie takich informacji, ściśle tajnych, nie ma prawa mieć do nich dostępu. Oczywiście zdarza się, że służby różnych krajów prowadzą wspólne działania przeciw grupom przestępczym, terrorystycznym. Taka współpraca jest ściśle regulowana przepisami prawa. Nie sposób sobie wyobrazić, że istnieje takie formalne, systemowe uregulowanie inwigilacji polskiego parlamentarzysty, szefa sztabu wyborczego opozycyjnej partii. Dopuszczenie obcej służby do takiego pakietu informacji jest nie tylko idiotyzmem, jest przestępstwem.

To koniec takiej możliwości działań?

– Zawieszenie licencji na Pegasusa dla Polski nie oznacza, że polskie służby nie będą nadal korzystać z podobnych narzędzi. Już wiadomo o dystrybuowanym przez izraelską firmę Cytrox, zarejestrowaną w Macedonii Północnej, niemal identycznym systemie inwigilacyjnym Predator.

Roman Kurkiewicz

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Najprawdopodobniej nie tylko polskie służby miały dostęp do zgromadzonych informacji, ale też Izraelczycy.

kontrolę i decyzyjność, ale na co dzień zajmują się tym prywatne firmy. W Polsce też Izraelczycy sprzedali oprogramowanie nie bezpośrednio CBA, tylko jakiemuś operatorowi pracującemu dla służb. Ten zabieg ma na celu m.in. odsunięcie od siebie bezpośredniej odpowiedzialności za nielegalne działania. Lojalność takich pośredników, czyli niewykorzystywanie możliwości takiego systemu np. do prywatnych zleceń, wcale nie jest oczywista. Możemy się domyślać, że mieszają się tu interesy państwa, służb specjalnych i prywatnych zamierzeń. Nie wiadomo, czy kiedykolwiek tego się dowiemy.

Jak to działa praktycznie? Inwigilowany odkłada na biurko wyłączony telefon, a ten nadal słucha, rejestruje, pracuje kamera?

– Owszem, bo Pegasus korzysta z inwigilacyjnych możliwości np. smartfona bez wiedzy i świadomości jego właściciela/ki. Tak zresztą czasami nazywa się współczesne telefony:

Ktoś, kto posiada licencję na Pegasusa, ma pełną kontrolę nad wszystkimi funkcjami i możliwościami wybranego urządzenia elektronicznego. Ta rejestracja może dotyczyć wszystkich rozmów, na dowolny temat, nie tylko na taki, który został zidentyfikowany jako przestępczy, podejrzany. I zostaje w banku danych do wykorzystania. Tak właśnie wyglądało pozyskanie SMS-ów Krzysztofa Brejzy, wykorzystanych, spreparowanych i użytych potem przez Samuela Pereirę w materiałach propagandowych TVP Info.

Senator Brejza mógł się domyślać, że jego telefon może być poddany jakimś działaniom służb, w końcu był członkiem parlamentarnej grupy ds. służb specjalnych. Zwróćmy uwagę, że do medialnego ataku na niego wykorzystano rozmowy (a właściwie spreparowane SMS-y, wymieszane z wypowiedziami innych osób) pochodzące z 2014 r., zanim został on szefem kampanii wyborczej Platformy Obywatelskiej.

23 grudnia 2021 r. odeszła

Maria Berny

nestorka Lewicy, wrocławianka
urodzona na Wołyniu,
nauczycielka, publicystka,
działaczka społeczna
Przez dwie kadencje (1993-1997
i 2001-2005) senator RP

Cześć Jej pamięci!

Przyjaciele z Senatu V kadencji

Odeszła

Maria Berny

Wołyńianka rzucona przez wiry historii na Dolny Śląsk
Kochała Kresy, Wrocław i ludzi
Szła przez życie z lewicą w sercu
Jako senatorka i społeczniczka zrobiła tak wiele,
że pamięć o niej będzie trwać

Żegnamy naszą Autorkę i Przyjaciółkę „Przeglądu”

*Jerzy Domański
i zespół*

Z Galicji



Jan Widacki

Ale się dzieje! Przez całe święta w telewizji, internecie, przy wielu rodzinnych stołach dyskusje o lex TVN. I o tym, co zrobi prezydent. Podpisze? Zawetuje? Skieruje do Trybunału Julii Przyłębskiej? W noc wigilijną kilku biskupów wreszcie w kazaniach na pasterce delikatnie dawało do zrozumienia, że dziś Betlejem być może jest gdzieś w lasach przy granicy białoruskiej. Jeden abp Jędraszewski pozostał nieugięty i wierny swoim poglądom. Przyjechał do Ludźmierza odprawić pasterkę góralom. Przy okazji wygłosił kazanie. Generalnie było o tym, że niedobra Unia chce nas pozbawić Boga. Szczuł więc na Unię i tych, którzy ją popierają. Nawet w noc wigilijną nie przemówił ludzkim głosem! Dręczony obsesjami „tęczowej zarazy”, gender, aborcji razem z in vitro i bezbożnej Unii, nie zdaje sobie sprawy, że swoim działaniem, swoją paplaniną, nienawistnym szczuciem, brakiem empatii dla potrzebujących, kostyczny i nadęty, oddala młode pokolenie od Kościoła o wiele skuteczniej, niż byłaby to w stanie zrobić Unia opanowana przez liberalną lewicę.

Tymczasem młode pokolenie, niekiedy nawet o tym nie wiedząc, uprawia chrześcijaństwo poza Kościołem. Ot, choćby taki przykład. Wolontariuszki Fundacji Wolno Nam zrealizowały

organizacji pozarządowych. Ludzi dobrej woli nie brakuje. Wystarczy wskazać problem i pozwolić działać.

Te osobiste spotkania krakowskie pokazały też małe dramaty poszczególnych dzieci. Na przykład Amiry. Uczy się fryzjerstwa w szkole zawodowej, choć jej marzeniem były studia. Nie dostała się do liceum, bo miała za słabe stopnie. A stopnie miała słabe, bo uczyła się częściowo u siebie w kraju, częściowo w Polsce. W Polsce została finalistką olimpiady języka rosyjskiego, ale z matematyki była słaba. I nici z marzeń. Będzie fryzjerką!

Można było się dowiedzieć, jak obcych przyjmują Polacy w małych miasteczkach. Rozpiętość postaw jest ogromna. Od nauczycielek siłaczek, które bez wynagrodzenia potrafią po godzinach uczyć czeczeńskie dzieci polskiego i pomagać im w nauce, po małych głupoli nacjonalistów. Jeden taki stanął przed kilkunastolatką w hidżabie i krzyknął jej w twarz: „Polska dla Polaków!”. Na szczęście świadkiem sceny była nauczycielka, niepodzielająca patriotycznych uniesień małego narodowca. Zwróciła mu uwagę, że dziewczynka, choć w hidżabie, ma większy zasób polskich słów od niego i prędzej zasługuje na miano Polki niż on.

Po świętach

program pod hasłem „Zaprosz Wędrowca do Stołu”. Wynajęły autobus, sprowadziły na święta do Krakowa 26 osób z ośrodka dla uchodźców w Łukowie, rozdzieliły po rodzinach. Tak to imigranci z Czeczenii i Afganistanu, od kilku lat czekający na wyjaśnienie swojego statusu i prawo osiedlenia się w Polsce, spędzili Wigilię w krakowskich rodzinach, zobaczyli Kraków, a w pierwszy dzień świąt wspólnie z opiekunami zasiedli przy świątecznym stole w Centrum Sztuki Współczesnej „Wiewiórka”. Po raz pierwszy poczuł się wędrowcami, którzy znaleźli gościnę, życzliwość, zostali potraktowani jak ludzie, nie jak natręci. Dla gospodarzy w wielu wypadkach pusty talerz przy wigilijnym stole po raz pierwszy nie był czymś abstrakcyjnym.

Tak jak goście poznali polskie zwyczaje, zobaczyli polskie święta, tak i gospodarze dowiedzieli się o sprawach, o których na ogół nie mieli pojęcia. Na przykład o tym, że nasze procedury wobec uchodźców trwają latami, że czasem po kilku latach pobytu w Polsce, gdy dziecko z Czeczenii lub Afganistanu nauczy się już polskiego, skończy parę klas polskiej szkoły i znajdzie tu przyjaciół, bezduszną decyzją urzędnika zostaje wraz z rodzicami wydalone. Czy ktoś czuje tragedię tych dzieci? Tak nasze państwo zabiera tym dzieciom dzieciństwo. A gdy ktoś ma to szczęście i dostaje zgodę na pobyt w Polsce, opuszcza ośrodek po kilku latach, trafiając w społeczną pustkę. Zostawiany jest sam sobie. Musi znaleźć mieszkanie, pracę, szkołę dla dzieci... Co prawda, w ośrodku uchodźcy są przygotowywani do życia w polskim społeczeństwie. W ramach tych przygotowań państwo oferuje im naukę języka polskiego w wymiarze... godziny tygodniowo. Nie jesteśmy bogatym krajem, może rzeczywiście na więcej państwa nie stać. Ale tu aż się prosi o pomoc

Aby „polska tolerancja”, z której jesteśmy tak dumni, nie była równie abstrakcyjna jak puste nakrycie przy wigilijnym stole, może warto do programów szkół wprowadzić przedmiot, dzięki któremu uczniowie dowiedzą się czegoś o innych – o tych przybyszach z Afganistanu, Czeczenii, Syrii i tylu innych miejsc. O ich kulturze, religii, o sytuacji w ich krajach i o tym, dlaczego chcą je opuścić. Jeśli będziemy o nich więcej wiedzieć, może nie będą już dla nas tak obcy? Może łatwiej zobaczymy w nich bliźniego (w nauczaniu polskiego Kościoła też bardzo abstrakcyjną figurę)?

A może warto zachęcić publicystów do szerszego zajęcia się tym tematem? Spopularyzowania go? Może wtedy politycy zrobią coś, by usprawnić i uczynić mniej bezdusznymi procedury, którym poddajemy cudzoziemców, podejrzewając w kilkuletnich dzieciach potencjalnych terrorystów?

Na koniec akcent pozytywny. Prezydent Duda zawetował lex TVN. Co prawda, uzasadnił to bardziej obawą o stosunki z Ameryką niż troską o wolność mediów w Polsce, ale nie czepiamy się. Łatwo przewidzieć, co teraz będzie się działo na prawicy. Ziobro i jego towarzysze będą się radykalizować, próbując przeciągnąć na swoją stronę jeśli nie część polityków PiS, to na pewno część jego elektoratu. Dla ratowania pozycji Morawiecki musi wymyślić coś bardzo patriotycznego, co spodoba się skrajnemu elektoratowi. Na przykład będzie degradował generałów nieboszczyków albo zrobi coś równie mądrego i mocnego.

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

Więcej o Fundacji Wolno Nam na s. 19

Na poczwórnym gazie

Galopujące ceny gazu i energii elektrycznej nie martwią rządu, gdyż oznaczają dodatkowe wpływy do budżetu



Marek Czarkowski

Opłaty za gaz i prąd idą ostro w górę. Rząd twierdzi, że to wina Putina, który szantażuje Europę, wstrzymując dostawy surowca, oraz bankierów spekulantów, którzy zarabiają na rosnących cenach praw do emisji dwutlenku węgla. Ciemny lud w to wierzy, ministrowie zacierają ręce i jadą dalej na poczwórnym gazie.

W połowie grudnia Rafał Gawin, prezes Urzędu Regulacji Energetyki, zatwierdził nowe taryfy na gaz dla odbiorców indywidualnych. Od 1 stycznia 2022 r. wzrosły one o 54%. Ktoś, kto dotychczas płacił 200 zł miesięcznie, w przyszłym roku zapłaci 308 zł. Jeśli zaufać propagandzie, wziął unijną lub rządową dopłatę, zamienił starego „kopciucha” na nowoczesny piec gazowy i ogrzewał dom, płacąc 600 zł, w nowym roku wyłoży 924 zł. A jeśli płacił 1000 zł – wybuli 1540 zł. I tak dalej... Na tym tle wzrost taryfy na prąd dla odbiorców indywidualnych o 24% to szczyt umiaru i łaskawości ze strony rządzących.

By zilustrować przyczyny tych podwyżek, posłużmy się przykładem – w 2020 r. 1 MWh (megawatogodzina) energii elektrycznej kosztowała na Towarowej Giełdzie Energii w Warszawie 252 zł. Natomiast w grudniu 2021 r. jej cena wynosiła już 1,3 tys. zł. Ceny dostaw gazu ziemnego w kontraktach terminowych w ciągu ostatniego roku wzrosły o 600%, a nawet więcej.

Przyczyny są znane. Gospodarka światowa odradza się po kryzysie wywołanym pandemią SARS-CoV-2 i potrzebuje więcej energii. A ponieważ Chiny i inne kraje azjatyckie gotowe są dobrze płacić za dostawy błękitnego paliwa, Europa musiała poczekać.

Wzrosły też ceny opłat za prawa do emisji dwutlenku węgla w ramach EU ETS, czyli unijnego systemu handlu uprawnieniami do emisji – nawet do 90 euro za tonę. Nasze opalone węglem elektrownie, które emitują tysiące ton dwutlenku węgla do atmosfery, musiały zapłacić więcej niż kiedykolwiek. Lecz, wbrew temu, co

głoszą rodzimi politycy, pieniądze te trafiają głównie do naszego budżetu, a nie na konta mitycznych spekulantów i bankierów. W końcu września br. Ministerstwo Finansów podało, że na sprzedaży uprawnień do emisji dwutlenku węgla państwo zarobiło 17,3 mld zł, co oznaczało przekroczenie całorocznego planu wpływów o ok. 70%. Szacunki mówią, że do końca roku fiskus zarobi na tym procedurze grubo więcej niż 20 mld zł. Dla porównania – planowany przyszłoroczny budżet na obronność to 57,8 mld zł.

Jeszcze w kwietniu 2020 r. Ministerstwo Klimatu cieszyło się, że do roku 2029 nasz kraj z tytułu owych opłat zarobi 100 mld zł. Jeśli dotychczasowe tempo wzrostu cen się utrzyma, kwota ta wpłynie do końca roku 2024.

Dlatego szarża premiera Morawieckiego, który w połowie grudnia 2021 r. żądał od innych przywódców państw unijnych natychmiastowego zawieszenia systemu handlu uprawnieniami do emisji dwutlenku węgla, nie miała sensu. Ale o tym głośno nikt nie mówił.

Ruch Putina

Jeśli wierzyć polskim politykom i części publicystów, odpowiedzialność za szalony wzrost cen gazu ziemnego spada na Gazprom, który jest zbrojnym ramieniem prezydenta Rosji Władimira Putina. To dlatego w grudniu 2021 r. ceny zakupu gazu w kontraktach terminowych były kompletnie nieprzewidywalne, a ich wykres przypominał kolejkę górską. Cóż, Rosja wykorzystuje okazję. Podobnie jak kraje arabskie i Stany Zjednoczone.

Zaczęło się niewinnie od 50-60 euro za 1 MWh (cena gazu jest wyrażana w tych jednostkach) na przełomie listopada i grudnia 2021 r., by przed świętami Bożego Narodzenia osiągnąć ponad 180 euro, a następnie spaść do 90 euro.

Trzeba pamiętać, że w grudniu 2020 r. 1 MWh gazu w tych samych kontraktach terminowych kosztowała... 18 euro. Czyli dziesięć razy mniej.

Ze wszystkich stron słychać podejrzenia, że Putin wspólnie z Gazpromem manipuluje dostawami gazu, by zmusić kraje europejskie do uległości, wyrażenia zgody na uruchomienie gazociągu Nord Stream 2 i porzucenia Ukrainy oraz by ostateczne uzależnić bogate kraje Europy od rosyjskiego gazu. W mediach regularnie można przeczytać, że Rosjanie albo już zakręcili, albo za chwilę zakręcą kurki i mieszkańcy Europy zamarzną. Albo że zgromadzone przy granicy z Ukrainą czołgi ruszą na Kijów.

Tymczasem w 2021 r. Gazprom wydobyl 515 mld m sześć. gazu, o ponad 62 mld m sześć. więcej niż rok wcześniej, najwięcej od ponad dekady. W ubiegłym roku światowe zapotrzebowanie na gaz rośnie w obłędnym tempie i gdyby nie dodatkowe dostawy rosyjskiego koncernu, cena błękitnego paliwa byłaby jeszcze wyższa.

Nawet Amerykanie przyznają, że gdy mowa o kontraktach długoterminowych, Gazprom wywiązuje się z nich, dostarczając surowiec po ustalonych cenach, oczywiście znacznie niższych niż w przypadku kontraktów terminowych.

Przykładem mogą być Węgry, które pod koniec września 2021 r. podpisały z Rosjanami dziesięcioletni kontrakt na dostawy gazu z możliwością przedłużenia go o kolejnych pięć lat, czym zagwarantowały sobie ceny od trzech do pięciu razy niższe od cen w kontraktach terminowych. Dlatego na każdym rachunku za gaz, który otrzymuje przeciętna węgierska rodzina, jest wskazana kwota, którą dzięki polityce rządu premiera Orbána udało się zaoszczędzić. Węgry musieli się zobowiązać, że kupowany przez nich gaz nie będzie sprowadzany przez terytorium Ukrainy ani sprzedawany do tego kraju, co wywołało gwałtowną reakcję Kijowa. W Budapeszcie nikt się tym nie przejął, bo relacje węgiersko-ukraińskie do najlepszych nie należą.

Innym krajem uzależnionym od dostaw rosyjskiego gazu jest Serbia. Obecnie za 1000 m sześć. płaci 270 dol., co jest ceną wybitnie promocyjną, i Belgrad mocno nalega, by negocjowany obecnie kolejny

długoterminowy kontrakt z Gazpromem był równie korzystny.

W tej układance szczególną rolę odgrywają Niemcy, którzy dzięki gazociągowi Nord Stream 2 mogą się stać gazowym hubem dla całej Europy i wspólnie z Rosjanami sprzedawać gaz Francuzom, Belgom, Duńczykom, Czechom i oczywiście Polakom. Interes Ukrainy, która jeszcze jest krajem tranzytowym dla rosyjskiego gazu, się nie liczy.

Czy gaz może być tańszy?

W 2016 r. Piotr Naimski, sekretarz stanu w rządzie Beaty Szydło, powiedział Agencji Reutera, że Polska nie zamierza przedłużać kontraktu długoterminowego z Gazpromem, który wygaśnie w roku 2022, i dodał: „Jeśli cena gazu z Rosji będzie wystarczająco konkurencyjna, nie wykluczamy jego zakupu. Ale na pewno nie w ramach umowy długoterminowej”.

Od 1 stycznia opłaty za gaz dla odbiorców indywidualnych wzrosły o 54%, za prąd o 24%.

Powszechne jest przekonanie, że nasz kraj od 1996 r. płaci Rosjanom za gaz najwięcej w Europie. Oficjalnie nie sposób się dowiedzieć, o jaką kwotę chodzi, gdyż nawet interpelacje poselskie, w których pytano, ile PGNiG płaci za błękitne paliwo, pozostawały bez odpowiedzi. Nieoficjalnie padały kwoty od 450 do 500 dol. za 1000 m sześć.

Plan Naimskiego zakładał, że dzięki gazoportowi w Świnoujściu, płynącemu gazoportowi w Gdańsku, który miał powstać do roku 2025, oraz gazociągowi Baltic Pipe z Norwegii nasz kraj osiągnie niezależność od rosyjskich dostaw. I to my Kremlowi – a nie Kreml nam – podyktujemy warunki.

Dziś nie wydaje się to tak oczywiste. Polska bardzo liczyła na dostawy gazu łupkowego ze Stanów Zjednoczonych. Latem 2021 r., gdy stało się jasne, że Chiny, Japonia i inne kraje azjatyckie gotowe są dobrze płacić za dostawy gazu, amerykańskie spółki skierowały statki wypełnione tym surowcem na Wschód. Także kraje arabskie, gdy odkryły, że Azjaci zapłacą im więcej, zmniejszyły dostawy do Europy.

Polska i tak jest w dobrej sytuacji. W listopadzie rządy Hiszpanii, Austrii i Szwajcarii poważnie rozważały scenariusze blackoutu, czyli kilkudniowych wyłączeń prądu na dużych obszarach. Nam to nie grozi. Pracujące pełną parą polskie elektrownie węglowe produkują 75% zużywanego przez nas prądu. Gazu także nie zabraknie, gdyż magazyny PGNiG są pełne. Polska importuje nie 95% tego surowca jak Węgry, lecz znacznie mniej. W kraju wydobywamy 4 mld m sześć. gazu ziemnego. Z Rosji sprowadzamy niewiele ponad 9 mld m sześć. Poza tym kupujemy gaz ze Stanów Zjednoczonych, Kataru i Norwegii – łącznie jest to 2,71 mld m sześć. Gdy zostanie uruchomiony gazociąg Baltic Pipe, można będzie zmniejszyć dostawy z Rosji.

Czy to oznacza, że gaz będzie tańszy? Niekoniecznie. Rząd argumentuje, że podwyżki są nieuchronne, bo cena gazu na giełdach wzrosła

w minionym roku o 400-600%, a może i więcej. Zapomina dodać, że chodzi o kontrakty terminowe.

Tymczasem PGNiG sprzedaje głównie gaz dostarczany w ramach umów długoterminowych. A tu cena jest stabilna i wielokrotnie niższa. Aby jednak dyskutować na ten temat, trzeba ją znać, a w tym przypadku przedstawiciele rządu, bez względu na opcję polityczną, odpowiadają tak samo od lat: „Szczegóły zawieranych kontraktów stanowią tajemnicę handlową przedsiębiorstwa (PGNiG) i są prawnie chronione”.

Śmiem twierdzić, że najnowsze podwyżki cen gazu i energii elektrycznej bardzo się rządowi opłacają. Dzięki nim będzie można uzyskać dodatkowe, i to niemałe, wpływy do budżetu. Znajdą się środki na wypłaty wyższych pensji w górnictwie i energetyce. Związkowcy coraz ostrzej się ich domagają. Będzie też można snuć plany budowy elektrowni atomowej, za którą rzecz jasna zapłacimy solidarnie kolejnymi podwyżkami cen gazu i energii elektrycznej.

m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Czapkowanie się skończyło

Trzy lata istnieje spółka Centralny Port Komunikacyjny, a ludzie z Baranowa i okolic nadal nie wiedzą, na czym stoją

Ewa Smolińska-Borecka

To największa inwestycja infrastrukturalna w Polsce. Pod lotnisko gigant zostaną wywłaszczeni ludzie z ogromnej połaci gruntu. Ale rząd chyba uznał, że przeznaczeni do wysiedlenia mieszkańcy gmin Baranów, Wiskitki i Teresin powinni na tym stracić, skoro inwestycja jest patriotyczna i wyniesie nasz kraj na wyżyny światowego rynku lotniczego. Oni jednak tracić nie chcą. Tym bardziej gdy słyszą o intratnych transakcjach, które miała okazję przeprowadzić żona premiera.

Na czwartek 16 grudnia ub.r. w Baranowie zaplanowano spotkanie Rady Społecznej ds. CPK oraz dwóch wójtów i jednego burmistrza z prezesem spółki z o.o. Centralny Port Komunikacyjny Mikołajem Wildem. Rada społeczna mówi, że to spółka CPK prosiła o spotkanie, CPK zaś, że rada

bezpieczeństwo uczestnikom posiedzeń, nie będzie ona dla spółki partnerem do rozmów". W ten sposób pozbyła się czynnika społecznego, który dbał o dobro mieszkańców.

Trzy dni później oświadczenie wydała Rada Społeczna ds. CPK. Przyznała w nim, że w ostatnim czasie narasta oburzenie w gminach Baranów, Teresin i Wiskitki wobec sposobu prowadzenia projektu przez inwestora, ale ona ani nie inspirowa, ani nie organizuje protestów mieszkańców. Jej członkowie są zwolennikami spokojnego dialogu.

Ostateczna lokalizacja za dwa lata

Na początku marca ub.r. prezes Mikołaj Wild przedstawił cele spółki z o.o. Centralny Port Komunikacyjny na rok 2021. Jednym z nich było „wskazanie ostatecznej lokalizacji lotniska i koncepcji węzła kolejowego”.

środowiskowych. A ostateczna decyzja w sprawie położenia lotniska zapadnie po uzyskaniu decyzji lokalizacyjnej, co zaplanowano na trzeci kwartał 2023 r. Ludzie będą więc jeszcze ze dwa lata żyć jak na wulkanie.

200 osób czy mniej?

Takiego zdarzenia jak 16 grudnia w gminie Baranów wcześniej nie było. Ludność gminy oraz sąsiednich Wiskitek i Teresina jest nastawiona raczej pokojowo i cierpliwa. Od czterech lat mówi się o budowie Centralnego Portu Komunikacyjnego, a konkretnie jak nie było, tak nie ma. Jednak w końcu miejscowi zaczęli się radykalizować. Nic dziwnego. Dziwić się można jedynie temu, że tak późno. Bo stworzona przez skarb państwa spółka bawi się losem mieszkańców, jakby to była wirtualna gra w budowanie lotniska.

Kiedy pytać w gminach, kto stoi na czele oporu, zazwyczaj ludzie twierdzą, że nie wiedzą. Ale można też usłyszeć nazwisko Tadeusza Szymańczaka. W okolicy znany jest m.in. jako organizator Dni Kukurydzy w Skrzelewie, które w tym roku odbyły się 33. raz. Złośliwi mówią o nim: obszarnik, polityk, buntownik. Internowany w stanie wojennym, był posłem na Sejm I kadencji, jest członkiem Polskiego Związku Producentów Kukurydzy, rzecznikiem Polskiego Związku Producentów Roślin Zbożowych, członkiem grupy roboczej przy UE „Powietrze, gleba, woda”. Powstaniem lotniska jest żywotnie zainteresowany, bo większość gruntów jego rodzinnego gospodarstwa leży na terenach, które wchłonie CPK. Dlatego Szymańczak był członkiem Rady Społecznej ds. CPK w I kadencji. W II kadencji do rady wszedł jego syn Kamil. To właśnie młody Szymańczak jako pierwszy, kiedy tylko dostał z CPK materiały dotyczące nowych granic terenu pod lotnisko, opublikował je na Facebooku.

Z powodu budowy portu w całości zniknie 12 wsi, a 10 zostanie częściowo wchłoniętych przez lotnisko.

społeczna. Teraz to i tak nie ma znaczenia, bo spotkanie się nie odbyło. Kiedy bowiem zgromadzeni przedstawiciele rady i samorządu zorientowali się, że prezes Wild nie przybył ani nie przysłał w zastępstwie jednego z dwóch wiceprezesów spółki, uznali, że spotkanie należy odwołać.

Zanim to nastąpiło, na salę wkroczyli przedstawiciele miejscowych rolników i zaprosili reprezentantów spółki CPK do wyjścia przed budynek. A tam czekał tłum mieszkańców, z traktorami i rozłożonym na planecie obornikiem. Następnego dnia spółka CPK wydała oświadczenie, w którym stwierdzono, że „zachowanie protestujących przekroczyło dopuszczalne granice” i że dopóki spółka „nie będzie pewna, że Rada Społeczna ds. CPK jest w stanie zapewnić

To nie zostało zrobione. W grudniu spółka postanowiła przedstawić preferowany obszar lokalizacji lotniska. Preferowany, ale nie ostateczny, jak obiecywano. Temu m.in. miało służyć spotkanie prezesa z Radą Społeczną ds. CPK. Przed spotkaniem mieszkańcy trzech gmin dowiedzieli się, że zaplanowany pod realizację lotniska teren został zmniejszony z 75 km kw. określonych w tzw. rozporządzeniu obszarowym do ok. 41 km kw. Że z powodu budowy portu w całości zniknie 12 wsi, a 10 zostanie częściowo wchłoniętych przez lotnisko. I że obszar ten, określony w tym momencie jako preferowany, będzie nadal przedmiotem analiz i w roku 2022 zostanie uszczegółowiony. Planuje się, że w trzecim kwartale br. spółka CPK uzyska decyzję o uwarunkowaniach



Michał Kotodziejczak z Agrounii był w Baranowie tylko gościem, ale ostro artykułował niezadowolenie mieszkańców terenów, na których ma być zbudowane lotnisko.

– Ponad rok temu, 21 maja 2020 r., Horała powiedział, że będzie płacił 5 zł za metr kwadratowy ziemi. Słownie pięć złotych! – opowiada wzburzony Tadeusz Szymańczak. – Potem, kiedy ludzie zaczęli to komentować, twierdził, że tak nie mówił, ale ja tę wypowiedź nagrałem.

Dlatego mieszkańcy boją się wywłaszczenia. Jak twierdzi spółka CPK, do programu dobrowolnych wykupów zgłosiło się do tej pory 200 osób. Ale czy to prawda? Ludzie do tego się nie przyznają. A urzędy gmin nie prowadzą rejestru, które nieruchomości kupić skarb państwa pod lotnisko. Ktoś rozpuścił plotkę, że Szymańczak też do tego programu przystąpił. Pan Tadeusz zdenerwował się tym okropnie. – Rok temu myśmy wierzyli w te bajki o CPK – przyznaje. – Przywykliśmy do ładnych opowieści o tym, jak to będzie fajnie, kiedy lotnisko powstanie. Byłem w radzie społecznej w zespole ds. nowelizacji ustawy o CPK. Ale Wild i Horała stwierdzili, że nikt im nie będzie mówił, jakie zmiany trzeba zrobić.

W czerwcu Rada Ministrów wydała rozporządzenie w sprawie gmin, na terenie których będą stosowane

szczególne zasady gospodarowania nieruchomościami, planowania i zagospodarowania przestrzennego. Powołany w kwietniu ub.r. członek zarządu spółki CPK, Patryk Felmet, rozesłał pod koniec lipca informacje do gmin, że jedną ze szczególnych zasad wprowadzonych przez rozporządzenie jest prawo pierwokupu, które

Rok temu Marcin Horała powiedział, że będzie płacił 5 zł za metr kwadratowy ziemi. Słownie pięć złotych!

przysługuje spółce CPK. Jest ono ważniejsze od innych praw pierwokupu. I ostrzegał przed konsekwencjami zbagatelizowania tego prawa.

– Wreszcie 19 sierpnia ub.r. rolnicy powiedzieli: dość! – wspomina Szymańczak. – Tego dnia zablokowaliśmy węzeł Wiskitki. Przyjechało ponad 100 traktorów, ponad 200 osób. Wtedy był szczyt robót w polu, ale rolnicy zdecydowali się przerwać pracę, żeby przez trzy godziny blokować węzeł. Chcieliśmy w ten sposób wyrazić swoje niezadowolenie z powodu braku konkretnych rozwiązań dotyczących gruntów zamiennych

dla tych osób, które będą musiały się przenieść, relokacji mieszkańców, cen zakupu gruntów. Pięć dni później zablokowaliśmy na 24 godziny rondo w Sochaczewie. Przyjechało ponad 100 traktorów i ok. 300 osób. Pas błoński-sochaczewsko-łowicki to teren istotny dla żywienia Warszawy. Ziemie są tu tak dobre, że cokolwiek

rolnicy posieją, wyrośnie. To oburza, że właśnie część tych terenów chce się przekształcić w lotnisko.

Tadeusz Szymańczak tropi korupcję polityczną stosowaną przez CPK, żeby ludzi przychylnie nastawić do spółki. W lipcu spółka zorganizowała jeden piknik w gminie Baranów i dwa w gminie Teresin. Na każdym było mało ludzi, więc plan nie do końca się powiódł, ale ile na te imprezy wydano, nie wiadomo. Dlatego Szymańczak zgłosił do NIK sprawę niegospodarności w spółce CPK z powodu wydawania naszych pieniędzy na pikniki i inne zakupy. Szkoła ▶



Pełnomocnik rządu ds. CPK Marcin Horala nie jest ulubieńcem mieszkańców Baranowa i okolic.

▶ w Baranowie dostała od spółki CPK ponad 110 tys. zł, a Ochotnicza Straż Pożarna w Baranowie wóz bojowy za 130 tys. zł. – Czy to są wydatki związane z budową lotniska? – pyta retorycznie rolnik. Mówi się, że spółka jest rozrzutna. – Podobno za narysowanie czterech kresiek korytarza kolejowego między Łodzią a CPK jakaś firma dostała 24 mln zł. Czytałem, że w spółce pracuje ponad 300 osób, minimalna pensja wynosi 10 tys. zł, członkowie zarządu zarabiają po 44 tys., a prezes nawet 50 tys.

Mieszkańcy, nie spadochroniarze

Dlaczego ludzie w gminach się integrują i organizują? – To wynika z braku konkretów, z tego, że nadal nie wiadomo, jak będzie położone

może zażądać natychmiastowego zwrotu pieniędzy.

17 grudnia prezes Mikołaj Wild zamieścił na Facebooku wpis, w którym znalazło się stwierdzenie, że dzień wcześniej na spotkaniu w Baranowie osoby podające się za mieszkańców pod wodzą Michała Kołodziejczaka zaatakowały pracowników CPK. Szymańczak temu zaprzecza. Mówi, że to nie były osoby podające się za mieszkańców, ale prawdziwi mieszkańcy trzech gmin, po drugie, że Michał Kołodziejczak z Agrounii był tylko gościem. Nie potwierdza też oskarżeń o zaatakowanie pracowników spółki. – Rolnicy przyszli na spotkanie, bo chcieli wykrzyczeć krzywdę, dać upust swojemu niezadowoleniu. Wcześniej złożyliśmy pismo do Urzędu Gminy Baranów

Stworzona przez skarb państwa spółka bawi się losem mieszkańców, jakby to była wirtualna gra w budowanie lotniska.

lotnisko, bo te najnowsze rysunki, które obejmują 41 km kw., dotyczą położenia preferowanego. A jaka będzie faktyczna lokalizacja? Wielu młodych ludzi ma umowy z Agencją Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa. Kiedy się bierze pomoc finansową z ARIMR na inwestycje, to aby umorzono 50%, trzeba prowadzić produkcję przez pięć lat. Jeśli prowadzi się krócej, bo ziemia np. zostanie wywłaszczona pod lotnisko, to państwo mówi: „Proszę oddać te pieniądze z odsetkami”. I skąd te pieniądze wziąć? Albo bank, który dał kredyt,

dotyczące naszej demonstracji, żeby zapewniono bezpieczeństwo. Bo jeśli dużo traktorów przyjedzie, to trzeba pilnować porządku na drodze. Faktycznie było 200-300 osób. Traktory obwieszono banerami z hasłami. Na jednej przyczepie były dwa byczki i dwie beczki gnojowicy, ale jej nie wylano. Policja stała na sygnale, żeby utrzymywać porządek na drodze. Owszem, zrzuciliśmy na plandeki obornik przed drzwiami do remizy, gdzie odbywało się zebranie, ale ludzie z CPK mogli go z łatwością omiąć. Nieprawdą jest też to, co mówił

Konrad Majszczyk, rzecznik CPK, że spuszczone im powietrze z kół. Ludzi bardzo zabolęły te nieprawdziwe informacje.

Samolot co minutę

Kiedy powstanie lotnisko, co minutę będzie startować samolot, w sumie 2 tys. lotów dziennie. W przypadku lotniska cywilnego w bezpośrednim oddziaływaniu jest 300 tys. ludzi, ale to ma być lotnisko cywilno-wojskowe, więc ta strefa oddziaływania będzie większa – 500 tys. osób. Do tej pory nie wiadomo, jak wiele osób będzie odczuwać uciążliwości wywołane startowaniem, lądowaniem, przelotami tylu samolotów.

– Ostatnio, kiedy żona i syn szykowali się na blokadę w Sochaczewie, pięcioletni wnuk, który już słyszał o problemach związanych z CPK, spytał: „Dziadku, jak nas stąd wyrzucą, to gdzie my będziemy mieszkać?”. Nie odpowiedziałem mu, bo musiałbym powiedzieć, że nie wiem. Obserwuję, jak wyglądają wywłaszczenia i eksmisje pod Radomiem. Te eksmisje to sygnał, jak to wywłaszczanie będzie wyglądać u nas. Tam starzy ludzie, nawet 80-letni, są wyrzucani z domów. Pani pyta, czy mi się integrujemy. My stoimy pod ścianą, ojcowiznę chcą nam odebrać. My przez lata budowaliśmy nasze rodzinne gospodarstwo. Na początku mieliśmy 3,5 ha, teraz mamy w rodzinie 85 ha. Ziemię mamy w trzech powiatach, czterech gminach, 12 miejscowościach, w 80 kawałkach. Pod lotnisko będziemy musieli oddać dwie trzecie naszej ziemi, czyli 55 ha, oraz dom mieszkalny i zabudowania gospodarskie. Gdyby nam zaproponowano jakieś 90-100 ha w jednym kawałku np. w województwie kujawsko-pomorskim, rozważylibyśmy propozycję. Ale ludzie ze spółki i z rządu niczego nie proponują. Mają nas za nic.

Tadeusz Szymańczak określa to, co się dzieje wokół budowy CPK, jako regułę trzech K: kanciarstwo, kłamstwo, klękanie. To klękanie stąd, że minister Horala jest bardzo modłący się. Dlaczego jednak, kiedy chodzi o los 7 tys. osób, 750 gospodarstw, 1250 nieruchomości, prawie 300 firm, trzech domów opieki społecznej itp., jakoś katolickie sumienie go nie gryzie?

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl



Nieobojętne z ulicy Kamiennej

Najgorsze są oczy uchodźców. Oczy mówią wszystko.
Widać w nich kompletną bezbronność

Anna Mączka

Agata

Rudowłosa 30-latką odbiera telefon. To Agata. Stoi z komórką przy uchu w ogromnym korytarzu w Forcie Luneta Warszawska. Tuż za nią leżą sterty posegregowanych rzeczy. Buty dla dorosłych i dzieci, swetry, kurtki. Ludzie opowiadają, że historia ocieka tu krwią. Podczas wojny w forcie była siedziba gestapo, potem więzienie UB.

Agata nie ma czasu na mroczną przeszłość. Cierpliwie słucha mężczyzny, który do niej zadzwonił. Bilali, Kurd, mieszka z żoną w zamkniętym ośrodku w Czerwonym Borze. Kobieta jest w siódmym miesiącu ciąży i krwawi. Razem z nimi jest uchodźca, który złamał nogę. Od lekarza dostał tylko tabletkę przeciwbólową.

– Bardzo źle? Złamał nogę? Wystali po niego karetkę? Zabrali go do szpitala? – pyta Agata. – Zrobimy wszystko, co możliwe, żeby wejść do ośrodka. Może trzeba będzie zawiadomić media, polityków?

Czerwony Bór to jedyny ośrodek, z którym nie ma żadnego kontaktu. – Nie mogę się dodzwonić do komendanta. Żona Bilalego od trzech dni nie

czuje ruchów dziecka. Wszyscy są głodni. Jeden chłopak w ciągu trzech miesięcy stracił 15 kilo. Nie mamy jak pomóc – wysłać jedzenia, zorganizować pomocy medycznej. Nie jesteśmy w stanie nic zrobić. Po buncie uchodźców w ośrodku w Wędrzynie jakkolwiek pomoc z zewnątrz będzie jeszcze trudniejsza. Gdy ktokolwiek z nich prosi strażników o pomoc, od razu słyszy: „Chcesz być deportowany? Po co tu przyjechałeś?” – relacjonuje zdenerwowana dziewczyna.



Agata jest szefową Fundacji Wolno Nam i nie potrafi latać. Nie wylądować z pomocą w zamkniętym ośrodku. Dociera tam, gdzie dostarczenie żywności, ciepłej odzieży i leków jest realne. Nie robi tego sama. Pomaga jej 50 wolontariuszy, którzy znają się tylko z Messengera.

Posortowane rzeczy wyjeżdżają na granicę. To, co się nie nadaje do lasu, trafia do krakowskich przytułków i potrzebujących. Z innych rzeczy wolontariusze zorganizowali świąteczny kiermasz. Zebrane pieniądze przeznaczyli na paliwo do samochodów jadących na granicę. Dla tych, którzy bezpośrednio docierają do uchodźców, kupili kamerę termowizyjną.

Agata dzieli życie na Kraków i Białowieżę. Wynajęła tam nawet dom. Nim na granicy pojawili się uchodźcy, chciała prowadzić zajęcia z dziećmi. W Krakowie była szefową przedszkola demokratycznego. Gdy zaszła w ciążę i miała powikłania, zrezygnowała z przedszkola. Jeszcze w sierpniu próbowała wyłapywać jakiegokolwiek wiarygodne informacje o uchodźcach. Nic nie rozumiała z medialnej papki. W końcu zadzwoniła do przyjaciółki, która wyprowadziła się pod białoruską granicę. Na Fejsie przyjaciółka od dawna niczego

nie udostępnia, bo od miesiąca chodzi po lasach. Odwozi dzieci do szkoły, gotuje zupę dla uchodźców, odbiera dzieci, jedzą kolację, kładzie się z nimi około godz. 20 i o północy jest już w lesie.

Agata zapytała, jak może pomóc. – Nie mamy czasu pakować rzeczy w pakiety – usłyszała. Rozpuściła więc wici wśród znajomych. Niebawem jej mieszkanie zaczęło przypominać składowisko. Paczki z odzieżą zaczęły ją zasypywać. W końcu Kasia, która od lat pomaga uchodźcom, zaproponowała jej przeniesienie składu do fortu przy Kamienną.

Tatiana

Tatiana na co dzień zajmuje się turystyką winiarską i pod Krakowem prowadzi własną agroturystykę. Agatę poznała przez Fejsa. Przeczytała post w Rodzinach bez Granic, że potrzebni są ludzie do segregowania rzeczy dla uchodźców. – Nawet się nie zastanawiałam, tylko przyszłam. I tak przychodziłam do mieszkanki na Ariańskiej, gdzie na początku stały trzy pudła na krzyż, a potem było ich coraz więcej – opowiada wolontariuszka.

Od zawsze interesowali ją ludzie. W latach 90. razem z mężem podróżowała autostopem po Syrii. Zamiast zwiedzać zabytki, wołała poznawać ludzi. Śmieje się, że nawet przy porodzie byli z nią ludzie z różnych stron świata. Mieszkała wtedy w Irlandii. Ciężę prowadził lekarz Hindus, przy porodzie asystowały dwie dziewczyny z Tajlandii, a potem nią i dzieckiem opiekował się lekarz Polak.

W ogromnym korytarzu przypominającym sklep z używaną odzieżą zbiera się niewielka grupka. – Dziewczyny, chodźcie, już szósta, miało być zebranie – woła Tatiana.

Wolontariuszki siadają przy drewnianej ławie. Najpilniejszą sprawą do omówienia jest zaproszenie rodzin z ośrodków. W swoich domach będą ich gośćmi Tatiana, Agnieszka, Agata i Łucja. Każda z nich ma dzieci.

– Ramil i Jasmina mają po sześć lat, Hawa ma trójkę dzieci: pięć, sześć i osiem lat – wylicza Agnieszka.

– U mnie by mogli być, bo ja mam dziesięcioletką i trzylatkę – deklaruje Agata.

– Gdzie z nimi pójdziemy? Wawel? Muzeum Czartoryskich? – zastanawiają się wspólnie.



– Czy byłaby jakaś szansa na dofinansowanie na bilety czy na jedzenie? – pyta Tatiana.

– Przyjadą pociągami. Musimy im te bilety opłacić. Trzeba wystąpić z takim pismem, żeby przyjechali do nas. Jest propozycja, żeby zrobić wspólne gotowanie, potem Muzeum Czartoryskich, pokażemy im Kraków, następnego dnia odprowadzamy ich na dworzec – mówi rzeczowo Agnieszka.

– Jeśli są tam osoby samotne, to też można taką osobę zaprosić.

Agnieszka

Inicjatorką pomocy w ośrodkach dla uchodźców jest Agnieszka. „Obych” zna i nigdy się ich nie bała. W latach 90. pracowała w restauracji. Tam spotykała Ukraińców. Pomagała im znaleźć pracę i dach nad głową. Czuła się okropnie, gdy dowiedziała się, że w sierpniu koło Usnarza Górnego Straż Graniczna wypchnęła uchodźców za polską granicę. – To nie wydarzyło się daleko, na Lampedusie, ale w miejscach, które znam – tłumaczy Agnieszka.

Z Agatą spotkała się przez przypadek. – Poszliśmy na Rynek. Wzięłam byłego męża i trójkę dzieci. Siedzieliśmy w milczeniu po turecku i solidaryzowaliśmy się z uchodźcami. Potem w jednym z ciucholandów była zbiórka rzeczy dla uchodźców. W akcję pomocową u mnie w pracy zaangażowały się nawet panie sprząające, które zarabiają poniżej średniej krajowej. Cztery wielkie kosze zostały wypełnione nowiutkimi rzeczami. Kobiety zakupiły także folie do okrywania się i ogrzewacze do rąk.

Gdy skończyły się nam dary, przyszliśmy pomagać tu, na Kamienną – wspomina.

Agnieszka stwierdziła, że skoro nie może pomóc tym w lasach, pomoże tym, którzy przebywają w ośrodkach. Przeczytała artykuł w „Wyborczej”, że mieszkające w ośrodkach nastolatki mają wszystko z przydziału, a w tym wieku miewają przecież marzenia. – Pomalowane paznokcie, sztuczne rzęsy, cokolwiek.

– Na stronie Urzędu ds. Cudzoziemców sprawdziłam, gdzie są ośrodki. Wybierałam te w najmniej-szych miejscowościach. Pomyślałam, że w dużych ośrodkach pracują z pewnością ludzie, którzy wiedzą, jak pomagać. Wybrałam ośrodki w Łukowie i w Horbowie-Kolonii. Zadzwo-niłam do obydwo, zapytałam, czy przyjmują paczki i co jest im potrzebne. Okazało się, że zupełnie podstawowe rzeczy. To nas trochę rozwaliło. Brakowało środków czystości, proszków do prania, oleju, który w jednej, pięciolitrowej butelce przydzielany jest kilku rodzinom. Dowiedziałam się, że stawka żywieniowa wynosi 9 zł i od lat się nie zmienia, a kuchnia zamykana jest wcześniej, jak w szpitalu, tymczasem wieczorami ludzie chętnie by coś dojedli – relacjonuje wolontariuszka.



I tak Agnieszka została „Świętym Mikołajem”. Razem z koleżankami z muzeum wystawiła 12-kilogramowe paczki do Łukowa i do Horbowa-Kolonii. Nie obyło się bez niespodzianek. – Nakupiliśmy jakichś przypraw, jeszcze kazałyśmy sobie to po arabsku opisać. Wystawiłyśmy to. Zadzwo-niłam do ośrodka, a pani powiedziała, że to świetny pomysł, ale żebyśmy wystawiły

jeszcze mąkę i olej. Zamówiłam 16 kg mąki i 16 litrowych butelek oleju. To pojechało do Łukowa.

Uchodźcy z ośrodków zaczęli prosić Agnieszkę o pomoc. – Niektórzy chcieli skuter czy laptop. Aż w końcu powiedziałam: „Mylicie mnie chyba z wróżką”. „Jeśli chociaż jedną z tych rzeczy mi dasz, będę się za ciebie modlił”, usłyszałam od uchodźcy.

Inaczej było z Matim z Afganistanu, architektem. – Nie chciał nic. Powiedział, że podstawowe potrzeby ma zabezpieczone, ale chce się uczyć polskiego, i zapytał, czy mogę mu pomóc. Nie bardzo się w tym widziałam, bo łatwiej napisać czułą kartkę i wysłać 500 zł, niż podjąć takie długoterminowe zobowiązanie. Powiedziałam, że nie wiem, czy dam radę, ale się postaram i tak od kilku tygodni spotykamy się na WhatsAppie na minimum kwadrans. Zupełnie nieprofesjonalnie uczę go języka polskiego, a on uczy się z takim zacięciem, że chciałabym, aby moje dzieci tak się uczyły – opowiada Agnieszka.

Zebranie przy Kamiennej się kończy. Trzeba jeszcze obgadać kwestię wyjazdu Agi i Tatiany do Łukowa. Dziewczyny przygotowały ponad 70 kg rzeczy. Agnieszka: – Maciek ma auto z przyczepką, nie ma co czekać, to, co jest, trzeba wywieźć jak najszybciej.

Agnieszka odpowiada w fundacji za kontakty z rodzinami z ośrodków. Z pozostawionej przez nią w ośrodku w Łukowie kartki z pytaniem: „Co wam potrzeba?” i jej deklaracji, że zaprasza jedną z rodzin, narodził się projekt „Zaproś Wędrowca do Stołu”. Wolontariuszkom pomysł się spodobał. Podchwycili go inni. Organizacją przedsięwzięcia zajęła się Tatiana.

Poszukiwanie rodzin partnerskich ma już pierwsze sukcesy. Wolontariuszkom udało się znaleźć pomoc i wsparcie dla Kurdyjki, która opuściła ośrodek i rozpoczęła samodzielne życie. Pomogły jej zapisać dzieci do szkoły, załatwić abonament parkingowy, zabezpieczyć pomoc prawną, wyposażyć mieszkanie. Teraz dziewczyny szukają domu dla Matiego.

Mata

Świąteczna atmosfera pojawiła się dużo wcześniej. Dwudniowy kiermasz zakończył się olbrzymim sukcesem. Udało się sprzedać wiele rzeczy nienadających się ani do lasu, ani do ośrodka czy szpitala. Wolontariusze,



k którzy mijali się przy Kamiennej, spotkali się na kiermaszu. Wśród nich Mata. Rocznik '76. Z zawodu „ogarniaczka na planie”, czyli scenograf planowy. Mata jest po grafice i nie mieszka w Polsce. Wcześniej w Krakowie współpracowała z Towarzystwem Interwencji Kryzysowej. Prowadziła wykłady z rasizmu. Jeździła do szkół w Nowej Hucie mówić, że wszyscy ludzie bez względu na kolor skóry są równi. Gdy usłyszała o tym, co się dzieje na polsko-białoruskiej granicy, coś ją tknęło: – Kłudziesz się do ciepłego łóżka i masz poczucie, że coś jest nie tak. Skończyłam projekt, wróciłam tutaj. Zobaczyłam, że Justyna, z którą byłam na roku, zawiesza informacje o Kamiennej. Napisalam do niej i jestem tutaj.

Kasia

Na parterze Kamiennej 16 pracuje „Anioł Stróż”, czyli Kasia – szara

Fundacja Wolno Nam

powstała w 2018 r. Jej cel to prowadzenie działań edukacyjnych i psychoedukacyjnych w zakresie wielokulturowości, szacunku dla różnorodności. Od początku października br. fundacja pomaga osobom pokrzywdzonym kryzysem humanitarnym na granicy.

Obecnie prowadzi ciągłą zbiórkę rzeczową, wysyłając:

- pakiety odzieżowe – gotowe zestawy dla jednej osoby, w podziale na płeć i rozmiary,
- pakiety ratunkowe – zestawy pierwszej pomocy, zawierające m.in. racje żywnościowe, folie NRC, ogrzewacze, leki,
- inne rzeczy: śpiwory, powerbanki, buty.

Fundacja Wolno Nam

Tel.: + 48 507 373 511

Fundacja.Wolno.Nam@gmail.com

eminencja wszelkiej pomocy w Krakowie. Kasia współpracuje z Grupą Granica i Salam Lab. Miła blondynka w ładnych okularach prowadzi pracownię CAHA-ART. – W tym dziwnym, pięknym, historycznym miejscu, forcie austriackim, mam przyjemność spełniać swoje wielkie marzenie, czyli zajmować się ceramiką – mówi, wając każde słowo.

Kasia zawsze miała żyłkę aktywistki i brała udział w wielu inicjatywach, ale sytuacja na granicy szczególnie ją dotknęła: – Jako mama czwórki dzieci, a w przyszłości jako babcia, raczej nie mogłabym wytłumaczyć się przed nimi, że mnie nie było w pewnych sprawach, nie brałam w nich udziału, nie zobaczyłam, nie wyrobiłam sobie własnej opinii. Wiedziałam, że mając samochód, mogę coś zrobić, coś zebrać i że jest na to miejsce. Ta historia zaczęła się dla mnie od protestu „Nikt nie jest nielegalny”, a potem wszystko ewoluowało. Mieliśmy możliwość spotkania się tutaj, na terenie fortu, i dyskusowania o sprawach, które są do zrobienia. I trzeba było działać.

Do najbardziej udanych działań Kasia zalicza akcję ze śpiworami arktycznymi. Udało się dogadać ze sklepem w Rybniku, który negocjował ceny z producentem w Austrii. Kasia tylko raz miała możliwość bezpośredniej pomocy ludziom z lasu – pierwsza, najważniejsza rzecz to sprawdzenie, czy ktoś natychmiast nie wymaga opieki ambulatoryjnej lub szpitalnej. Następna sprawa to ich przebranie. Bardzo często są tak rozdygotani, że nawiązanie kontaktu jest prawie niemożliwe. Pytanie: „Jak się czujesz?”, jest wtedy megainfantylne. Dopiero jak się przebiorą, można zacząć jakąś rozmowę, ale czasu jest mało. Trzeba bardzo się śpieszyć i uważać na Straż Graniczną, a należy się zorientować, jakie oni mają możliwości, które rozwiązania prawne mogą ich dotyczyć.

Najgorsze są oczy. Oczy mówią wszystko. Widać w nich kompletną bezbronność. W sklepie w Hajnówce ktoś robi zakupy dla grupy z bazy, a równocześnie kilkanaście kilometrów dalej są ludzie, którzy czekają na nadejście nocy. Tylko wtedy przyjdzie pomoc. Oni boją się szelestu liści, boją się, że znajdzie ich Straż Graniczna, że znowu wyrzucą ich na granicę.

Anna Mączka

Świat faktów przestał istnieć

W czasie wojny wszystkich ze wszystkimi wiedza i nauka nie mają znaczenia

Rozmawia Jakub Dymek

Rok 2021: zaczął się od ataku na amerykański Kapitol, pojawiły się i prędko wzbudziły opór masowe programy szczepień, talibowie wrócili do władzy w Afganistanie, a światowa opinia publiczna dowiedziała się o nadużyciach Facebooka. Słowem, upadło wiele narracji objaśniających nam świat. Co waszym zdaniem było najważniejsze?

Jacek Wasilewski: – Porażki demokracji. Wydawać się mogło, że wraz z końcem kadencji prezydenta Trumpa objawi się nowa nadzieja. Tu – czyli na wschodzie Europy – widzimy szczególnie dobrze, że tak nie jest. Mamy do czynienia ze spadkami w indeksach wolności słowa, prasy i demokracji w przypadku Polski czy Węgier, Bułgarii i Rumunii. A to oznacza wzrost niepewności. Różne sprzeczne i skonfliktowane źródła walczą o naszą uwagę i o to, do kogo „należy” prawda. Co gorsza,

Opowieść o gościnnej czy wolnościowej Polsce znajduje się w totalnej sprzeczności z tym, co indywidualni Polacy myślą.

te narracje stały się bardzo wrogie: mowa o spisku koncernów farmaceutycznych, zamachach na prawa obywatelskie itd. Rosnąca liczba antyszczepionkowców i ludzi kwestionujących uznaną wiedzę pokazuje nam jakiś większy problem ze wspólną agorą.

Demokracja liberalna w ogóle nie może istnieć bez sfery publicznej.

Agata Kostrzeva: – Zamach na Kapitol, to współczesne zburzenie Bastylii, przywrócił do naszego życia widmo nieporządku. Wrogość wrogością – zawsze jest wróg – ale ta destabilizacja wszystkiego to jednak nowość. Wcześniej osoby, które burzyły istniejącą wiedzę, hierarchie



JACEK WASILEWSKI I AGATA KOSTRZEWA

– badacze narracji i symboli

i schematy narracyjne, często zwyczajnie były na marginesie albo bały się powiedzieć, co tak naprawdę myślą. Dziś nie boją się wcale. A ja, gdy jadę z mojej podwarszawskiej miejscowości do stolicy, mijam po drodze kilkanaście napisów w rodzaju „Szczepionki śmierci”. Kiedyś tego nie było. W czasach niepokoju ci, którzy byli na marginesie, są coraz bardziej w centrum.

mają znaczyć. Jedna opowieść – o gościnnej czy wolnościowej Polsce – znajduje się w totalnej sprzeczności z tym, co indywidualni Polacy myślą i jak interpretują swoje wybory. I jakoś w tym żyjemy. W czasach emocjonalnego wzmocnienia narracje nie muszą być spójne, bo obsługują właśnie nasze emocje, a nie spójne światopoglądy.

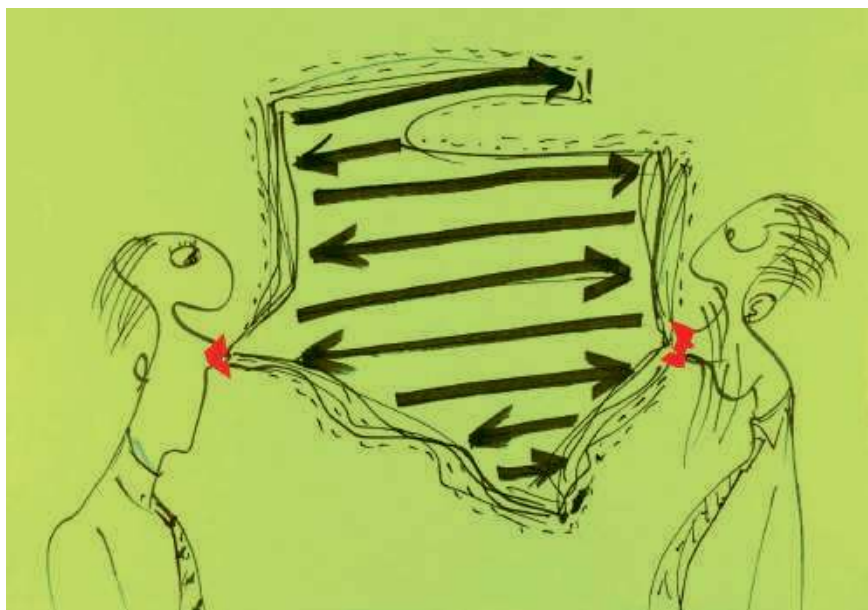
To wróć do demokracji. Aby działała, każdy może mieć swoje opinie, ale fakty powinny być wspólne?

JW: – Era faktów się skończyła w czasie wojny wszystkich ze wszystkimi. Jeśli ktoś jest przeciwny, nie może być wiarygodny, prawda? Już nie zastanawiamy się, czy to, co ktoś mówi, to fakty; zwracamy uwagę na to, czy ufamy osobie, od której pochodzi komunikat. Liczy się nie prawda, tylko to, co my uważamy za dobre albo złe intencje komunikującego. Problemy z językiem nauki i programem szkoły w dużej mierze są odpowiedzialne za antyszczepionkowców.

JW: – Widzimy „prywatyzację” narracji, rozbicie wcześniej obowiązujących prawd. Spójrzmy: Polska niby jest katolickim krajem, opartym na wartościach miłości bliźniego, troski o słabszych i symbolicznym pustym nakryciu przy wigilijnym stole. Ale w przypadku uchodźców w Usnarzu każdy określał siebie, co „miłosierdzie” i „gościnność”

Dr hab. Jacek Wasilewski – badacz narracji. Pracuje na Wydziale Dziennikarstwa UW. Autor książek „Opowieści o Polsce. Retoryka narracji”, „Baśnie wolnego rynku”.

Agata Kostrzeva – badaczka popkultury i komunikacji. Absolwentka dziennikarstwa, medioznawstwa i polityki społecznej na UW.



Co było pierwsze: jajko czy kura? Najpierw przyszli tzw. populiści, którzy zniszczyli prawdę i autorytety, czy najpierw rewolucja cyfrowa rozjechała kategorie prawdy i autorytetu niczym walec i dopiero w to miejsce mogły się pojawić – jak mówiła rzeczniczka Trumpa – „alternatywne fakty”.

AK: – Politycy nie nadążają za cyfrową rewolucją. Próbuja być obecni w mediach społecznościowych, ale nie zawsze je rozumieją. Gdy ktoś jest przyzwyczajony do obszernej formy wypowiedzi, nigdy się nie odnajdzie w konwencji 160 znaków. Wygrywają ci oswojeni z doraźną, krótką, natychmiastową komunikacją: mistrzowie ciętej riposty.

JW: – To też kwestia edukacji. W najnowszych badaniach Eurostatu widać, że odsetek ludzi, którzy weryfikują przeczytane w sieci informacje, jest najniższy w krajach o słabych systemach edukacyjnych. A wysoki w Holandii, Luksemburgu, Norwegii, oczywiście w Finlandii...

AK: – ...czyli tam, gdzie modele edukacji są lepsze.

JW: – A tam, gdzie jest słabe czytelnictwo i gorszy model edukacji, w Polsce, Bułgarii, Rumunii, niższe są wskaźniki weryfikowania informacji i akceptuje się niższe standardy demokracji, jak choćby w kwestii sądów, podsłuchiwanie polityków itp. Ale chciałbym wymienić także dobre zjawiska.

Jakie?

JW: – Pierwsze to fakt, że coraz powszechniej przebija się konieczność przeciwdziałania zmianom klimatu, a opór denialistów klimatycznych jest coraz mniejszy. Można powiedzieć, że do głównego nurtu wchodzi ta młodzieżowa opowieść, która mówi, że nie mamy planety B, więc takiego stanu rzeczy nie

Każdy, kto nie umie komunikować się przystępnie, i każdy, kto nie czuje nowych form komunikacji, przegra.

można tolerować i trzeba coś z tym zrobić. Coraz mniej ludzi wciąż, tak jak w tradycji judeochrześcijańskiej, stawia człowieka na górze łańcucha pokarmowego, w centrum świata, jako tego, który może robić, mówiąc wprost, co tylko chce. Dziś widzimy, że dochodzi do przeformułowania miejsca człowieka w świecie – wiemy, że jako gatunek jesteśmy w sieci różnych zależności od innych, a nie na szczycie stworzenia.

AK: – Druga zmiana dotyczy wizerunku kobiet. Dziś kobiety bohaterki popkultury nie tylko mają jakieś problemy, które muszą pokonać, ale również coraz częściej mogą siebie po prostu zaakceptować. We współczesnych serialach kobiety nie są skazane na wieczne nieszczęście, kompleksy i kompromisy z rzeczywistością. Siostrzeństwo na ekranie zaczyna być na serio, a przestać być parodią, nareszcie widzimy

bohaterki, które czytają, rządzą państwem, wygrywają i nie oglądają się na mężów.

Ale dotyczy to naprawdę szerokich grup czy raczej pod postacią troski o środowisko i retoryki feministycznej ujawnia się pewien snobizm mieszkańców metropolii? Dobrze jest zrobić coś dla świata, a jeszcze lepiej pokazać swoją słusność.

JW: – Badania, które robią same platformy wideo, np. Netflix, pokazują, że dziś młodszy odbiorca po prostu chce bardziej postępowych i egalitarnych fabuł. Filmy takie jak o Michalinie Wiśtockiej czy Kalinie Jędrusik wchodzą do głównego nurtu także u nas i to jest zasadnicza zmiana. Mamy Strajk Kobiet, pierwsze takie wydarzenie od czasów łódzkiego strajku włókiarek sprzed pół wieku. Możemy spojrzeć na kobiecy rząd w Finlandii i to, jak jest on przyjmowany w świecie. Moim zdaniem nie możemy mówić, że tu chodzi tylko o sumienie elit. Popkultura reaguje na zmiany, które pojawiają się oddolnie, na to, co ludzie chcą oglądać, słuchać i konsumować.

AK: – Widać wielką zmianę generacyjną. Dla młodszych to, że w serialu postaci kobiece i męskie

odgrywają równorzędne role, w ogóle nie podlega dyskusji. Dziś nawet nieco starsze kobiety uczą się tych nowych wzorców – żeby o sobie zadbać, pójść do psychologa, być asertywną – od młodszych. W serialu „Ranczo” kobiety na wsi założyły spółdzielnię i produkowały krem. ▶



- Kobiety nawet w polskiej telewizji idą na studia, walczą o siebie, uniezależniają się od mężczyzn.

Kto w tym świecie upadających starych instytucji i zmiany pokoleniowej traci autorytet, a kto zyskuje?

AK: – Każdy, kto nie umie komunikować się przystępnie, i każdy, kto nie czuje nowych form komunikacji, przegra. Jesteśmy przyzwyczajeni, że mamy szybko informacje, bo żyjemy w świecie Twittera, Facebooka

Z tego właśnie powodu tracą dziś wszystkie instytucje demokratyczne, które z zasady mają być neutralne i mają nie zajmować wyrazistego stanowiska. To ma miejsce na pewno w regionie populizmu, w słabych demokracjach. Tam, gdzie instytucje są mocniejsze, a wiara w fakty trzyma się lepiej, zjawisko to obserwujemy w mniejszym stopniu. Ta prędkość wymiany informacji, o której mówiła Agata, prowadzi również do tego, że

dziennikarzy. Nikomu już nie opłaca się rzeczywistość, w której można zweryfikować jakieś fakty. Wróć na chwilę do badań nad zmianami klimatu – według raportu „Ziemia nie atakuje” rzeczywiście już bardzo dużo ludzi w Polsce martwi się efektami zmian klimatu, nawet 78%. Ale okazuje się, że ci sami ludzie mają problem z połączeniem skutku z przyczyną – za zmiany klimatyczne winią np. plastik i papierowe opakowania. Jest więc emocja związana ze zmianami klimatycznymi, nie ma natomiast wiedzy.

Mówicie o potrzebie edukacji i wiary w naukę. Ale ona rośnie. Tylko że niekoniecznie w Polsce, za to np. w Chinach, gdzie wiarę w skuteczność nauki i nieomyślność władzy nakręca propaganda.

AK: – Każdy chce być zwycięzcą. Chiny chcą pokazać, że są najlepsze w nauce i zaawansowanym przemyśle. USA – że wciąż są potęgą i najsilniejszym mocarstwem. A w czym zwycięzcami możemy być my, Polacy? Najlepiej się bronimy, trzymamy straż na granicach, jesteśmy przedmurzem. Dzieci w szkołach robią laurki dla naszych żołnierzy, a w telewizji można usłyszeć modlitwy zakonnic za chłopaków w mundurach. Być może chcielibyśmy być zwycięzcami w jakiejś innej dziedzinie, ale zostaje nam to – super się bronimy.

JW: – Nie mamy „lewicowego lotu w kosmos”. Wielkiej, pociągającej, poruszającej wyobraźnię misji. Lewica, niezdolna do sformułowania jakiegoś celu na zewnątrz, zwraca się do wewnątrz i zajmuje się sama sobą. Rozlicza się z tego, kto jest mniej lub bardziej radykalny. Albo szuka kolejnych grup wykluczonych, którym z racji tego, że mają gorzej, trzeba dać jeszcze więcej punktów. Wydaje mi się, że jest to największy problem: lewica nie ma wizji królestwa bożego na ziemi. Część z tych dawnych wizji uważa się za skompromitowane, a dla nowych pomysłów brakuje odwagi, przekonania, że można przebudowywać całe społeczeństwa. Skupienie się na jednostkowym wymiarze niekrytyczności, a zarzucenie tego lotu w kosmos właśnie, powoduje, że pociągającej lewicowej narracji w tym roku się nie doczekaliśmy.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

Lewicy brakuje odwagi, przekonania, że można przebudowywać całe społeczeństwa.

i TVN 24. A spójrz, co się dzieje, gdy na wyniki wyborów musimy czekać cztery dni albo i dłużej! Przystajemy ufać tej instytucji: coś musiało być nie tak! Jeśli więc mamy instytucje, które nie rozumieją, że muszą porozumiewać się szybko, konkretnie i w łatwy do zrozumienia sposób, to źle im wróży.

JW: – Tracą ci, którzy nie umieją się wpisać w mit. Ci, którzy wierzyli, że istnieje jakaś faktyczna i pozaemocjonalna rzeczywistość, do której można się odwołać. Osoby wychodzące z pozycji neutralnej są – to nie paradoks – niewiarygodne. Bo nie wiemy, czego one chcą, po której są stronie, czy mamy ich słuchać, czy nie.

przegrywają ci, którzy nie są w stanie wybrać dla siebie odpowiedniej fabuły – skrótu kulturowego tłumaczącego jasno, kto jest dobry, a kto zły, „gdzie stoi ZOMO”, jak mawiał klasyk.

To, co decyduje o skuteczności – bycie szybkim, dosadnym, jednoznacznym i zero-jedynkowym – napędza spiralę polaryzacji.

Gdy wszyscy są tak okopani na swoich wyrazistych pozycjach, nie ma z tego wyjścia.

JW: – Tak, ale spójrzmy, co się stało z kryzysem humanitarnym na granicy. Żeby nie doszło do głosu opowieści o tym, że z kraju solidarności i wolności staliśmy się krajem egoizmu i podłości, po prostu wyrzucono z pasa przygranicznego



Opah

Polska Akcja Humanitarna

Czy wiesz na jaki cel
idzie Twój 1%?

Wejdź na:
podatki.gov.pl/pit/twoj-e-pit
i przekaz go na działania
Polskiej Akcji Humanitarnej

KRS 0000136833

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Chłopskie korzenie

Niedawna śmierć Józefa Tejchmy przeszła niemal niezauważenie. Nie pierwszy raz obserwuję przemilczanie zgonów wybitnych przedstawicieli dawnego ustroju. Przed siedmiu laty tylko dlatego, że byłem w Warszawie, trafiłem w stołecznym dzienniku na nekrolog Artura Starewicza. Ubiegłoroczną śmierć Edwarda Babiucha mało kto odnotował. Po zgonie Stanisława Kani coś tu i ówdzie napisano, ale ostrożnie, by zaledwie nie pochwalić „komucha”. Właściwie tylko odejście Wojciecha Jaruzelskiego i Stanisława Kociołka spotkało się z rozgłosem. Ale to był jedynie upust nienawiści.

Czarno-białe widzenie przeszłości jest przywarą, która prędzej czy później minie. Ale brak ciekawości, by – póki ci ludzie żyją – o coś ich zapytać, czegoś się od nich dowiedzieć, był i jest zdumiewający. Właściwie jedyną osobą, która do końca rozmawiała z „onymi”, była Teresa Torńska. A historycy zawodowi? Badacze dziejów najnowszych? Nieżyjący już prof. Jerzy Borejsza opowiadał mi, że gdy po 1991 r. historycy z dawnych demoludów penetrowali w Moskwie archiwum Kominternu, Polaków jako jedynych to nie interesowało. Nas interesują głównie archiwa SB.

Tejchma miał w chwili śmierci 94 lata. Przed półwieczem ten sekretarz KC i członek Biura Politycznego był – tak jak nieco od niego młodszy Kociołek – typowany na następcę Władysława Gomułki. Kociołek przegrał życie wystąpieniem w grudniu 1970 r., Tejchma natomiast utrzymał się także w ekipie Edwarda Gierka i nawet wtedy pozostawał przez chwilę potencjalnym następcą „pierwszego”. Natura nie obdarzyła go jednak „gruczołem władzy” – bodaj z własnej woli przeniósł się na stanowisko ministra kultury i sztuki. I jako taki jest do dziś dobrze wspominany. Wszak to on, ryzykując karierę, zdecydował w 1977 r. o wejściu na ekrany „Człowieka z marmuru” Andrzeja Wajdy. Czy do działania wbrew własnemu zapleczu byłby zdolny obecny minister kultury?

Zetknąłem się z Tejchmą tylko raz: w warszawskim Klubie Księgarza. Był bardzo już stary, pochylony, opierał się o laskę. „Śledzę pana karierę od IV Zjazdu”, wypaliłem. „Tak?”, zdziwił się chłodno. I tyle – była to najkrótsza rozmowa w moim życiu. Dopiero poniewczasie zrozumiałem, że moje słowa Tejchma uznał zapewne za ironiczne. Tymczasem ja rzeczywiście śledziłem jego karierę od IV Zjazdu PZPR, bo wtedy, kończąc w 1964 r. szkołę podstawową, zwróciłem uwagę na tego człowieka, który właśnie wszedł w skład najwyższych władz. Miał lat 38, na zdjęciach emanował młodością.

Nie powiedziałem zatem Tejchmie dwóch rzeczy. Pierwszej – że promotorem mojej pracy doktorskiej był Tomasz Weiss. Nie pamiętam wprawdzie, by prof. Weiss wspominał w rozmowach Tejchmę, wiem jednak, że Tejchma kilkakrotnie publicznie wspominał jego. Podobnie jak innego znakomitego polonistę, prof. Czesława Hernasa. Oni wszyscy – również minister spraw zagranicznych Józef Czyrek – wyszli w tym samym mniej więcej czasie z murów gimnazjum w Łańcutie. Tejchma zawsze o nich pamiętał.

A sprawa druga – to moje wspólne z Tejchmą korzenie. Nie, nie pochodziłem z Markowej, lecz ta jego wieś rodzinna jest oddalona zaledwie o 8 km od Ostrowa, gniazda Bytnarów, rodziny mojej matki. Szkoła podstawowa w Ostrowie nosi imię mych wujów: Stanisława Bytnara

Czy do działania wbrew własnemu zapleczu byłby zdolny obecny minister kultury?

(z którym dziadek Jakub poszedł w 1914 r. do Legionów) i Jana Bytnara „Rudego”, bohatera okupacyjnej Warszawy. Ale i więcej: Markową, tak jak pobliską Albigową, założyli w XIV w. koloniści niemieccy – nazwiska Tejchma (dawniej Teichmann) i Bytnar (dawniej Bythnar lub Bythner) do dziś pojawiają się w tych stronach. Czy trudno sobie wyobrazić któregoś z Teichmannów czy Bythnerów wędrujących w późnym średniowieczu ze Śląska, a może nawet z Saksonii, i na świeżo przyłączonych przez Kazimierza Wielkiego ziemach ruskiej, zakładających Landshut (Łańcut) oraz wieś Helwigau (Albigowa) i Markhof (Markowa)? Nasze chłopskie rodziny orały więc rolę tam, gdzie żywioł niemiecki stykał się z żywiołem ruskim, z wolna dopiero przekształcając się w naród polski. Kilka wieków później analogiczne procesy zachodziły w inteligenckiej rodzinie Weissów de Weissenfeldów, z odległego od naszych stron Stanisławowa.

Tego wszystkiego nie powiedziałem Tejchmie. Gdybym powiedział – pewnie byśmy sobie wtedy pogadali. Dziś musi mi wystarczyć jego ostatnia książka: wspomnieniowy „Bunt przeciw starości”. Czy powinienem się dziwić, że autor jest dla mnie człowiekiem bliskim?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Dziewuchy, aborcja, podatki i kult Korwina

Dlaczego lewica wciąż przegrywa w internecie?

Jakub Dymek

Na przełomie 2020 i 2021 r. wydawało się, że dla lewicy idzie fala wznosząca. Przez Polskę przetoczyły się burzliwe demonstracje Strajku Kobiet, które zaktywizowały politycznie setki tysięcy ludzi, a ich przekaz trafił do milionów. CBOS opublikował badania postaw młodzieży, z których wynikało, że w kwestii poglądów najmłodsza generacja polskich wyborców odbiła już od prawej ściany i mocno się liberalizuje. Tematy, które w debacie publicznej poruszała przede wszystkim lewica – aborcja, prawa kobiet, przemoc wobec mniejszości – były bardzo głośne. Sondaże pokazywały też, że młodzi ludzie – wśród nich zdecydowana większość kobiet – utożsamiają się z lewicą w skali, jakiej w III RP wcześniej nie widziano.

Lewica przegrywa politycznie. Bo zainteresowanie lewicowymi i progresywnymi treściami w sieci jest duże.

Po zwycięstwie prezydenta Bidena w USA i zamieszkach w Waszyngtonie 6 stycznia wydawało się poza tym, że platformy cyfrowe staną się niegościnnym miejscem dla radykalnej prawicy. W końcu od długiego czasu przekonywano nas, że Facebook, Twitter, YouTube czy Instagram poważnie traktują walkę z dezinformacją szczepionkową czy w ogóle problem polaryzacji i radykalnych treści. Było to jednak, jak wiele podobnych zapowiedzi, mydlenie oczu. Donald Trump został z serwisów społecznościowych wyrzucony, ale lewica, która – słusznie bądź nie – cieszyła się z tego rozstrzygnięcia, wiele nie zyskała. W pewnych wymiarach, co wiemy już dzięki

niezależnym opracowaniom i badaniom ruchu w sieci, lewica w Polsce i na świecie wciąż ma się gorzej niż prawica. A kolejny rok pandemii tylko pogłębił dzielący je dystans.

W świecie platform cyfrowych i w debacie online lewica pomimo pewnych sukcesów przegrywa. A ściślej, przegrywa politycznie. Bo zainteresowanie lewicowymi i progresywnymi treściami w sieci jest duże, pojawia się także coraz więcej utożsamiających się z nimi popularnych influencerów i influencererek. To jednak tylko zdobywanie przyczółków w rzeczywistości, w której wciąż rządzi kto inny.

Prawicowa lista przebojów

W ostatniej dekadzie, najpierw w anglojęzycznym internecie, a szybko i w Polsce, karierę zrobiło powiedzonko *left can't meme*, czyli „lewica

nie umie w memy”. To przekonanie, że lewicowe i progresywne poglądy radzą sobie w sieci gorzej, było czasem mniej, a czasem bardziej zasadne. Ale twarde dane były dla lewicy surowe. Regularnie publikowane listy najpopularniejszych polityków, publicystów i liderów opinii w sieciach społecznościowych zdominowane są przez prawicę i radykalną prawicę. Przez lata, z pewnymi wyjątkami, o których za chwilę, było to równie prawdziwe i na Facebooku, i na YouTube, Twitterze czy Instagramie.

Na Facebooku przechył na prawo był momentami tak wyraźny, że firma na różne sposoby musiała ukrywać te informacje przed

krytykami. Spektakularnym przykładem była choćby historia Crowd-Tangle, narzędzia pozwalającego mierzyć popularność ukazujących się na Facebooku treści. Firma ostatecznie przestała udostępniać dane zewnętrznym obserwatorom, bo regularnie na szczytach rankingów popularności były radykalne i skandalizujące wpisy prawicowych celebrytów. Publicysta „New York Timesa” Kevin Roose, który nagłośnił tę sprawę, w odpowiedzi sam zaczął prowadzić ranking najpopularniejszych postów na Facebooku. Zdarza się, że danego dnia na dziesięć najpopularniejszych wpisów siedem-osiem to posty prawicy, z kont radykalnej lewicy albo mediów głównego nurtu przebija się ich trzykrotnie mniej.

Statystyki, które mamy dla Polski, wyglądają podobnie. Według opracowań firmy Sotrender na polskim Facebooku Konfederacja, Ruch Narodowy i sympatycy partii KORWiN deklasują konkurencję. We wrześniu, październiku i listopadzie po 13-14 z 15 najpopularniejszych według metodologii Sotrendera postów na Facebooku pochodziło z kont tych trzech środowisk. Trójka polityków z ugrupowań innych niż Konfederacja, którym udało się znaleźć na tych listach przebojów, to: Rafał Trzaskowski, Barbara Nowacka i Joanna Scheuring-Wielgus. Ktoś może pomyśleć, że to dobry znak dla lewicy, bo są to politycy lewego skrzydła KO i postanka Lewicy.

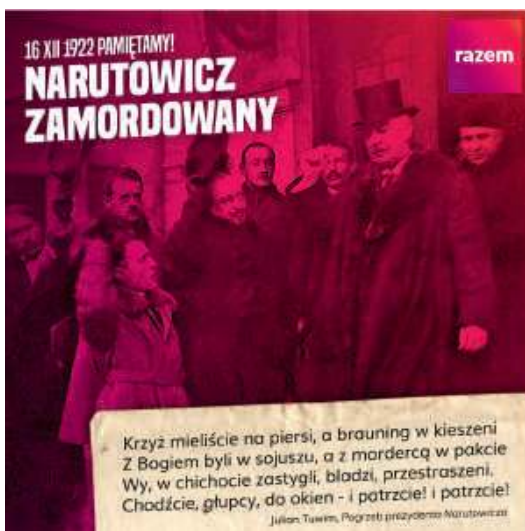
Problem w tym, że każda osoba z tej trójki przebiła się do rankingu najpopularniejszych z jednym wpisem na miesiąc – Konfederacja czy Ruch Narodowy mają ich dziesięciokrotnie więcej. Konfederacja (pisałem o tym w poprzednim tekście, poświęconym sukcesom prawicy w mediach społecznościowych) jest najpopularniejszą partią na liczących

się platformach: na Facebooku, Twitterze i Instagramie. Wśród 20 najpopularniejszych stron na Facebooku poświęconych politykom i polityce jedynym reprezentantem lewicy jest Robert Biedroń. Inaczej jest na Instagramie, platformie bardziej sfeminizowanej, do niedawna jeszcze w ogóle mało upolitycznionej, nastawionej na krótki i atrakcyjny wizualnie przekaz. Tam rzeczywiście lewica cieszy się dużą liczbą obserwujących (ok. 60 tys.) i chyba największymi zasięgami spośród partii politycznych. Ale nawet tam przegrywa – choć nieznacznie – z Konfederacją, która może się pochwalić większą liczbą obserwujących i fanów.

Aborcja rządzi

Od tej reguły jest wyjątek. Protesty przeciwko zaostreżeniu prawa aborcyjnego z jesieni 2020 r. nie tylko wyciągnęły z domów dziesiątki i setki tysięcy osób. Strajk Kobiet i pięć wcześniejszych lat rządów PiS uczyniły aktywność Polek w sieci i na platformach cyfrowych fenomenem w naszej części Europy. Albo i w całej Unii Europejskiej. Strony i profile Ogólnopolskiego Strajku Kobiet, Aborcyjnego Dream Teamu i Dziewuch Dziewuchom mogą się pochwalić zasięgami, popularnością i liczbą zaangażowanych użytkowników wielokrotnie przekraczającymi osiągnięcia większości opozycyjnych polityków i partii. Sprawy społeczne w ogóle przyciągają na platformach społecznościowych bardziej kobietą publiczność, męską zaś – tematy polityki i gospodarki. Im bardziej sfeminizowana platforma, tym bardziej to widoczne. Na Instagramie Strajk Kobiet obserwuje 480 tys. osób, Dziewuchy Dziewuchom 235 tys., Aborcyjny Dream Team 90 tys. W każdym z tych trzech przypadków to więcej, niż udało się zdobyć jakiegokolwiek partii czy ruchowi politycznemu.

Za część tego zjawiska odpowiada również polaryzacja



polityczna. Aborcja jest trudnym tematem w polityce – bo nie ma wokół niej żadnego konsensusu i mocno dzieli – ale z wielu powodów jest łatwym i niezwykle wygodnym zagadnieniem do wykorzystania w mediach społecznościowych. Podział jest jasny, debatę da się sprowadzić do sloganów, a wybór za prawem do przerywania ciąży lub przeciw niemu jest rzeczywiście zero-jedynkowy. Algorytmy platform cyfrowych kochają polaryzujące treści. Jeszcze bardziej zaś takie, które budzą emocje, a przy tym są zrozumiałe dla szerokiego grona odbiorców. Tak właśnie jest z aborcją, a w internecie determinacja i kreatywność aktywistek ściera się z twardym oporem prawicy i Kościoła. Proporcje dla tych pierwszych wyglądają w mediach społecznościowych dużo lepiej niż poza nimi.

Ale, jak wiemy, popularność tematu aborcji i skuteczna komunikacja środowisk kobiecych w sieci nie przekłada się na popularność lewicy i jej programu jako takich. Dlaczego? To pytanie na pewno zadają sobie regularnie sztabowcy partii lewicowych, ich rzecznicy i politycy. Po części dzieje się tak dlatego, że walka o prawo do przerywania ciąży jest sprawą szerszą, a nie tylko lewicową – choć rzeczywiście tylko lewica jest konsekwentnie po stronie liberalizacji prawa aborcyjnego. Ale przeciwniczki PiS i zwolenniczki lewicy to dwa dość różne zbiory. Lewicy niełatwo sprzedać cały pakiet jej poglądów. Odbiorcy i odbiorczynie, którzy popierają prawo do aborcji i równość małżeńską, nie interesują się np. prawami pracowniczymi czy polityką historyczną. I na odwrót, niejednokrotnie bardziej zachowawczy obywatel wyborca SLD nie odnajduje się w języku i poglądach młodej i tożsamościowej lewicy. Lewicy to z pewnością się nie podoba, ale niewiele może z tym zrobić: najpopularniejszy w sieci temat powinien działać ▶

► na jej korzyść, a w praktyce funkcjonuje zupełnie autonomicznie.

Pułapka eksperckości

Jakie są powody słabości lewicowych polityków i programu lewicy w sieciach społecznościowych? Kilka to sprawy prozaiczne i doraźne, inne mają stały charakter. Zaczniemy od tych pierwszych. Politycy lewicy młodsze i średniego pokolenia, Adrian Zandberg, Krzysztof Śmiszek, Maciej Gdula czy Maciej Konieczny, zazwyczaj nie korzystają z usług

– skojarzenie lub obrazek, który łatwo zapamiętać – znaczy więcej niż trafna analiza albo błyskotliwe spostrzeżenie. Jedną z najbardziej udanych pod tym względem akcji była wspólna „tęczowa” fotografia ubranych na kolorowo lewicowych posłanek, którą do dziś powielają media. Udało im się wtedy zaprezentować przeciwko polityce władz wobec mniejszości i zarazem zrobić sobie wielką kampanię promocyjną. PR-owo był to wielki sukces. Z punktu widzenia twardej polityki jednak był to wyłącznie gest, do tego taki,

kobiet, feminizm, weganizm, prostytucję, stosunek do liberalizmu – kilkakrotnie prowadziły do ogólnopolskich awantur w sieci. Tego samego nie można jednak powiedzieć o ich postulatach programowych i projektach ustaw. Lewicy szkodzi wizerunek wiecznie skłóconej, a taka Konfederacja wydaje się monolitem – choć w rzeczywistości jest podzielona i niespójna.

Lewica doczekała się w końcu swoich influencerów, czyli internetowych celebrytów i liderów opinii przemawiających do dziesiątek tysięcy oddanych fanów. Ale – paradoks lewicowej tożsamości – są to ludzie na tyle niesforni, indywidualnie myślący i kapryśni, że często skłócenia z parlamentarną lewicą. Ich popularność i sukcesy nie pomagają więc politykom, którzy starają się o głosy bardzo podobnymi hasłami i przekazem.

Wszystko to jednak sprawy incydentalne wobec prawdziwej przyczyny popularności prawicy i słabości lewicy na Facebooku, YouTube i Twitterze. Prawica po prostu ma przewagę stażu i wciąż jest o kilka długości przed konkurencją. Konfederacja to owszem, młoda partia, ale ludzie, którzy ją tworzą – Bosak, Winnicki, Berkowicz, Sośnierz – walczyli o uwagę internetu od lat. Korwin-Mikke, choć sam jest człowiekiem wiekowym, wychował całą generację aktywnych w sieci polityków i stworzył wokół siebie swoisty kult. Ruch Narodowy i kolejne korwinowskie

Na Instagramie Strajk Kobiet obserwuje 480 tys. osób, Dziewuchy Dziewuchom 235 tys., Aborcyjni Dream Team 90 tys.

profesjonalnych doradców i agencji *social media*. Także obdarzone niezaprzeczalnym talentem do mediów polityczki w rodzaju Agnieszki Dziemianowicz-Bąk czy bardzo aktywna w sieci i poza nią Joanna Scheuring-Wielgus polegają bardziej na intuicji, niż realizują spójną strategię oddziaływania na wyborców w sieci.

W realiach dzisiejszych platform społecznościowych walka o zasięgi oznacza gotowość do ośmieszenia się, robienia rzeczy niepoważnych, trywializacji i upraszczania przekazu. To nie musi być jednoznacznie godne potępienia. Ale dla polityków, których atutem w życiu publicznym jest powaga i wiedza – Zandberg ma doktorat z historii i jest ekspertem w sprawach cyfrowych, Śmiszek jest doktorem nauk prawnych, Gdula, zanim wszedł do polityki, był gwiadzą nauk społecznych – to może być toksyczne. Nie każdy jest Barackiem Obamą, który w swoim czasie potrafił być uwodzicielski, zabawny i nie stracił przy tym nic z powagi. W śmieszno-infantylnie-bezpośredniej konwencji świetnie radzi sobie za to Robert Biedroń. On jednak bardzo słabo komunikuje program lewicy – zdarzają mu się ewidentne pomyłki i, jak to się branżowo określa, „nie trzyma się przekazu”. Osobista popularność Biedronia bardzo mu pomogła, gdy zakładał programowo nieokreśloną Wiosnę.

W komunikacji na platformach cyfrowych liczą się symbole, gesty i proste odwołania, a nie wartości. Zabieg mnemotechniczny

który trudno powtórzyć. Na razie nie udało się innych lewicowych spraw – zapaści służby zdrowia, unikania opodatkowania przez wielkie korporacje czy wyzysku w miejscu pracy – nagłośnić za pomocą równie łatwych i spektakularnych obrazków.

Długo z tyłu

Lewica, i to nie tylko parlamentarna, cierpi w mediach społecznościowych z powodu swojej legendarnej już kłótności. Inba, czyli młodzieżowe określenie awantury, stała się właściwie tożsama z lewicą. Śledzeniem lewicowych inb zajmują się dziesiątki tysięcy osób na Instagramie, Facebooku i Twitterze.

Inba, czyli młodzieżowe określenie awantury, stała się właściwie tożsama z lewicą.

Oczywiście środowiska prawicowe i nacjonalistyczne też się kłócą. Ale ze względu na bliskość obiegu informacyjnych to akurat lewicowe spory – a nie te w gronie działaczy Konfederacji – trafiają na strony ogólnopolskich mediów i portali. Coś, co mogłoby stanowić atut lewicy, czyli bliskie pokoleniowe i towarzyskie związki z dziennikarzami newsroomów portali internetowych i popularnych stron facebookowych, stało się jej przekleństwem. W ostatnich kilku latach wewnętrzne spory Razem i młodej lewicy – o molestowanie seksualne, o transfobię, strajk

partyjki rozpychały się w sieci, zakładały swoje media i uparcie gromadziły zwolenników od przynajmniej 2010 r. W tamtym czasie nie było Razem ani Wiosny, Zandberg czy Dziemianowicz-Bąk mieli swoje życie poza polityką, a obecnością lewicy parlamentarnej w sieci kierował zapomniany już Grzegorz Napieralski.

Gdyby ktoś wyzerował dziś stawkę i kazał lewicy i prawicy ściągać się od zera – wynik byłby dużo bardziej wyrównany. Ale na to się nie zanos.

Jakub Dymek

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ręce precz od czarownic!

Ręka musi się nauczyć nowej daty, automatyzm musi zmienić się w kolejny nawyk, trzeba złożyć pokłon rytuałowi numerowania czasu – witamy w roku 2022. Trochę o nim wiemy i oczywiście wiele nie wiemy. Czy wiemy najważniejsze? Nie ma to znaczenia, i tak to zlekceważymy. O tym opowiada szeroko komentowany w ostatnich dniach 2021 r. film fabularny „Don’t look up” Adama McKaya, z Meryl Streep (prezydentka USA) i Leonarde DiCaprio (astronom) – krzywy portret ogłupiałej cywilizacji białego, bogatego człowieka, która odurzona komercją mediów i dyrygowana przez kosmicznie chciwy kapitalizm nie jest w stanie zareagować, obronić się przed nadciągającą z nieuchronnością kolejnych dat w kalendarzu katastrof – taką czy inną, tu akurat jest to kometa. Bomba większa niż miliony tych znad Hiroszimy, ale przecież zaśób metali ziem rzadkich...

Sam film to dla jednych arcydzieło, dla drugich gniot niemal propagandowy. Krytykowanie Meryl Streep za „przerysowanie” granej postaci udowadnia, że już zapomnieliśmy, jak w całości przerysowany i karykaturalny był niedawny prezydent USA. Jesteśmy jako zbiorowość durni i przyjdzie nam za to zapłacić własnym unicestwieniem, nie zmieni tego dokonanie na miarę stulecia, czyli wysłanie na misję teleskopu Jamesa Webba, największego osiągnięcia ludzkiego rozumu i techniki, dzięki któremu nasz wzrok sięgnie prawie 14 mld lat świetlnych od naszej łupinki. Duża część z nas będzie tam wypatrywać kolejnej bajki o stajence (nie zauważając tych rzeczywistych ludzi tuż obok) czy krawędzi świata, bo przecież gdyby Ziemia była okrągła, tobyśmy spadli.

Są też dobre wieści, choć kłopotliwe. Gdy będzie kiedyś powstawał bilans harców pisowskich rządów, trzeba będzie im oddać sprawiedliwie wykonanie kilku istotnych ruchów w sprawie regulacji naszych zachowań na drogach jako kierowców; wyższe mandaty nie są tu najważniejsze – ale tylko one działają na nasze przestymulowane mózgi. Przyznanie pół roku wcześniej większych uprawnień pieszym na pasach już skutkuje setkami uratowanych żywotów.

No ale gdyby ktoś pomyślał, że w związku z tym można wysunąć przypuszczenie, że życie ludzkie (czytaj: polskie) jest ważne instytucjonalnie dla tej formacji politycznej, to natychmiast leje się nam na głowę wiadro lodowatej wody rekordów covidowych zgonów. Żegnamy stary rok OŚMIUSET śmierciami dziennie. Cośmy uratowali spod kół w skali roku – zabijamy covidem w dwa, trzy dni, bezradni w szpitalach. Bo, jak baje w wywiadzie dla Interii nieemerytowany zbawca (terminator?) narodu Jarosław Kaczyński: nie da się, nie uda się, nie posłuchajom,

Polaka nie da się zmusić, do maseczek, do szczepień, do testów. A poza tym nasz żoliborski marszałczyna nic nie wie, nie pamięta, nie odpowiada za nic, nie wie, co robi jako wicepremier, w sklepie zżyma się na ceny produktów spożywczych, nie rozumie, dlaczego jest krytykowany, nie ma sobie nic do zarzucenia. Ten wywiad brzmi jak nieudolna, bezradna i naiwna mowa obrończa przed jakimś nieznanym trybunałem, który nadchodzi, już się zbliża, już puka do jego drzwi.

Nie można też powiedzieć, że Kościół nie zaczyna widzieć, co się święci – że nadchodzi czas rachunków, rozliczeń i koniec listów żelaznych na przestępstwa, ich tuszowanie i nieokiełznaną pazerność materialną (ale zanim nadejdzie opamiętanie, to oblaci, tacy zakonnicy, wyszarpnęli od państwa fragment Świętokrzyskiego Parku Narodowego, kawałek szczytowy Łysej Góry, na świętym miejscu polskich czarownic powstanie centrum pielgrzymkowe – to będzie musiało się zemścić...).

Tymczasem niejaki Marek Jędraszewski, ważna postać instytucji katolickiej jakkolwiek by było, arcybiskup Krakowa, wydał polecenie podległym sobie księżom: „Zabrania się zapraszania i przyjmowania małoletnich w mieszkaniach

Pożegnanie z rozumem trwa. Czas na powitanie.

duchownych”. Hm, ale dlaczego? Co dzieciom może grozić? Przecież problem pedofilii i przestępstw seksualnych wobec nieletnich, których sprawcami są duchowni, w Polsce nie istnieje. A może zamiast wydawać taki zakaz, należy rozliczyć się z procederem tuszowania przez dekady podobnych przestępstw? Udostępnić prokuraturze dokumenty? Zadośćuczynić ofiarom, a nie ganiać się z nimi latami po sądach, żeby tylko nie oddać złotówki? Jak to szło w tych dziwnych ewangeliach? „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie, nie przeszkadzajcie im; do takich bowiem należy królestwo Boże”? No cóż, w Polsce to nie może się udać, jest, widać, realne zagrożenie, i nie są to wilki.

Trudno o łatwy, życzeniowy optymizm, idzie to w większości źle. Zamiast do przodu, jako społeczeństwo cofamy się. Ale dlaczego miałyby być inaczej, jeśli kolejne roczniki dzieci będą się uczyć, że „katastrofę smoleńską z 2010 r. należy traktować jako największą tragedię w powojennej historii Polski” (z oficjalnego dokumentu resortu edukacji)?

Pożegnanie z rozumem trwa. Czas na powitanie, czego i sobie, i Państwu życzę.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Pracująca Ameryka mówi dość

Amerykanie znów zaczynają się organizować i strajkują, na razie z różnym skutkiem

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

Czy pandemia w końcu potrząsnęła amerykańskim pracownikiem? Czy pożałował teraz, że tak łatwo dał sobie odebrać związki zawodowe? Amerykanie znów zaczynają się organizować i strajkują, na razie z różnym skutkiem. Czy starczy im siły i determinacji, by bronić swoich praw?

Aurora, Kolorado, lato-jesień 2021 r. Pracownicy HelloFresh, największego na świecie producenta gotowych posiłków, zbierają podpisy, by zorganizować w firmie głosowanie w sprawie założenia związku zawodowego. W 2020 r. koncern, który ma oddziały w kilku miastach w USA oraz w 14 innych krajach, rozwinął się i zarobił dwa razy tyle, ile normalnie, jednak pracownicy wcale na tym nie skorzystali, wręcz przeciwnie. Do National Labor Relations Board (NLRB), organu stojącego na straży federalnej karty pracy, zaczęły spływać skargi na złe traktowanie i pogarszające się, niekiedy zwyczajnie niebezpieczne dla zdrowia, warunki pracy w firmie. Wśród nich także zarzuty wobec managementu o zastraszanie osób zaangażowanych w działania prozwiązkowe. W listopadzie dochodzi do głosowania. Wynik jest negatywny.

Boulder, Kolorado, październik 2021 r. Pracownicy sieci cukierni Spruce Confections przegłosowują wniosek, by stać się filią Bakery, Confectionery, Tobacco Workers and Grain Millers International Union, związku zawodowego działającego na terenie całych Stanów. Jeśli to im się uda, będą jedynymi cukiernikami zrzeszonymi w związku zawodowym w całym hrabstwie.

14 miejscowości z oddziałami koncernu John Deere, największego producenta sprzętu rolniczego w USA, 17 października 2021 r. Rozpoczyna się strajk 10 tys. pracowników należących do United Auto Workers, którzy od miesięcy bezskutecznie prowadzą

pertraktacje z zarządem o lepsze płace, świadczenia i warunki pracy. To pierwszy w Ameryce strajk na taką skalę od 35 lat. W listopadzie zarząd zrywa rozmowy.

Fabryki koncernu Kellogg (producenta płatków śniadaniowych) w stanach Michigan, Nebraska, Pensylwania i Tennessee, październik 2021 r. Strajkuje 1,4 tys. pracowników, członków Bakery, Confectionery, Tobacco Workers and Grain Millers International Union. Domagają się zmian w systemie wynagrodzeń, bo kilka lat temu, by zaoszczędzić, firma wprowadziła dwupoziomowość – nowi pracownicy za tę samą pracę dostają dużo niższe wynagrodzenie i uboższe pakiety świadczeń, muszą jednak płacić wyższe składki na ubezpieczenie medyczne. Na początku listopada Kellogg odchodzi od rozmów i oświadcza, że pracownicy tymczasowi, których zatrudnił w miejsce strajkujących, zastąpią tych drugich na stałe.

miejscach pracy szantaż i groźby pod adresem tych, którzy inicjują ruchy prozwiązkowe, to chleb powszedni.

Waszyngton, listopad 2021 r. Najnowszy raport Biura Statystyki Pracy (Bureau of Labor Statistics) donosi, że liczba wakatów na rynku sięgnęła w październiku rekordowych 11 mln, z pracy zaś odeszło kolejne 4,2 mln Amerykanów. Najbardziej zdesperowane brakiem rąk do pracy pozostają sektory oferujące najniższe zarobki.

Wielka złość

Eksperci nazwali to zjawisko wielką rezygnacją – na znak, że choć gospodarka otworzyła się już dobry rok temu, Amerykanie nie śpieszą się z powrotem do swoich firm, a niektórzy po doświadczeniach pracy w czasie pandemii właśnie teraz z niej odchodzą. Na początku 2021 r. analitycy uspokajali pracodawców, że wszystko wróci do normy, gdy tylko

Od bankructwa czy bezdomności dzieli dziś statystycznego Amerykanina nie więcej niż jedna ciężka choroba.

Wszystkie te protesty odbywały się w oparach skandalu, do jakiego doszło w kwietniu 2021 r. w magazynie Amazona w Bessemer w Alabamie. Pracownicy magazynu od roku walczyli o utworzenie związków zawodowych – Amazon od dawna i nie tylko w Bessemer zbiera cięgi za katastrofalne warunki pracy. W kwietniu przeprowadzono głosowanie, jednak połowa kadry opowiedziała się przeciwko związkom. Aktywiści poprosili NLRB o audyt, a ten w listopadzie potwierdził, że pracownicy byli zastraszani i szantażowani do tego stopnia, iż wyniki głosowania w kwestii powołania związków zawodowych powinno się uznać za nieważne i zgłosować na nowo. Pracownicy HelloFresh, John Deere, Kellogga i wielu innych firm na terenie całego kraju przyświadcza, że również w ich

ludziom skończą się oszczędności. Za coś przecież żyć muszą, resztę załatwią szpecienki, należy więc jeszcze na kilka miesięcy uzbroić się w cierpliwość. Ale już latem ton przewidywań zaczął się zmieniać. Wakatów bowiem wciąż przybywało, a kolejne badania przeprowadzane w grupach niewracających do swoich starych firm dawały jeden, dość spójny obraz. Amerykanie, szczególnie ci zarabiający mało, byli nie zrezygnowani, ale wręcz wściekli i po prostu mówili „dość” wszystkiemu temu, na co go dzili się przed pandemią: głodowym stawkom, za które nie można przeżyć, nawet pracując w pełnym wymiarze godzin, przepisom pracy, które obecnie, jak przed stu laty, oddają całą władzę w ręce pracodawcy, rosnącym nierównościami ekonomicznymi i brakowi świadczeń, przez który od



Protest członków i sympatyków Związku Górników przed siedzibą BlackRock, głównego akcjonariusza spółki Warrior Met Coal Inc. Związkowcy z tej kopalni od ośmiu miesięcy walczą o poprawę warunków pracy. Nowy Jork, 4 listopada 2021 r.

bankructwa czy bezdomności dzieli dziś statystycznego Amerykanina nie więcej niż jedna ciężka choroba.

– Zatoczyliśmy koło. Amerykański pracownik znów jest bezsilny i samotny. Pandemia pokazała, jak bardzo. Ludzie nie mogli nawet wyjechać od pracodawców odzieży ochronnej PPE, podczas gdy związki zawodowe były w stanie ją dostarczyć. Nie dziwi wcale, że poparcie dla związków zawodowych tak poszybowało w górę. Przecież zrzeszają dzisiaj ledwie 10% pracowników – wyjaśniał Richard Trumka, zmarły w sierpniu szef Amerykańskiej Federacji Pracy – Kongresu Przemysłowych Związków Zawodowych (AFL-CIO), największego stowarzyszenia związków zawodowych w USA. Heidi Shierholz, szefowa think tanku Economic Policy Institute w Waszyngtonie i była główna ekonomistka w Departamencie Pracy za prezydenta Obamy, dodaje do tego: – Ludzie w końcu rozumieją, że upadek związków zawodowych bezpośrednio przyczynił się do stagnacji płac wszystkich, oprócz grupki na samym szczycie piramidy zarobkowej, która na obecnym stanie rzeczy bardzo korzysta. Związkowcy zarabiają średnio 13% więcej niż niezrzeszeni. To też robi różnicę.

O jakiej skali poparcia dla związków zawodowych mówimy? Trzy lata temu raport badaczy z MIT donosił, że zainteresowanie związkami zawodowymi wyrażało 48% pracowników niezrzeszonych, czyli ok. 58 mln ludzi. W sondażu Gallupa z 2020 r. odsetek ten podskoczył do 65% – 83% wśród wyborców demokratycznych, 64% wśród niezdecydowanych i 45% wśród republikańskich.

Wielki odwrót

Ameryka nigdy nie osiągnęła takiego odsetka przynależności, jakim cieszyły się związki zawodowe w wielu innych częściach świata (nawet ponad 70% w krajach skandynawskich, 40% w Australii i w UK, 60% w Niemczech), jednak w latach 50. i 60. zeszłego wieku zrzeszona była ponad jedna trzecia pracowników. Popularność związków zawodowych zaczęła sukcesywnie spadać od początku lat 80., kiedy do Białego Domu wprowadził się Ronald Reagan, do ekonomii zaś nowa filozofia, reaganomika. W skrócie – założenie, że wzrost gospodarczy można osiągnąć jedynie przez większe uwolnienie gospodarki i obniżanie podatków, a wygenerowane w ten sposób przez przedsiębiorców zyski rozejdą się po wszystkich

sektorach rynku na zasadzie *trickle-down* (pol. spłynąć w dół). Dziś już wiemy, że nic z tych czarów się nie sprawdziło, system *trickle-down economics* w połączeniu z agresywną deregulacją sektora finansowego na powrót zafundował klimat Dzikiego Zachodu w stylu *anything goes* (patrz wielki krach 2008 r.) i pozostaje przyjacielem wyłącznie tych, którzy i tak lokują się w najwyższych przedziałach dochodowych, przez co pogłębiają się nierówności ekonomiczne. Według Economic Policy Institute zarobki prezesów firm wzrosły w USA od 1978 r. o 1322% i są obecnie 351 razy wyższe niż statystycznego pracownika. Pensja pracownicza wzrosła tymczasem w ostatnim półwieczu zaledwie o 14% (EPI, 2020 r.). W latach 1981-1983 pracę stracił co piąty pracownik z sektora wytwórczego, a bezrobocie znów podskoczyło do ponad 10%. Jeśli wystąpienie ze związków zawodowych lub podpisanie cyrografu, że nigdy do nich się nie wstąpi, było ceną, by znów tę pracę dostać, nie wydawało się to aż tak straszną rzeczą. W 1983 r. do związków zawodowych należał więc już tylko co piąty pracownik, wojna zaś, którą wypowiedziały im amerykańskie korporacje, wskazując je nie- ▶

wszystkich ekonomicznych bolączek, sprawiła, że popularność związków dalej spadała, był osiągnąć obecne 10-procentowe dno.

Nie ma co się oszukiwać, związki zawodowe przeżywają dziś kryzys na całym świecie, ale nie można nie zadawać sobie pytania, dlaczego właśnie w Ameryce, ideologicznie przecież liderce walki o prawa i godność człowieka, ich upadek był tak bolesny.

Wielka teoria upadku

Zdaniem Josepha McCartina, historyka z Georgetown University i autora wielu książek na temat historii związków zawodowych w USA, stryczek zawisł nad ruchem związkowym ledwie dekadę po tym, jak ruszyły z miejsca. Był rok 1947, a stryczek przyjął formę ustawy Taft-Hartley Act, która wprowadziła ograniczenia działań związkowych, w tym ich finansowania i zaangażowania politycznego, a przede wszystkim usunęła z ustawodawstwa z 1935 r. wymóg zatrudniania przez pracodawcę w danej

Wśród ekspertów popularna jest również teoria, że upadek związków zawodowych nie bez przyczyny nastąpił w ostatnich 20 latach – stały się one przecież jedną z największych ofiar globalizacji. Jeśli bowiem głównym zadaniem związków zawodowych jest ochrona miejsc zatrudnienia, płacy i warunków pracy, włączając w to poczucie, że jest się docenianym i szanowanym, globalizacja faktycznie mocno sobie z tych idei zadrwiła. Jak podaje platforma reshore.org, od 2000 r. amerykańskie firmy wyprowadziły za granicę co najmniej 3 mln miejsc pracy w fabrykach i drugie tyle w sektorze usług oraz konsultingu. Popularną metodą zarządzania jest utrzymywanie pracownika w przeświadczeniu, że w każdej chwili może być wymieniony na kogoś tańszego, powinien więc być wdzięczny firmie, że w ogóle go zatrudnia, i dla własnego dobra nie zgłaszać roszczeń. „Gdy produkcja odbywa się za granicą, nie szkodzą jej żadne strajki w kraju, bo nie mają one przełożenia na korporacyjne zyski. To zmienia całe pole relacji między pracowni-

demokraci mają dużo mniejszą przewagę, a dramatyczna batalia, która rozegrała się niedawno o pakiet inwestycyjny Build Back Better, osłabiła chwilowo chęć Białego Domu do podejmowania kolejnej walki.

Jeśli jednak wszystkie te prowiązkowe ruchy nie wygenerują nic bardziej znaczącego, być może stać za tym będzie coś jeszcze innego. Nie słabość amerykańskiego pracownika, nie opanowane do perfekcji przez pracodawcę metody zastraszania, ale wyryta w amerykańskiej duszy od samego jej początku niechęć do własnego rządu jako siły ograniczającej jednostkę i jej przedsiębiorczość. Związki zawodowe z całym ich dobrodziejstwem to twór powołany do życia przez ów rząd, nadto obwarowany własną biurokracją, kodeksami, regulacjami, wszystkim tym, co rozkochany w wolności Amerykanin z reguły oprotestowuje. Możliwe więc, jak zauważa Janice Fine, politolożka z Uniwersytetu Rutgersa, że Ameryka, z jej historią i z ideami, z których wyrosła, nigdy nie była dobrym gruntem pod związki zawodowe. Możliwe, że właśnie dlatego związkom nigdy nie udało się po tej stronie świata sementować silnej, długofalowej relacji z żadną z głównych partii, co w Europie jest normą. Choć oczywiście nie pomaga fakt, że sami demokraci nigdy nie okazali się dla związków stabilnym partnerem, przewrażliwieni jak wszyscy amerykańscy politycy na punkcie postaw, które mogą być odebrane jako nazbyt antybiznesowe i, szerzej, antykapitalistyczne. – Gdzie indziej, zwłaszcza w Europie, państwo postrzegane jest jako partner, nie ma więc tam takiego stopnia wrogości wobec regulacji. W Ameryce bardzo długo biznes mógł robić, co mu się żywnie podobało, do dziś więc nosimy w sobie ten opór przed organizowaniem się, stosowaniem do przepisów. Boimy się, że to nas ogranicza i powstrzymuje – wyjaśnia prof. Fine.

Pandemia jeszcze się nie skończyła i kto wie, co wciąż przed nami. Historia uczy jednak, że okresy przewartościowiań, a bez wątpienia z takim się mierzymy, rzadko rozplywają się w nicość. Może jednak nastąpi także przewartościowanie wielkiego amerykańskiego *ego* i powstanie miejsce na współdziałanie w imię wyższych celów. Oby tak się stało.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Liczba wakatów na rynku sięgnęła w październiku rekordowych 11 mln, a z pracy odeszło kolejne 4,2 mln Amerykanów.

branży jedynie członków związku (*right-to-work laws*). Drugim zaś złym omenem dla przyszłości związków zawodowych w USA była klęska rozpoczętej tuż po wojnie Operation Dixie, kampanii, która miała na celu utworzenie związków zawodowych wśród pracowników tekstylnych z Południa, ludności w większości czarnoskórej. Sabotujący te wysiłki od samego początku biali właściciele koncernów bawełnianych rozpętali wielką akcję propagandową przeciwko związkowcom, dowodząc, że w istocie chodzi o przejęcie Południa przez komunistów, zniszczenie tradycyjnych amerykańskich wartości i przekazanie władzy „czarnym”.

– Gdy w kraju ostaje się region, w którym nie ma związków zawodowych, ich dalszy rozwój staje się coraz trudniejszy. Francja czy Niemcy nigdy nie miały takiego problemu. U nas związki zawodowe stały się kwestią geografii i w efekcie zapłaciliśmy za to bardzo wysoką cenę – twierdzi Joseph McCartin.

kiem a zarządem i bardzo osłabia siłę związku jako negocjatora z ramienia pracownika”, pisze, odwołując się do przykładu branży samochodowej, Gary Chaison w książce „The Unions’ Response to Globalization”. Postuluje on zarazem, że jeśli związki zawodowe mają dalej istnieć, muszą zacząć patrzeć na siebie i działać globalnie.

Wielkie ego (i czy nas zgubi)

Czas pokaże, czy „wielki gniew” amerykańskiego pracownika rzeczywiście będzie początkiem jego nowego życia z lepszą pensją i w lepszych warunkach pracy. Chwila na tę zmianę wydaje się tym lepsza, że wielkim fanem związków zawodowych jest sam prezydent Biden, a Kongres już w marcu przegłosował ustawę PRO Act, która ma za zadanie ułatwić pracownikom z sektora prywatnego organizowanie strajków i tworzenie związków zawodowych w miejscach pracy. Ustawa wciąż jednak czeka na głosowanie w Senacie, gdzie

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Papier toaletowy

Ponad połowa Polaków deklarowała gotowość przyjęcia na Wigilię uchodźcy lub migranta – wynika z badania IBRiS dla „Rzeczpospolitej”. Rękę do migrantów znacznie chętniej wyciągają niewierzący niż osoby wierzące i regularnie praktykujące. Jakże to znamienne. Polska religijność jest naskórkowa, jest ornamentem, falbanką, a czasami parawanem przystaniającym liczne grzechy.

Pegasus, czyli podsłuchiwanie polityków i prawników przez pisowskie służby. W normalnym kraju to byłby wybuch bomby atomowej, a u nas tylko awanturuje się opozycja, prosty lud pisowski o niczym się nie dowie z mediów reżimowych. Doszło do tego, że w ramach świątecznych życzeń obok zdrowia wymienia się i takie, by PiS szlag trafił. Tuż przed Wigilią szambiarz pan Krzysztof ratował nas swoją wielką ssawką przed katastrofą; żegnając się, uzgadniamy, że PiS gorsze od covidu. Jesteśmy zatruci rządami tych paranoików, więc smuga smutku była na obrazie świąt, które zrobiły się śnieżne.

Politologowie mówią, że zmierzamy na Wschód i oddalamy się od Zachodu. Ale można na to spojrzeć inaczej. Prezes chce, abyśmy byli innym Zachodem, tym, jak sądzi, prawdziwym. Cały liberalny dorobek Europy jest do odrzucenia. Bo on doprowadził do ruiny i porubstwa, do małżeństw jednoptasiowych i do aborcji. A Europę pcha to do stworzenia superpaństwa, gdzie kraje będą tylko stanami.

To już oddaliło się w czasie, prosiłem syna Daniela, by poszedł za mnie na warszawską manifestację, bo my na imieniny do przyjaciół, dalekich międzyleskich sąsiadów. Są jeszcze dwie pary. Wszyscy z wyjątkiem mojej żony jesteśmy w podobnym wieku, więc trochę o chorobach i że nieźle wytarł nas czas. Czuję się jak na wagarach, że nie na manifestacji, mam małe wyrzuty sumienia. Nie starcza nam już siły, by rozmawiać o sytuacji politycznej, czasami tylko robimy aluzje. W toalecie zastaję papier toaletowy z wizerunkiem prezesa na każdym listku. To znak, jak daleko zaszliśmy w swoich emocjach. Ale też znamienne, że wcale nie wydało mi się to niesmaczne.

Zaczynamy być zmęczeni naszą niezgodą, naszym bezradnym gniewem i nienawiścią do PiS, to bardzo wyczerpujące uczucie. Swoją bezradny gniew przerzucamy też na opozycję, że tak nawaliła i nawala. Nie wybaczymy jej, jeśli znowu przegra. A przegra, jeśli będzie się zachowywać, jak się zachowuje. Jak mówi młodzież, strzelać focha. Specjalizuje się w tym Hołownia. Drażni lewica i ten Biedroń tam na przyczepkę, z przyklepionym sztucznym uśmiechem. Nie wybaczymy Tusкови, jeśli po staremu będzie zarządzał

Platformą, wycinając ludzi, którzy mogą być dla niego konkurencją. I jeśli nie podwinie ogona, by jakoś się dogadać z pozostałymi liderami. Jest zupełnie oczywiste, że trzeba się zjednoczyć na czas wyborów, grymasić można potem. Wielu moich znajomych zaczyna się obrażać na polski naród. Naród jak naród. Ten naród dużo przeszedł. I mógł trochę zgłupieć. A naród amerykański – czy mądrzejszy ze swoim uwielbieniem dla Trumpa? Naród angielski wysiadał Zjednoczone Królestwo z Unii. Francuzi masowo głosują na faszystkę. A my spokojnie możemy wygrać z populistami za dwa lata. Tylko trzeba trochę sprytu, uporu i wytrwałości. I jedności. To jest w zasięgu ręki.

Północnokoreańskie władze zakazały obywatelom śmiania się, picia alkoholu i robienia zakupów przez 11 dni. Kary za śmiech surowe, nawet kara śmierci. To miało ułatwić przeżywanie żałoby w 10. rocznicę śmierci Kim Dzong Ila, ojca Kim Dzong Una. Naprawdę nie jest u nas tak źle, nie powinniśmy za wiele narzekać.

**Możemy wygrać z populistami za dwa lata.
Tylko trzeba trochę sprytu, uporu i wytrwałości.
I jedności. To jest w zasięgu ręki.**

To było oczywiste, że dla TVN nie ma miejsca w państwie PiS. Dlatego Sejm przegłosował lex TVN. Bo jak mogą istnieć obok siebie dwie tak odmienne wizje rzeczywistości – jedna w stylu Korei Północnej, druga europejska i zachodnia? Prędzej czy później musiało dojść do jakiegoś przesilenia. Sądziłem, że Andrzej Duda raczej odeśle ustawę do Trybunału Przytębskiej, ale ją odrzucił. Nie mieli racji pesymiści, chociaż do tej pory zawsze ją mieli. Po prostu nawet coś w rodzaju wdzięczności i sympatii do prezydenta, lecz zawstydziłem się tego uczucia. Duda był w potrzasku, wyobrażam sobie, jak biegał po pałacowych pokojach, radził się żony. Nie podpisze, prezes nie daruje, podpisze – hańba na cały świat. To był ostatni moment, by urwać się z łańcucha. Druga kadencja, niczego nie ryzykował. Zostaną nam jednak w pamięci symboliczne obrazy: poseł Mejza, który, samozawieszony, odwiesił się i przybył do Sejmu, by zagłosować. I ten dureń Kukiz przemyskający chyłkiem korytarzami Sejmu. A teraz jednak ulga, jakieś bezpieczniki demokratyczne jeszcze działają, trudno byłoby nam wytrwać bez TVN. I to weto może mieć ogromne znaczenie polityczne, ludzie uwierzą, że z PiS da się wygrać, że nie jest monolitem, że protesty przynoszą skutek.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

2021 – kanadyjski rok rekordów

Czyli Polak potrafi, pod każdą szerokością geograficzną

Małgorzata P. Bonikowska
Korespondencja z Kanady

2021 – kolejny rok pod znakiem COVID-19 na całym świecie – w Kanadzie był czasem bolesnych rozliczeń z mrokami przeszłości, która na trwałe okaleczyła prawowitych właścicieli ziem stanowiących dzisiaj Kanadę. Odnalezienie setek szczątków dzieci – uczniów nieludzkich szkół rezydencjalnych dla „Indian”, spowodowało eksplozję dyskusji, trudnej, ale niezbędnej, bo rozliczyć się z historią powinien każdy kraj. To proces, który jeszcze potrwa, ale ważne, że nikt nie zamiata tego kulturowego ludobójstwa pod dywan. 30 września po raz pierwszy obchodzone w całej Kanadzie ustanowione

W lipcu Penny Oleksiak, pływaczka o polskich korzeniach, pobiła rekord w kanadyjskim sporcie, zdobywając najwięcej medali olimpijskich.

właśnie w 2021 r. święto – National Day for Truth and Reconciliation (Dzień Prawdy i Pojednania). Był to dzień refleksji i wspólnoty.

- Po raz pierwszy w historii doszło do ustąpienia ze stanowiska gubernatora generalnego – reprezentanta w Kanadzie królowej Elżbiety II, która jest formalną głową państwa. Była kosmonautka Julie Payette odeszła w związku z zarzutami fatalnego traktowania podwładnych. I po raz pierwszy na to stanowisko mianowano Inuitkę (słowa Eskimos nie używamy w Kanadzie już dawno). Zaprzysiężenie Mary Simon odbyło się nie tylko w dwóch oficjalnych językach Kanady: angielskim i francuskim, ale także w rdzennym języku *inuktitut*.

- W lipcu Penny Oleksiak (jej dziadek Stanisław był imigrantem z Polski) pobiła rekord wszech czasów

w kanadyjskim sporcie, zdobywając najwięcej medali olimpijskich – siedem. Ten rekord zapewniło 21-letniej pływaczce wywalczenie brązowego medalu na letnich igrzyskach w Tokio.

- Ceny nieruchomości poszybowały w rejonach dotychczas nie spotykane. W marcu podano, że przeciętna cena domu w metropolii Toronto przekroczyła milion, a w listopadzie ceny domów w Kanadzie skoczyły o ponad 25% w porównaniu z 2020 r. Trudno się dziwić, że w Toronto mało kogo stać na kupno domu, bo przeciętnie trzeba już zapłacić 1,21-1,57 mln dol. Poza tym

– niedająca wytchnienia fala upałów, która zabiła kilkadziesiąt osób. I ponad 1,5 tys. pożarów, z których największy pochłonął 95 980 ha, czyli obszar Warszawy, Krakowa i Sopotu. Upały i pożary zaatakowały zaledwie kilka miesięcy po styczniowych niszczycielskich wichurach, a jesienią nadeszła fala powodzi i osunięć ziemi, najbardziej kosztowne wydarzenie meteorologiczne w historii prowincji. Utonęli ludzie, przepadły tysiące sztuk bydła i dzikich zwierząt, zniszczenia były ogromne. I nie wszystkie pokryte z ubezpieczeń, bo są rejon, gdzie ubezpieczyciele nie chcą już sprzedawać polis.



domów jest za mało, więc sprzedają się dużo powyżej swojej ceny. Drugie najdroższe miasto to Vancouver.

- Następny rekord 2021 r. – mała, mająca 250 mieszkańców miejscowość Lytton w Kolumbii Brytyjskiej, na zachodzie kraju, przeżyła najpierw upał 49,6 st. C, najwyższą zanotowaną w Kanadzie temperaturę, a potem prawie zmiotł ją z powierzchni ziemi przerażający pożar, który zniszczył 90% wioski i spowodował dwa zgony. To była gehenna Kolumbii Brytyjskiej (i zachodu kontynentu)

- To klimat, ale spokoju nie było też w polityce. Premier Trudeau wymyślił, że potrzebuje potwierdzenia swojej linii politycznej, i ogłosił przedterminowe wybory federalne. Odbyły się 20 września i nie zmieniły nic. Rządząca mniejszościowo Partia Liberalna zdobyła pięć mandatów więcej i znowu mamy rząd mniejszościowy, bo zabrakło jej dziesięciu do większości. Pozostałe dwie liczące się partie wyszły dokładnie z taką samą liczbą posłów, co przedtem. No, jest może troszkę



Małe Lytton w Kolumbii Brytyjskiej przeżyło upał 49,6 st. C – najwyższą zanotowaną w Kanadzie temperaturę, a potem zostało strawione przez pożar.

lepiej: w nowym parlamencie są 103 kobiety (30%), 22 wśród nowo wybranych – najwięcej w historii Kanady. 27-letni Metys Blake Desjarlais to pierwszy poseł otwarcie *two spirit*. Tak określa się osoby z ludności rdzennej, które identyfikują się jako mające tożsamość zarówno męską, jak i kobiecą. 12 posłów i posłanek pochodzi z ludności rdzennej, dziećmi to osoby czarne, a jedna wywodzi się z rodziny uchodźców z Burundi. Czyli kanadyjska różnorodność, którą uważamy za naszą siłę, jest coraz bardziej widoczna nie tylko na ulicach. Tyle że kosztowało to wszystko 612 mln dol.

• Pandemia... Drugi rok chodzimy wszyscy wszędzie w maseczkach i jesteśmy w ogromnej większości zaszczepieni (do tej pory obie dawki otrzymało 80,46% kwalifikujących się do szczepień). Już stoją długie kolejki po trzecią dawkę, bo parę dni temu rząd Ontario udostępnił ją wszystkim dorosłym. Bez pełnego zaszczepienia nie można już pracować w sektorze publicznym w całej Kanadzie. Niezszczeni są wysyłani na bezpłatne urlopy, a gdyby przyszło im do głowy podać nieprawdziwe informacje o szczepieniu, mogą wylecieć z pracy. Bez pełnego zaszczepienia nie da się wsiąść do samolotów czy pociągów kursujących w Kanadzie, wejść do kina czy na koncert.

• Wśród antyszczepionkowców nadreprezentowani są członkowie polonijnej społeczności (i innych

z Europy Wschodniej), a polscy księża w kilku parafiach z dobrego serca wypisują zaświadczenia, że z powodów religijnych Janek czy Marysia nie mogą się zaszczepić. Wszak w Kanadzie szanuje się wolność wyznania... A Polak potrafi, pod każdą szerokością geograficzną.

• Pandemia to nie powód do żartów. W ontaryjskim ministerstwie komunikacji kierowcy za dodatkową opłatą mogą sobie sprawić spersonalizowane tablice rejestracyjne (kosztuje to ponad 300 dol.). Nasze tablice nie mają nic wspólnego z miejscem rejestracji pojazdu – ich format to ABCD-123. Tablice spersonalizowane mogą mieć od dwóch do ośmiu liter/cyfr. Wśród odrzuconych przez ministerstwo wniosków, poza pomysłami niecenzuralnymi, seksualnymi, religijnymi lub politycznymi, znalazły się odniesienia do pandemii, np. GO.COVID, COVIDIOT i FK.COVID19.

• Wśród rządowych pomysłów związanych z pandemią jest parę dość niekonwencjonalnych. Pomyślano o tym, że ludzie musieli drastycznie ograniczyć kontakty osobiste, i wiosną Poczta Kanadyjska (Canada Post) zorganizowała akcję „Write Here Write Now”, aby zachęcić Kanadyjczyków do utrzymywania

kontaktów choćby drogą pocztową. 13,5 mln kartek pocztowych niewymagających kupowania znaczków trafiło do każdego domostwa w Kanadzie, by ludzie mogli je wysłać do bliskich. Jak to w dwujęzycznej Kanadzie, były po angielsku i francusku, np. *I miss you/Je m'ennuie de toi* czy *Sending smiles/Je t'embrasse*.

• Kolejny oryginalny pomysł to udostępnienie bezpłatnych testów antygenowych w Ontario w... sklepach monopolowych. W naszej prowincji do niedawna nie można było kupić alkoholu nigdzie poza 660 specjalnymi sklepami monopolowymi należącymi do rządu prowincji (tzw. sklepy LCBO – Liquor Control Board of Ontario). Teraz wino i napoje niskoalkoholowe sprzedawane są też w niektórych sklepach spożywczych, ale mocniejsze alkohole można dostać tylko tam. A ostatnio w stu pojawiły się także bezpłatne testy antygenowe dla osób bezobjawowych. Natych-

miast po testy ustawily się długie kolejki. Dostawy wyczerpały się w niecałe dwa dni.

• Inny niestandardowy pomysł władz Ontario to szczepienie dzieci w zoo w Toronto. Zorganizowano tam przenośny punkt i w jeden dzień zaszczepiono ponad 400 dzieciaków w wieku 5-11 lat. Nie tylko były szczepione na oczach małp i żyraf, ale jeszcze ich rodzice nie musieli płacić za niezbyt tani wstęp do zoo.

• Optymistyczne są informacje o najczęstszych hasłach wpisywanych w wyszukiwarce Google w Kanadzie. Fraza numer jeden to *COVID vaccine near me* (szczepienia w mojej okolicy), a najpopularniejsze pytanie roku to: *Why did Prime Minister Trudeau call an election?* (dlaczego premier Trudeau ogłosił wybory?). Czyli Kanadyjczycy chcą się szczepić i próbują zrozumieć decyzje swojego rządu.

Święta spędziliśmy niezbyt tłumnie, bo nie może nas być więcej niż dziesięć osób na jednym spotkaniu, jak stanowią drastycznie zaostrzone niedawno restrykcje. W nowym roku życzę nam w Kanadzie trzech H: *health, hope and happiness*, a Polakom trzech Z: zdrowia, zmian i zapału (do walki o nie).

Chile sprząta po neoliberalach

Mateusz Mazzini

Ostatnie sondaże dawały mu przewagę, choć niewielką, w granicach błędu statystycznego. Zgodnie z chilijskim kodeksem wyborczym dwa tygodnie przed głosowaniem w drugiej turze wyborów prezydenckich nie można już publicznie ogłaszać wyników sondaży, ale dozwolone jest ich zamawianie i przeprowadzanie do celów prywatnych. Przecieki ze sztabów reprezentującego lewicę Borica i jego rywala, 20 lat starszego skrajnego prawicowca José Antonia Kasta, wskazywały, że 19 grudnia mogło się wydarzyć wszystko. Kast, w pierwszej turze zwycięski, zyskiwał poparcie powoli, znacznie wolniej niż jego kontrkandydat. Zgodnie z przewidywaniami szklany sufit osiągnął szybciej, bo konserwatywny i centroprawicowy elektorat, z którego mógłby jeszcze uszczknąć parę procent, skurczył się w Chile w ostatnich latach znacząco, nie było więc za bardzo z czego dokładać, kogo przekonywać.

Boric – wręcz przeciwnie, przed drugą turą jawił się jako ostatnia nadzieja lewicy, ale i jako ten „bardziej koncyliacyjny” z dwóch radykałów spoza politycznego głównego nurtu, którym przyszło walczyć o prezydenturę po okresie największych turbulencji w historii kraju od zamachu stanu z 1973 r.

Nowy prezydent zapowiada zakończenie transformacji ustrojowej. Bo jego zdaniem odchodzące elity nigdy tego nie zrobiły.

Ostatecznie nowym prezydentem Chile został właśnie on. Kiedy mając zaledwie 36 lat, w marcu będzie się wprowadzał do pałacu La Moneda, tego samego, który prawie równo pół wieku wcześniej nakazał zbombardować gen. Augusto Pinochet – będzie najmłodszym prezydentem w historii chilijskiej republiki. Czasy dyktatury pamięta więc jak przez mgłę, zdecydowaną większość swojego życia spędził już w demokracji. Wbrew pozorom jednak nie uważa ostatnich trzech dekad za okres usłany różami.



**Gabriel Boric,
nowo wybrany
prezydent,
chce cały kraj
zaprojektować
od nowa**

Gabriel Boric to polityk, który za zadanie postawił sobie zakończenie transformacji ustrojowej. Bo jego zdaniem odchodzące właśnie elity nigdy tak naprawdę tego nie zrobiły.

Urodził się w Punta Arenas, mroźnym porcie handlowym na dalekim południu chilijskiej Patagonii. Każdy, kto choć raz odwiedził to miejsce,

doskonale wie, że potrzeba niezwykłej siły charakteru i determinacji, by przetrwać w tych warunkach. Wiejący znad Cieśniny Magellana wiatr potrafi uniemożliwić chodzenie ulicami, wokół miasta widać albo bezkres oceanu, albo bezkres stepu. A do Punta Arenas wiedzie autostrada, nazwana bodaj najtrafniej ze wszystkich dróg na świecie – Droga Końca Świata.

Tam Boric uczył się zaangażowania publicznego, aktywistą stał się już w liceum, co jednak w Chile jest normą, szkoły średnie są kuźnią

przyszłych kadr, zwłaszcza lewicowych. Wywodzący się z chorwackiej mniejszości chłopak nie zadowalał się sławą na lokalnym, odciętym od reszty kraju podwórku. Pod koniec pierwszej dekady XXI w. stał się jednym z liderów ogólnochilijskiego ruchu studenckiego, walczącego z dominacją rynku i własności prywatnej w edukacji. Pod względem dostępu do usług publicznych Chile jest bowiem spełnioną fantazją neoliberalistów spod znaku Chicago Boys i ideologii Milтона Friedmana. Prywatne jest tam właściwie wszystko, od wodociągów i dostawców energii elektrycznej, przez komunikację miejską, po szkoły i uniwersytety.

Te ostatnie kapitalizm wprowadzają na wyższy poziom abstrakcji, tworząc nawet coś na kształt spółek z galeriami handlowymi i bankami. Taka triada instytucji oferuje np. jedną kartę kredytową, którą można zapłacić za zakupy w galerii, przelać czesne i wyciągnąć pieniądze z bankomatu. Chcesz studiować drugi kierunek?

Nie ma sprawy, uczelnia wystawi ci pozytywną opinię, a bank da preferencyjny kredyt. Dobrze ci poszło na egzaminach wstępnych? Świetnie, im lepszy wynik, tym niższe oprocentowanie pożyczki. Publicznych, czyli darmowych, instytucji edukacyjnych w Chile nie ma prawie w ogóle. A że najlepsze szkoły nadal kontrolowane są przez Kościół, dostęp do tak podstawowego dobra jak edukacja jest w Chile ograniczony, żeby nie powiedzieć elitarystyczny.

te same karabiny), co wojskową juntę Pinocheta. Ci sami ludzie, którzy opozycjonistom podłączali w czasie tortur elektrody do narządów płciowych, zbijali potem fortuny dzięki niewidzialnej ręce rynku. I o ile dyktaturę polityczną przepędzono, w pewnym (choć dla wielu niewystarczającym) stopniu nawet rozliczono jej zbrodnie, o tyle dyktatury ekonomicznej nikt przez 30 lat od transformacji ustrojowej nie odważył się ruszyć. Aż do czasów Borica.

Boric chce zwiększenia nakładów na edukację i jej upaństwowienia.

Właśnie z taką rzeczywistością Boric chce jako prezydent zerwać. Już stojąc na czele wywodzącego się z ruchów uczniowskich kolektywu o nazwie Autonomiczna Lewica, wspólnie z innymi aktywistami prawie wyrzucił rząd prezydent Michelle Bachelet, domagając się obniżek cen biletów komunikacji miejskiej dla uczniów i studentów.

Choć ze środowiska lewicowego się wywodzi i od zawsze jest z nim związany, nigdy nie był blisko głównego nurtu. Zawsze uważał go za niewystarczająco progresywny i wspólny gigantycznych nierówności społecznych, które z roku na rok się powiększały. W 2013 r. po raz pierwszy kandydował w wyborach do parlamentu, zdobył mandat, a cztery lata później go odnowił. W salach Izby Deputowanych czuł się dobrze, ale jeszcze lepiej – na ulicy. Wrócił na nią w 2019 r., wraz z milionami Chilijczyków. Tamte protesty, oglądane na całym świecie przez pryzmat starć demonstrantów z brutalną, przypominającą antyterrorystów policją, były wyrazem tych samych myśli, które Boric werbalizował w liceum i na uczelni: że czas najwyższy domknąć cykl dziejowy, którego nie zakończyła bynajmniej transformacja.

W przeciwieństwie bowiem do większości krajów na świecie w Chile słowo dyktatura rozumie się dwójako. Może oznaczać formę rządów politycznych, terror i represje ludzi w mundurach. Ale Chilijczycy odnoszą je też do dominującej doktryny ekonomicznej, do prymatu neoliberalizmu. Absolutystyczny dyktat wolnego rynku wprowadzono tam przecież tymi samymi rękami (trzymającymi

To właśnie był główny zarzut wszystkich tych, którzy w październiku i listopadzie dwa lata temu okupowali Plaza Italia, jeden z największych otwartych obszarów Santiago de Chile, domagając się sprawiedliwego państwa i równości społecznej. Choć w przekazie medialnym tamte protesty zostały spłycone do hasła „To nie 30 pesos, to 30 lat”, odnoszącego się do podwyżek cen biletów metra i frustracji trzema dekadami niepełnej transformacji, postulaty ulicy były znacznie szersze. Chilijczycy, a wśród nich odgrywający wiodącą już rolę Gabriel Boric, domagali się równouprawnienia płci, ochrony środowiska, skończenia z uzależnieniem krajowego dobrobytu od eksportu miedzi, poszanowania praw Mapuczów i innych rdzennych mniejszości etnicznych. Jak ujął to Fernando Atria, naukowiec z Uniwersytetu Chińskiego zaangażowany w ruch uliczny, Chile zażądało demokracji, w której udział nic nie kosztuje.

Taką demokrację swoim wyborcom obiecuje Boric. Do wyborów szedł z hasłem, które o jego planach mówi najważniejsze: „Jeśli Chile było kolebką neoliberalizmu, zrobię wszystko, by było też jego grobem”. Zapowiada zwiększenie nakładów na edukację i jej upaństwowienie. Chce rozwiązać niemal całkowicie prywatny system emerytur AFP (na którym wzorowali się twórcy polskich OFE) i zastąpić go publicznym ubezpieczycielem. Dużo mówi o zmianach klimatycznych i społecznych kosztach transformacji energetycznej, które także opłacić ma państwo w postaci specjalnego funduszu wyrównawczego.

Jego radykalizm najwidoczniejszy jest jednak w kwestiach społecznych. Program wyborczy Borica zawiera m.in. postulat przyznania prawa do sądowej zmiany płci osobom poniżej 14. roku życia, projekt wprowadzenia niebinarnego dowodu osobistego i pełną legalizację aborcji (która w Chile w kilku wybranych przypadkach dostępna jest dopiero od 2017 r.). Milczy w zasadzie tylko na temat przeszłości. A dokładniej – rozliczenia z nią. Wiele rzeczy w chilijskiej polityce po 1989 r. Gabriel Boric robi jako pierwszy, również to. Uważa, że dość mówienia o Pinochecie i tym, co generał zrobił, a czego nie.

Dla niego ocena dyktatury jest jednoznaczna, tak samo zresztą negatywna jak ustroju, który ustanowiono zaraz po niej. I to na krytyce tego drugiego Boric się koncentruje. Dlatego kiedy przed drugą turą poparli go dawni socjalistyczni prezydenci, Ricardo Lagos i Michelle Bachelet, tylko grzecznie podziękował, bez słowa komentarza.

Ma realną szansę zrealizować sporo ze swoich postulatów. Na jego korzyść działa podzielony Kongres Narodowy i najprawdopodobniej nowa ustawa zasadnicza, którą pisze zdominowane przez podobnych mu aktywistów zgromadzenie konstytucyjne. Pierwszy krok w kierunku nowej rzeczywistości w Chile został więc zrobiony. Na pewno będzie ich więcej.

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

Chcesz patrzeć mądrzej?

TRYBUNA

Czeka w kiosku!

A w niej:

Jerzy J. Wiatr
 Longin Pastusiak
 Tadeusz Iwiński
 Danuta Wanek
 Bogusław Liberadzki
 Krzysztof Janik
 Tadeusz Wojciechowski
 Tadeusz Klementewicz
 Andrzej Wilk
 Piotr Gadzinowski

www.trybuna.info

Stali murem przed mundurem

Historia lat 80., zwłaszcza stan wojenny, to okazja do politycznych porachunków i pole konfrontacji, także pokoleniowej



24 grudnia 1981 r. abp Luigi Poggi doręczył gen. Wojciechowi Jaruzelskiemu list od papieża Jana Pawła II.

i wyższe stanowisko. Jak można kwestionować bojowe zasługi nieżyjącego już człowieka, frontowego żołnierza, który przeszedł szlak bojowy do Berlina i, co nie mniej ważne, miał odwagę w 1981 r., w beznadziejnej sytuacji, wprowadzić stan nadzwyczajny? Jak można nazywać go tchórzem!? To niemal oksymoron, jak ksiądz ateista.

Historia według pałkarzy

Zapewne będą ponawiane naukowo-historyczne analizy i publicystyczne dywagacje na temat tamtych wydarzeń i ich uczestników. Historia jest pisana ciągle od nowa, bo zmieniają się autorzy opisu i polityka historyczna oraz właściwa jej narracja tożsamościowa.

Michał Szułdryński z „Rzeczpospolitej” zauważył, że „historia w ogóle i antykomunizm w szczególności stają się pałką polityczną, narzędziem do zwalczania tych, których nie od dziś nie lubimy”. W samej rzeczy. Historia lat 80., zwłaszcza stan wojenny, stała się okazją do politycznych porachunków, jest polem konfrontacji, także pokoleniowej.

W roli pałkarzy występują również koledzy autora cytowanych słów. A może to zamierzona aluzja? W jego gazecie rozpisywano się przecież bardzo emocjonalnie o tych, którzy wywołali wojnę polsko-jaruzelską, o „towarzystwie w zgnościelonych mundurach z typem w ciemnych okularach na czele”, „generałach o urodzie ekipy grabarzy z prowincjonalnego cmentarza”. Puentowano zaś swoją zabawę stylistyczną następująco:

Stanisław Kwiatkowski

Mają rację ci, którzy twierdzą, że prawdy tylko przed mądrymi ludźmi nie trzeba bronić. Zastanawiam się, jak reagować na kalumnie, np. Andrzeja Dudy: „Jaruzelski był zwykłym tchórzem i zdrajcą Polski”, „sytuacja wokół niego to była zwykła *junta*”, „komunistyczni zbrodniarze” itp. I pomyśleć, że obecny prezydent RP mówił tak o pierwszym prezydencie III RP, o Generale – dowódcy, i podległych mu żołnierzach.

Ten sam Duda, który, tłumacząc swoją niechęć (obawy?) do szczepień, powtarzał jak dzieciak „nie, bo nie”; przedstawiciel władz odpowiedzialnych, przynajmniej moralnie, za to, że kilka tysięcy rodaków co tydzień umiera w czasie pandemii.

Z racji 40. rocznicy stanu wojennego także inni prominentni prawnicy politycy i dziennikarze wypowiadali się o Generale i podległych mu żołnierzach w tym stylu. Rozbieżne opinie i krytyczne oceny są

przedmiotem żywych sporów. Znamy te teksty moralistów, idealistycznych przeciwników politycznego realizmu, pełne impertynencji i infantylnego postrzegania przeszłości, nie wspominając o obraźliwych kłamstwach i deprecjonujących bredniach, jakich coraz więcej.

„Niech mówią o mnie sukinsyn. Ale tchórzem nie byłem”. To zdanie Generał jakby chciał wykrzyczeć (w 2005 r.) w stronę tych, którzy zarzucali mu różne podłości.

Wojciech Jaruzelski w czasie wojny był dowódcą zwiadu pułkowego, działał na pierwszej linii, odznaczano go za odwagę.

Wojciech Jaruzelski w czasie wojny był dowódcą zwiadu pułkowego działającego na pierwszej linii. Prowadząc rozpoznanie sił wroga, musiał podchodzić na jego pozycje i potem wracać do swoich, często z pojmanym jeńcem. Dostawał odznaczenia za odwagę, dwukrotnie też awansował – na wyższy stopień

„Społeczeństwo wyrzuciło całą tę hucpę na śmietnik historii”. A myślących inaczej autor zapewniał: „Nigdy nie uda się zbudować konkurencyjnej narracji. Ani stworzyć innej historycznej racji”.

Co można powiedzieć na takie *dic-tum*? Skoro wiadomo, że Ziemia jest płaska, co widać gołym okiem – a ci, co powiadają, że jest inaczej, kłamią na okrągło?!

Namnożyło się takich, co w tamtym czasie – by strawestować głośnie dziś frazę – „stali murem przed mundurem”. Jan Rokita – też z Krakowa – wyzywał na portalu Wszystko co Najważniejsze „oficerów komunistycznej armii” od puczystów, którzy „wyglądali niczym groteskowa maskarada przebierańców”. Inaczej mówiąc, zbłądzili się, do tego „komunistyczni »puczyści« z nocy 13 grudnia

Jak reagować na kalumnie, np. Andrzeja Dudy, pełne impertynencji, obraźliwych kłamstw i bredni?

przegrali, gdyż nie było im dane pojąć sensu dziejowego spektaklu, w którym wzięli udział w roli śmiesznych mundurowych przebierańców”.

Skąd ta aberracja patriotyczna, wrogość wobec Generała i awersja do munduru żołnierzy PRL? Duda, Rokita i im podobni zapewne wiedzą o tamtym wojsku tyle, ile dowiedzieli się w czasie studiów na UJ. Czyli mniej więcej wiedzą to, co przebierańcy z grup rekonstrukcyjnych o „żołnierzach wykłetych”.

Nie odmawiam im prawa do własnej optyki i racji, ale mam swoją – i z mojego punktu widzenia to denerwujące, co niektórzy z tego pokolenia wypisują i opowiadają. Takich jak ja to po prostu obraża. Każdy ma swoją prawdę o tamtych czasach i własną pamięć. Dlatego różnimy się tak bardzo. Prawdę mówiąc, nie widzę szans na uzgodnienie jakiegś jednej wersji. I o tym jest ten tekst.

Dopisują do swoich życiorysów opozycyjne epizody, chcą być traktowani jak od nich starsi – faktyczni działacze Solidarności. Całe kombatanctwo tych pseudoweteranów „walk z komuną” z czasów stanu wojennego sprowadzało się zapewne

do ulicznych potyczek z milicją. Faktycznie z solidarnościową historią mają tyle wspólnego, co np. z SLD Magdalena Ogórek, która z rekomendacji tej partii startowała w wyborach prezydenckich.

Historyczne klisze

Namnożyło się żyjących w przekonaniu, że w czasach młodości, jako uczniowie, studenci, doznali jakiegś krzywdy, wielkiej niesprawiedliwości przez „komunę”, a personalnie od Jaruzelskiego i jego ekipy. Pewnie byli tacy, ale czy muszą teraz z tym się obnosić? Domagać się rekompensaty, uznania, że byli i nadal są przeciwni i poszkodowani?

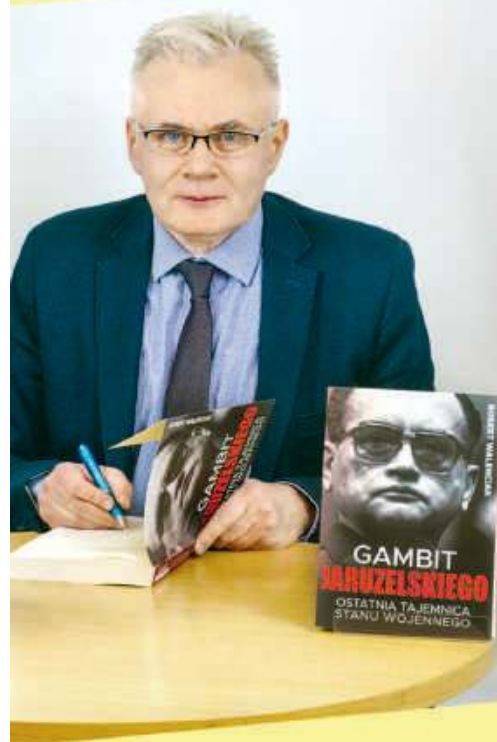
Wołają o zadośćuczynienie, uznanie ich racji: mówi o tym ich język debaty publicznej – jak opisują, perswadują, wyjaśniają tamte wydarzenia. Przyswoili sobie to, czym karmiła ich oficjalna, chamska propaganda i prawicowa polityka historyczna. Wciąż patrzą na sprawy sprzed

40 lat oczyma nastolatka z takimi historycznymi kliszami w głowie. A ponieważ są aktywną częścią polskiej inteligencji, sprawni intelektualnie, na prestiżowych stanowiskach, z dostępem do mediów, zdominowali swoją narracją rocznicowe obchody, narzucili ich własny punkt widzenia. Wypowiadają tezy – bo nie hipotezy – zgodne z logiką opisu jednej strony, nie przyjmują argumentacji przeciwnej, nie mają chęci sprostania wymogom racjonalności. Stąd wypowiedzi i teksty wypełnione butą i pretensjami, czasem nie wiadomo o co. Więcej oceniają, niż rozumieją (w felietonie „O bredzeniu” pisał o tym prof. Andrzej Romanowski w PRZEGLĄDZIE nr 50).

Nawet w TVN 24 i TOK FM – chwalejących się obiektywizmem – wypowiadali się sami poszkodowani lub uważający się za kombatanów. Nic więc dziwnego, że w ich mniemaniu nic gorszego nie mogło się wydarzyć, nie przyjmują do wiadomości, że mogło być gorzej, że zło mogło być większe.

Myślenie o przeszłości, osądzanie postaci historycznych z dzisiejszej perspektywy bardzo dzieli. Ci, którzy teraz potępiają ówczesne

Kto szuka prawdy, znajdzie ją u Walenciaka



GAMBIT JARUZELSKIEGO z autografem i dedykacją autora

Prośby o dedykację można kierować pod nr: 22 635 84 10 wew. 111 lub na: sklep@tygodnikprzeglad.pl Zamawiając przez sklep internetowy, wpisz treść dedykacji w uwagach

E-BOOK
29,90 zł



sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 49 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Pocztą Polską. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, Orlen Paczka +6,99 zł, paczkomat InPost +11,90 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

► pragmatyczno-realistyczne zastosowanie, najczęściej korzystają z przywileju późnego urodzenia: stosują współczesne normy i wzory zachowań, ferują werdykty uzasadnione dzisiejszą wiedzą o skutkach tamtych zachowań, mędrkują.

lat 80. zdominowana została przez usilne przekonywanie do jednego punktu widzenia, bez żadnych odniesień do tego, co tłumaczyła druga strona, zwłaszcza Wojciech Jaruzelski i inni wówczas aktywni politycy i wojskowi, osoby inaczej

przekonać swojego towarzystwa, liderów i ich fiksacji. Stąd różne konfliktowe narracje tożsamościowe w opowieściach o tym, „jak było naprawdę”, o tamtym świecie i politykach, które nie przystają do siebie, polaryzują, bez szans na przekonanie do swojego punktu widzenia.

Tego typu polityka tożsamości oraz właściwe jej konstrukcje językowe, argumentacja i strategia prowadzą do swego rodzaju wojny kulturowej, konstruowania mitów politycznych, których nie da się ani obalić, ani potwierdzić. Nie ma debaty, liczy się tylko zgodność z narracją ugrupowania politycznego według ideologicznych podziałów. Mniejsza o racje. Każdy mówi swoje, do swoich. Z góry wiadomo, co powie zwolennik tego czy innego ugrupowania, będą się różnić, bo to przeciwnicy polityczni, a nie partnerzy zainteresowani dochodzeniem do prawdy.

Stanisław Kwiatkowski, pułkownik WP w stanie spoczynku, w latach 1973-1981 był oficerem do specjalnych zleceń w Gabinetie Ministra Obrony Narodowej

Debata rocznicowa o stanie wojennym i latach 80. została zdominowana przez usilne przekonywanie do jednego punktu widzenia.

Szczęśliwy los oszczędził im konieczności sprawdzenia się w tamtych warunkach. Jeden z nich na jakiejś konferencji naukowej historyków użył w polemice ze mną argumentu: „Pan służył reżimowi...”. „A pan nie zdążył i chyba mi zażdrości!”, odwinąłem się.

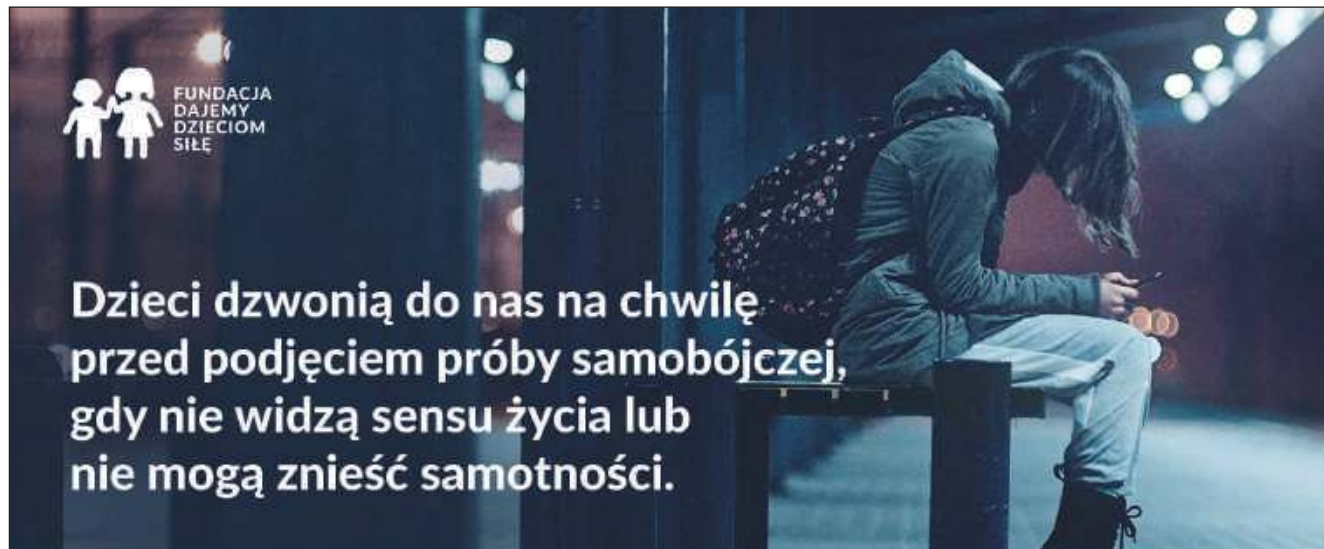
Muszę przyznać, że tenże profesor po odejściu z IPN zaczął zupełnie mądrze się wypowiadać i wszędzie go teraz pełno.

Pisząc powyższe, chciałem uzmysłowić czytelnikom, że debata rocznicowa o stanie wojennym i dekadzie

interpretujące i oceniające niż zafiksowani funkcjonariusze z IPN i piśmowscy autorzy sofizmów.

Konflikt narracji

W tym konflikcie narracji nie chodzi o prawdę czy uczciwość intelektualną. To, co mówi się i pisze, przedstawia się w języku polityki tożsamości swojego obozu. Strony sporu walczą na słowa według logiki wojennego opisu, stosując język polaryzujący debatę publiczną w taki sposób, żeby uzyskać potwierdzenie



FUNDACJA
DAJEMY
DZIECIOM
SIŁĘ

Dzieci dzwonią do nas na chwilę
przed podjęciem próby samobójczej,
gdy nie widzą sensu życia lub
nie mogą znieść samotności.

Codziennie odbieramy telefony z wołaniem o pomoc.

Przekaż **1%** i wspieraj telefon zaufania 116 111.

KRS 0000 20 44 26

Wejdź na: wspierajtelefon.pl

JAKIEJ HISTORII POLSKA POTRZEBUJE?

Historia i Polacy: zapis uzależnienia

Mniej polityki, która dzieli, więcej o życiu codziennym, kulturze, społeczeństwie

Dariusz Jarosz

Kiedy zaproszono mnie do wypowiedzenia się w sprawie historii „tu i teraz”, znów uświadomiłem sobie, ile to już razy po 1989 r. historycy toczyli takie dysputy z kolegami po fachu, politykami i dziennikarzami. I jak niewiele z tych dyskusji wynikało. Padały strzeliste słowa, buziały emocje, a coraz większa część zawodowych historyków przekonywała się, że slogan-tytuł: „Warto rozmawiać” nie jest bynajmniej zaproszeniem do rzeczowej debaty, ale coraz częściej rozpoczyna typową pyskówkę. Nie wątpię jednak, że tym razem tak nie będzie.

**Polacy są chorzy na historię.
Przede wszystkim na swoją historię najnowszą.**

Zgadzam się z opiniami, że Polacy są chorzy na historię. A przede wszystkim na swoją historię najnowszą. Po części wynika to z tradycji: naród historyczny, pozbawiony przez ponad 100 lat państwowości, odwoływał się do swojej przeszłości jako ważniejszej niż w przypadku innych narodów tworzących państwa części kapitału kulturowego. Ten historyczny przechyl trwał po 1918 r. Po 1945 r. przybrał on inną postać. Zakaz upowszechniania innej niż „jedynie słuszna” ideologii stopniowo się dewalutował. Od lat 70. XX w. postępował proces gloryfikacji II Rzeczypospolitej. Ówczesne gorące dyskusje o Piłsudskim, Dmowskim, przewrocie majowym, partiach – wszystko to w istocie rzeczy było erzacem prawdziwej

polityki, którą zajmować się nie było można – chyba że jako narażony na represje opozycjonista. A na to nie wszyscy mieli ochotę.

Niewygodne tematy

Jakie są obecnie główne osie sporu o historię i tematy niewygodne? Odpowiedź na to pytanie ograniczę do historii najnowszej. Po 1989 r. dostęp do archiwaliów pozostałych po strukturach władzy i instytucjach peerelowskich już w latach 90. zaowocował ogromem prac poświęconych szeroko pojętej polityce, i to rozumianej jako pole konfrontacji różnych grup rządzących i rządzonych. Ponieważ

zgodnie z obowiązującymi wówczas przepisami archiwalnymi badacze mogli uzyskać dostęp do akt wytworzonych ponad 30 lat wcześniej (czyli w przypadku cezury 1989 – do roku 1959), to główne prace opowiadające o PRL koncentrowały się przede wszystkim na stalinizmie i jego opresjach. Sądzę, że właśnie te publikacje zawłaszczyły sposób postrzegania PRL jako całości.

Najważniejszym efektem tego procesu była (i jest) skłonność do postrzegania polskiego społeczeństwa jako jednoznacznie opierającego się władzy, w swojej masie antykomunistycznego i katolickiego. Ten mit znalazł kulminację w tradycji solidarnościowej. Tymczasem realne zachowania społeczne były dużo bardziej zróżnicowane,

uwzględniały konieczność negocjowania ze strukturami państwa ważnych kwestii codzienności w imię własnego interesu.

Przykłady? Proszę bardzo. Wiem (bo to badałem), że aby dostać mieszkanie, Polacy przed 1989 r. stosowali (na skalę masową) różne, nielegalne i półlegalne, strategie, łącznie z łapówkami czy poświadczaniem nieprawdy w dokumentach urzędowych. Ci, którzy chcieli robić karierę zawodową, często z wyrachowania zapisywali się do partii. Jak ocenić praktykę polegającą na tym, że niektórzy pracownicy zbliżający się do tzw. wieku poprodukcyjnego nagle zaczynali – za zgodą dyrekcji zatrudniających ich zakładów – zarabiać „krocie”, aby jak najbardziej wywindować sobie emeryturę?

Już słyszę te głosy oburzenia, że takie praktyki to przecież oszukiwanie obcego nam (narodowi) państwa i trudno je kwalifikować jako moralnie naganne. Czyżby? Czy można to interpretować jako chwalebny „obrotność” naszych rodaków, która miała odegrać zbawienią rolę w okresie transformacji systemowej? Mam co do tego poważne wątpliwości: chyba nie o taką „obrotność” chodziło.

Sądzę, że Polacy w PRL myśleli i zachowywali się przede wszystkim zgodnie z własnym indywidualnym interesem – co nie oznacza, że w „godzinie próby” nie potrafili się zachowywać godnie, wręcz bohatersko. Ale te heroiczne wątki historii najnowszej już obrosły tysiącami opracowań. Te mniej martyrologiczne – są bardziej „drażliwe” i dlatego rzadziej stają się przedmiotem refleksji. A pamiętajmy, że nawet na początku lat 80. w uznawanych za rzetelne badaniach z serii „Polacy” ▶

- za najważniejszą bolączkę respondentów uznawali nie brak demokracji, ale... brak mieszkań, a najkrótsza historia Polski była sarkastycznie streszczana w trzech słowach: „mięsa nie ma”.

Zawodowo nie zajmuję się historią Polski przed 1918 r., dlatego na temat okresów wcześniejszych wypowiadam się ostrożnie. Uznaję za istotne, że ostatnio wzrasta liczba ważnych prac próbujących oprzeć wizję historii Polski nie tylko na prawicowym, ale również na lewicowym

stosowali i zmieniali reguły systemowe, po to by osiągnąć prywatne cele, i jak na to reagowała władza.

Mity i patriotyzm

Poza tym polska historiografia musi się zanurzyć w komparatystyce. To jest ważne z wielu przyczyn, w tym tej jednej najważniejszej: może pokazać nasze miejsce w Europie i w regionie i być lekiem na narodową megalomanię.

Na początku lat 80. Polacy za najważniejszą bolączkę uznawali nie brak demokracji, ale... brak mieszkań.

systemie wartości. W pracach Adama Leszczyńskiego (zwłaszcza „Ludowa historia Polski”), Kamila Janickiego („Pańszczyzna. Prawdziwa historia polskiego niewolnictwa”), Michała Rauszera („Bękarty pańszczyzny. Historia buntów chłopskich”) i kilku innych badaczy dworkowa, szlachecko-ziemiańska przeszłość jest konfrontowana z zatęchłymi, krytycznymi słowami, często kurnymi chatami – nędznym schronieniem większości tych, których dość arbitralnie nazywano Polakami.

Jak więc należy mówić i uczyć o historii? Po pierwsze – nowocześnie w sensie formalnym. Co ważne, to już się dzieje. Muzeum Żydów Polskich, Muzeum Historii II Wojny Światowej, Muzeum Powstania Warszawskiego – wszystkie one (odkładając chwilowo na bok charakter merytoryczny przekazu i polityczne zawirowania wokół ich dyrekcji) to placówki multimedialne, pozostające w awangardzie podobnych przedsięwzięć w Europie. I to dobrze, chodzi bowiem m.in. o to, aby nie stracić więzi tradycji z pokoleniami „urodzonymi ze smartfonem”.

Po drugie, co do treści przekazu: mniej polityki, która dzieli, więcej o życiu codziennym, kulturze, społeczeństwie; więcej treści nastawionych na zrozumienie uwikłań zwykłych ludzi. W odniesieniu do PRL więcej o tym, jak można było osiągnąć to, co podstawowe do „normalnego” funkcjonowania (i co to znaczyło) w warunkach „anormalnej” rzeczywistości; jak ludzie

Jak przeciwstawić się wykorzystaniu historii przez rządzących (bo że tak jest – to oczywistość)? Trudne zadanie, bo rzecz rozbija się o to, kto rządzi i jak tę władzę wykorzystuje do „bełtania w narodowej kadzi”. Być może zwolennicy innej niż aktualnie obowiązująca wersji historii, oraz jej unowocześnienia, powinni spróbować się zintegrować, wyjść poza obecne schematy. Stworzyć fundację (instytut) imienia np. Mieczysława Niedziałkowskiego. Wykazać jeszcze większą aktywność w internecie. Czemu nie? Pozostaje problem – za co?

Nie ma innej metody (a przy najmniej ja jej nie widzę) na odkłamywanie historii, w tym mitologii „żołnierzy wyklętych”, niż debata, publikowanie i upowszechnianie opracowań, wspomnień, relacji, które

w małych grupach, które próbowały przetrwać jeszcze w latach 60., jest promowaniem postaw mających niewiele wspólnego z nowoczesnym patriotyzmem.

Dużo bardziej odpowiada mi postawa Tadeusza Manteuffla, który Aleksandrowi Gieysztorowi, namawianemu przez Jana Rzepeckiego ze Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość do kontynuowania oporu wobec władzy miał powiedzieć: „Idź do Rzepeckiego i powiedz mu, że teraz nie będziemy robić żadnej partyzantki, tylko uniwersytet”. Rzepeckiego wkrótce na jakiś czas aresztowano, ale dużej części jego podwładnych (i w końcu jemu samemu) udało się wejść na miejscami wyboistą, zwłaszcza na początku, drogę legalnej działalności w powojennej Polsce.

IPN i jego zagadki

W kształtowaniu obrazu historii najnowszej szczególnie donośnie brzmi głos Instytutu Pamięci Narodowej i jego historyków. Do tego urzędu, molocha z wszystkimi cechami takiej instytucji, mam stosunek krytyczny, ale znuansowany.

Z jednej strony, IPN ma na koncie organizację wielu dużych krajowych i międzynarodowych konferencji naukowych, na co nie było stać placówek uniwersyteckich czy PAN. Pracuje w nim wielu młodych ludzi, którzy zawdzięczają mu, że nie są bezrobotnymi humanistami. I duża część z nich to rzetelni badacze. Z drugiej jednak strony, praca tam oznacza konieczność realizacji

Polska historiografia może pokazać nasze miejsce w Europie i w regionie i być lekiem na narodową megalomanię.

pokazują np., przed jakimi dylematami stali „wyklęci” i jak próbowali je rozwikłać. Trzeba pisać zarówno o zabójstwach (Żydów, Ukraińców) będących ich dziełem, krwawym załatwianiu osobistych porachunków, jak i o rozterkach psychologicznych tak ciekawie pokazanych przez Mariusza Mazura w pracy „Antykomunistycznego podziemia portret zbiorowy 1945-1956”. Osobiście sądzę, że tworzenie mitu „wyklętych” tułających się w pojedynkę lub

planów badawczych (i bieżących poleceń, czasami dość kontrowersyjnych), które muszą się mieścić w aktualnej polityce historycznej. W tych warunkach wybiecie się na niezależność jest dość trudne, a samodzielne myślenie i działanie – coraz rzadsze, czasami pryncypialnie odrzucane i karane (ostatni przykład: Sławomir Poleszak).

Efektom tych uwarunkowań jest produkcja – bo trudno to inaczej nazwać – dziesiątek opracowań



Dowodem na jednostronną ocenę przeszłości przez ludzi PiS był udział Andrzeja Dudy w „Biegu Tropem Wilczym”, organizowanym w Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych. Mińsk Mazowiecki, 1 marca 2020 r.

kolejnych powiatowych, miejskich czy wojewódzkich urzędów bezpieczeństwa publicznego. Prace te nie odznaczają się specjalnym wyrachowaniem metodologicznym. Wykorzystanie przez pracowników instytutu akt, których nikt wcześniej nie widział (co jest w Archiwum IPN dość łatwe), to najważniejsza przesłanka do zdobycia stopnia doktora, a nawet doktora habilitowanego. Ważne jest również uzyskanie „wiedzy tajemnej” o uwikłaniu we współpracę z policją polityczną ludzi znanych. To może zapewnić miejsce w medialnym (dziś hardprawicowym) mainstreamu. IPN podwyższa sobie naukowy prestiż, zatrudniając osoby o znanych nazwiskach (dla nich to dodatkowy etat) i wydając książki (edytorsko – na wysokim poziomie) również tych autorów, którzy w instytucie nie pracują (niektórzy pracowali), ale często grają w zawodowej historiograficznej ekstraklasie.

Bez względu na spory ideowo-polityczne i organizacyjno-instytucjonalne nie ulega dla mnie wątpliwości, że polskim historykom brakuje pogłębionej refleksji nad okresem po 1989 r. A przecież była to druga co do doniosłości rewolucja, która dokonała się w Polsce (po tej „prześnionej” z okresu tużpowojennego). Z czego to wynika? Przede wszystkim z dość złożonej sytuacji

w zakresie dostępu do źródeł. Z jednej strony, jest ich dużo: wolna prasa, źródła elektroniczne, rozbudowane raporty ośrodków badania opinii publicznej, żyjący (jeszcze) ludzie, którzy wiele pamiętają. Ale z drugiej, dostęp do akt podstawowych instytucji III RP i archiwów partyjnych zarówno szczebla centralnego, jak i lokalnego jest ograniczony. Wystarczy dokonać rekonesansu w zbiorach Archiwum Akt Nowych, aby się przekonać, że tego, co tam jest z okresu

Polskim historykom brakuje pogłębionej refleksji nad okresem po 1989 r.

po 1989 r., nie da się porównać z obfitością źródeł dla PRL.

Poza tym traktowanie historii jako oręża bieżącej walki politycznej, tak jak to robi Putin, w wersji *soft* istnieje też w III RP. Zajmowanie się historią tego okresu grozi uwikłaniem w bieżące spory polityczne, które ze standardami naukowości mają mało wspólnego. W przypadku badań społeczno-gospodarczych aspektów przekształceń własnościowych historyk może naruszyć nie zawsze jasną sieć powiązań władzy i biznesu, co wywoła trudne do przewidzenia konsekwencje.

Inicjatorzy tej debaty zwrócili się do jej uczestników również z pytaniem, czy należy pozostawić historię tylko historykom. Nie należy, a poza tym nie da się. Nie wyobrażam sobie, aby historię zajmowali się jedynie ludzie z potwierdzonymi odpowiednimi „uprawnieniami”. Wszak mamy liczne towarzystwa miłośników historii, mamy działających poza ich strukturami entuzjastów. Mamy wreszcie polityków, którzy uznają, że fakt uczestnictwa w różnych wydarzeniach politycznych przed, w trakcie i po tzw. transformacji systemowej uprawnia ich do głoszenia jedynej „prawdy historycznej”. Niech te swoje prawdy głoszą, nawet wtedy, kiedy świadomie lub nieświadomie kłamią. Wszak współczesna historiografia wykorzystuje relacje z żyjącymi do ustalenia nie tylko, „jak było naprawdę”, ale i tego, jak ludzie pamiętają to, co było.

W ocenach historyków i ich prac staram się kibicować przede wszystkim tym, którzy podejmują nowe tematy i robią to w sposób metodologicznie nowatorski. Często są to młodzi ludzie, którzy nie kończyli studiów historycznych albo obok historii studiowali inne kierunki. Wolę przeczytać napisaną przez takiego autora (w tym wypadku autorkę) nową, transdyscyplinarną, erudycyjną monografię dotyczącą tępienia szurków jako praktyki kulturowej w powojennej Polsce niż

kolejną „klasyczną” monografię walki społeczeństwa z komunistycznym państwem na terenie przysiółkowej Wólki Okraglik. Choć z drugiej strony – to w III RP wydano monografię historyczną, której wpływ na teraźniejszość był kolosalny. I nie była to książka metodologicznie wyrafinowana, a dotyczyła niewielkiej miejscowości na Podlasiu. Napisał ją radosowy socjolog – Jan Tomasz Gross.

Prof. Dariusz Jarosz specjalizuje się w historii najnowszej Polski, jest pracownikiem Instytutu Historii PAN

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Przychodzi mi na myśl głupie pytanie: będzie wesoło?

– To jest proste pytanie. Głupie pytania są mądre. Wprawdzie pytanie jest krótkie, ale wymaga dłuższej odpowiedzi. Tak, chciałoby się, aby kolor, śpiew, muzyka, jasny ton tego przedstawienia zabrzmiały. Próbujemy tak to zrobić. To pragnienie bierze się z niewesołych powodów. Mam poczucie, że czasy są niezwykle dotkliwe. Mówię nie tylko o politycznym wymiarze sytuacji, ale także o świecie współczesnym w ogóle, o pandemii, ekologii, o niepoliczonych zagrożeniach, które czyhają na człowieka. Czasy nie są do śmiechu. Chciałbym, żeby to przedstawienie – pewnie najśmieszniejsza sztuka Szekspira – było nie tyle komentarzem, ile próbą leczenia się z tego, co nas otacza.

Terapia?

– Może nawet terapia. Ale przede wszystkim ozdrowieńczą zabawa.

Od lat obserwuję tendencję do wywracania na opak tekstów klasycznych, także Szekspira, i traktowania ich jako pretekstu do zasmucania się, szukania rzeczy gorzkich i tragicznych tam, gdzie jest pełno zabawy.

– Z całym entuzjazmem rzucamy się w to, co napisał autor w tej najpogodniejszej – być może – ze swoich sztuk. Szekspir daje nam szansę – jeszcze w towarzystwie tak wyczułonego na dowcip tłumacza jak Stanisław Barańczak – urządzenia karuzeli żartu, śpiewu, koloru.

Zachęca do tego zapewne szaleństwo przebieranek. Ale gdzie powaga artysty?

– Może tak się stało, że robienie zabawnego, wartkiego przedstawienia, popartego rzemiosłem widowiska artyście trochę nie uchodzi.

Panu już się zdarzało mieć takich krotocwilnych rzeczy, by przypomnieć choćby „Wesołe kumoszki z Windsoru” w warszawskim Teatrze Powszechnym.

– To było 20 lat temu. Z kolei w „Wieczorze Trzech Króli” autor zapisuje rolę Malvolia – obok innych postaci – w niezapomnianej formie. Scena czytania listu od rzekomej kochanki jest klasyką nieposkromionego humoru – napisana 400 lat

PIOTR CIEPLAK

– reżyser teatralny,
jego najnowsza realizacja
to „Wieczór Trzech Króli”
w Teatrze Narodowym



Świata się nie opowie

„Wieczór Trzech Króli”,
czyli leczymy się z tego, co nas otacza

temu nie straciła nic z komicznego ładunku.

Postać Malvolia jest śmieszna, ale pod spodem nieodparcie smutna.

– Bo Szekspir to jednak dobry autor. Gdyby śmiech traktował wyłącznie rubaszenie, rozrywkowo, discopolowo, że tak się wyrażę, toby nie był Szekspirem. Ten śmiech jest wyzwalający, głęboki, z gorzką nutą. To jest o człowieczeństwie, czasem błazeństwie.

Słyszałem od młodego dramaturga, że Szekspir nie był wcale takim dobrym autorem, tylko miał świetny „pijar”.

– Ale przecież 400 lat utrzymuje się na topie.

Pan jednak od 20 lat Szekspira omijał, po wspomnianych „Kumoszkach...” i potem „Królu Learze” ze Zbigniewem Zapisiewiczem w tym samym Teatrze Powszechnym.

– Szekspir wracał w niektórych moich przedstawieniach jako inspiracja, ale oczywiście żadnego nowego tytułu od tamtego czasu nie wystawiałem.

Nigdy nie myślał pan o kanonicznych tytułach: „Hamlecie”, „Burzy”, „Ryszardzie III”?

– „Burza” to mój temat. Wielokrotnie tę sztukę obwachiwałem. Niedawno we wrocławskim Teatrze Pantomimy w sztuce bez słów bardzo się inspirowałem jej tematem. Szekspir rzeczywiście poszedł u mnie „w odstawkę”, ale chyba czekał na swoją kolej. Muszę powiedzieć, że tekst „Wieczoru Trzech Króli” jest dla mnie samego odkryciem. To odkrycie wynika z pierwszego zdania tej sztuki, które wypowiada Książę, zwracając się do orkiestry: „Jeżeli miłość żywi się pokarmem / Muzyki – grajcie, aż poczuję przesyt”. To zdanie tak mnie uruchomiło, że poza piosenkami, które autor wpisał Błaznowi w tej sztuce, postanowiłem dodać więcej muzyki i śpiewania. Pomyślałem, że orkiestra i muzyka mogą być sposobem na granie tego przedstawienia. Wydaje się to dość niecodzienne – ta sztuka w ogromnej mierze jest śpiewana. Można powiedzieć, że zrobiło się z tego coś pomiędzy musicaliem a operą buffa.

Tego na pewno jeszcze nie było.

– Prawie połowa tekstu jest ujęta w nuty. Na wstępie zakładamy, że sztuczność, zupełnie nieprawdopodobną akcję, perypetie tej sztuki,

konwencjonalne, bardzo umowne, podniesiemy jeszcze wyżej. To niemal operetka albo coś podobnego. Wyobrażam sobie, że im bardziej będziemy rozwijali ten pomysł, dalej szli tą drogą, to się okaże, że aktorzy w śpiewie, w nierealistycznym sposobie komunikowania odnajdą się znakomicie. Jak przyjdzie do wyznawania sobie miłości, do wypowiedzenia często dramatycznych słów, to zaśpiewane wyznanie miłosne uzyska zupełnie inny wymiar.

Wykorzystuje pan paradoks teatru: im sztuczniej, tym prawdziwiej.

– Trochę tak. Zresztą sam autor to robi, temat tej sztuki właśnie taki jest: przebieranki, maski, zamiany płci, chłopak za dziewczynę, dziewczyna za chłopaka...

...nie wiadomo, kto jest kim.

– Wydobywamy tę sztuczną, konwencjonalną fabułę. Wydobywamy i wyobrażam sobie, że to w rezultacie jest trochę o tych czasach, a trochę o nas, ludziach, którzy chodzą w maskach.

Pan też ucieka przed „rozszyfrowaniem”. Dość długo pracował pan jako wolny strzelec, a bardzo krótko i dawno jako dyrektor teatru. Teraz osiadł pan w Teatrze Narodowym, gdzie – jak powiada Jan Englert – włada pan niepodzielnie niczym Prospero z „Burzy” swoją wyspą. Czy takiego miejsca pan szukał?

– Rzeczywiście, korzystam z rzadkiej swobody w Teatrze Narodowym, korzystam ze swobody swoich wyborów. Ale będąc w jednym miejscu, i tak skaczę z kwiatka na kwiatek. Robię przedstawienia, które z jednej strony są zawsze o tym samym, o ludziach w tym świecie...

Chociaż jest w nim element ludyczny, jarmarczny. Ale na marginesie, bo to tragiczne w wymowie przedstawienie.

– To było niezwykle bolesne doświadczenie, wynikające z mojego odczucia sytuacji apokaliptycznej, która nas dzisiaj omiata – mówię nie tylko o klimacie politycznym Polski, ale także o apokalipsie klimatycznej, pandemicznej. Żyjemy, mam takie wrażenie, w poczuciu zbliżającego się końca. To przedstawienie, powstałe półtora roku temu, które bardzo przeżyłem i które bardzo mi odpowiada, niezależnie od tego, jak kto je ocenia, było dla mnie i nadal jest bardzo ważnym przedsięwzięciem. I chcąc samemu trochę się ratować przed tą gęstwą, przed tą ciemnością, którą czuję, której się boję i którą przeżywam w poczuciu własnej bezradności, w „Wieczorze Trzech Króli” maluję obraz skrajnie odwrotny.

Jan Duszyński był też autorem muzyki do „Woyzecka”. I innych pańskich przedstawień.

– A w „Wieczorze...” stworzył operę buffa, pastisze Mozarta i musicalu. **Kiedy się przyjrzeć temu, co pan robi w teatrze, można odnieść wrażenie, że pracuje pan nad tym, aby się samemu nie usidlić. Gubi pan tropy i nie można powiedzieć: o, Ciepłak jest taki i taki.**

– Tak to sam dla siebie buduję. **Wielkie różnice znajduję w pańskich propozycjach repertuarowych: od Rymkiewicza, przez Büchnera, po Szekspira.**

– Również przedstawienia dla dzieci.

Pełne uroku i nostalgicznych tonów. Ma pan tutaj rzeczywiście swoje królestwo.

– I mam wspaniałych aktorów. W „Wieczorze...” nie dość, że są wybitni, to jeszcze szalenie muzykalni.



Naszej pracy towarzyszy przyjemność i swoboda.

Ale z drugiej strony czerpię z bardzo różnych źródeł literackich. Robię to świadomie, żeby nie tyle trochę przeczyć samemu sobie, ile wciąż szukać innej drogi. To wynika z przekonania, że nie opowie się świata do końca jednym sposobem. Dlatego tak często szukam czegoś zupełnie na odwrót. Dobrym przykładem jest moje ostatnie przedstawienie w Teatrze Narodowym – „Woyzeck” Georga Büchnera, chyba moje najsmutniejsze.

Równie jasnego, pogodnego, żywego przedstawienia nie robiłem – tak mi się wydaje – od wczesnej młodości, kiedy realizowałem „Żołnierza królowej Madagaskaru” w Toruniu. Sam skwapliwie kąpię się w tej aurze, w tej pogodzie, w tym śmiechu, muzyczności. Myślę, że to się udzieliło aktorom. Jan Duszyński, który jest autorem wielu tomów nut do tej sztuki, bierze w tym udział i można powiedzieć, że jego muzyka przesądza o charakterze przedstawienia.

Nie tylko ich ogromnie lubię, ale w dodatku podziwiam ich umiejętności – mają obiektywnie wielkie możliwości wokalne, co w tym przedstawieniu – użyję takiego niezręcznego słowa – spektakularnie ujawniają. A do tego, co niezwykle w naszej pracy, nie mamy żadnego napięcia. Nie ścigamy się z West Endem ani z Romą czy z Operą Narodową, która jest po sąsiedzku, za ścianą. Naszej pracy towarzyszy przyjemność i swoboda. Słuchając Wiktorii Gorodeckiej czy Michaliny Łabacz i całego zespołu, za każdym razem jestem zdumiony, jakie piękne to przynosi rezultaty.

Moje życie zaczęło się od czajnika

Lubomir Tomaszewski – twórca nowoczesnego designu

Jerzy A. Wlazło, Katarzyna Rij

Doskonale sztukę designu podsumował w jednej ze swoich książek poświęconych rozumieniu znaczenia słów prof. Jerzy Bralczyk:

„Dizajn – Zaprojektowany specjalnie wygląd przedmiotów codziennego użytku: mebli, urządzeń itp.; także »samo projektowanie«; »wzornictwo«. Z angielskiego *design*. Ważne jest, jak co wygląda. Jeżeli dziś zwracamy uwagę na wygląd rzeczy, których używamy, wnętrza, w którym jesteśmy, mieszkamy czy pracujemy, to nie tylko po to, żeby zobaczyć

i nazwisko, a miniaturowe rzeźby powszechnie utożsamia się z masową produkcją PRL.

Dla sukcesu samego dizajnu to niewątpliwa zaleta. Dla artysty, niestety, spora wada. Dopiero po latach Lubomir docenił swoją pracę w Instytucie Wzornictwa Przemysłowego. Już mieszkając w USA, mówił: – To niesamowite uczucie, wiedzieć, że twoje rzeźby stoją w tysiącach domów, że każdego dnia patrzą na nie tysiące oczu. To zupełnie co innego niż prezentowanie swoich dzieł w muzeum, do którego może nikt nie przyjdzie, nie zobaczy, nie poczuje ani wzruszenia, ani niechęci.

najmniejszych, łukowych, po wyniosłe, pękające od przepychu płatków, liści, słupków i pręcików, duże, ciężkie rośliny ogrodowe, szklarniowe. Te projekty o wiele lepiej przyjęłyby się dzisiaj, gdy stać nas na organizowanie prywatnej przestrzeni w sposób niemal dowolny, a nie jedynie z wykorzystaniem obowiązkowych meblościanek i półkotapczanów, gdy w kwaciarniach pachną kwiaty całego świata, a nie obowiązkowe goździki, sezonowe żonkile i reglamentowane frezje.

Nie wystarczyło, że Tomaszewski zaprojektował wazon na kwiaty. Musiał jeszcze udowodnić jego przydatność dla społeczeństwa.



Ostatnie zdjęcie Lubomira Tomaszewskiego przed emigracją do USA, grudzień 1965 r.

w nim, co się nam podoba lub nie, ale też żeby pomyśleć, kto, jak i po co to tak zaprojektował. To wszystko jest takie właśnie, jakie jest, bo taki pomysł miał artysta. Zostawił swój ślad, znak, który jest czytelny w angielskiej nazwie *design*, wciąż jeszcze częściej u nas używanej, a który zaciera się w powoli zastępującej ją nazwie z polska pisanej. Może podobnie jak jest z rzeczami: artysta jest w nich obecny, ale nie powinno go być zanadto widać”.

Zza porcelanowych figurek Lubomira Tomaszewskiego nie widać. Do dzisiaj mało kto kojarzy jego imię

Nasze małe rzeźby były w domach. Ozdabiały je. Taki był nasz kontakt z odbiorcą.

U schyłku lat 50. twórcy skupieni w Instytucie zostali poproszeni o projektowanie przedmiotów typowo użytkowych. Nastąpił czas tworzenia piękna pożytecznego. Na dodatek nie wystarczyło, że Lubomir Tomaszewski zaprojektował wazon na kwiaty. Musiał jeszcze udowodnić jego przydatność dla społeczeństwa. (...)

Tomaszewski podjął więc próbę stworzenia ciekawych w formie flakonów do wszystkich rodzajów kwiatów jednocześnie, od tych

Wazony Tomaszewskiego w założeniu miały służyć także przestrzeniom kompozycjom kwiatowym, które dzisiaj eksplodują przepychem na wystawach florystycznych, a wtedy pozostawały poza zasięgiem zwykłego Polaka.

Z drugiej strony jakże wdzięcznie prezentuje się nawet pojedyncza, powyginana wiatrem ogrodowa róża w smukłym wazonie z wyprofilowanym, niezamkniętym porcelanowym pierścieniem chwytającym łodygę tuż pod płatkami niczym jedwabny szal.

Albo te malutkie, opływowe-trójkątne, klinowe, jednokolorowe wazoniki, które można łączyć w dowolne figury na podobieństwo dziecięcych klocków, tworząc kwiatowe rzeźby. „Klucz sklepienia” dźwigający ciężar całej gotyckiej architektury ma kształt klina.

Futurystycznym pomysłem Tomaszewskiego był pionowy, dość wysoki wazon z wyprofilowaną podpórką, który można było... położyć wraz z zawartością. W stojącym wazonie jest coś z sylwetki angielskiego ducha lasu, Herna Myśliwego, rozstawionego w Polsce dzięki serialowi



Serwis porcelanowy do kawy „Dorota”, projekt z lat 1961-1962.



Serwis porcelanowy do kawy „Ina”, projekt z lat 1961-1963, wdrożony do produkcji w 1964 r.



Figurka porcelanowa „Relaks”, projekt z 1963 r.



Figurka porcelanowa „Kot słuchacz”, projekt z 2006 r.



„Baletnica”, projekt z 2005 r.

„Robin z Sherwood” (wyświetlany także jako „Robin w kapturze”) z uduchowioną muzyką zespołu Clannad. To oczywiste skojarzenie, jak wszystkie związane z naturą w twórczości Lubomira Tomaszewskiego. Ale jest i drugie, smutniejsze, bo w wazonie

tym jest także zaklęty taniec narodu wybranego z wzniesionymi ku niebu dłońmi. Kiedy wstawisz kwiat, te dłonie czule obejmą łodygę. Wazon całkowicie się zmienia, gdy położyć go na stole, by stworzyć kompozycję poziomą. (...)

Lubomir wspominał: – To były jak zwykle bunt przeciwko tradycji i przekonanie, że ja wszystko potrafię lepiej. A skoro tak, to zrobię serię tylko użytkową. Doszedłem do wniosku, że potraktuję to zadanie jak inżynier. I zrobiłem to, jednocześnie pokazując, jakie siły działają na rękę, gdy nalewasz takim, a nie innym imbrykiem. Okazało się, że nie potrzeba rączki, żadnego długiego ryjka, żeby zrobić projekt funkcjonalny. Powstały trzy takie projekty, z których dwa są do dzisiaj produkowane przez AS Ćmielów. Nigdy wcześniej takiej porcelany nie projektowałem. Zrobiłem to, bo wydawało mi się, że to wygodniejsze, no i żeby moja córka mogła nalewać herbatę. Jakaż ona była zdziwiona i szczęśliwa, że teraz potrafi nalać herbatę z dzbanka!



„Chart włoski”, projekt z 1963 r.

„Dzbanki wchodzące w skład zaprojektowanych przez L. Tomaszewskiego serwisów »Dorota« i »Ina« przypominają zdeformowaną powłokę półkuli. Spłaszczają ją, zbliżając krawędzie ku sobie. Zlepiając je, formował wylew, a przez ich wygięcie

► na zewnątrz stwarzał uchwyt. Przykrywką w jednej wersji stanowi część uchwytu, w drugiej kryje się w nim. W alternatywnych wersjach dzbanków tworzył bryłę przypominającą pierścień, którego jeden koniec to wylew, a drugi to uchwyt z wtopioną weń przykrywką. (...) Dla tych serwisów przewidziany był monochromatyczny natrysk barwny (żółty, szary lub błękitny)".

przede wszystkim stworzył serwisy odbiegające w zasadniczy sposób od form tradycyjnie przyjętych dla tego typu zastawy stołowej".

Wprawdzie to projekt imbryka był kluczowy, ale cały serwis stał się unikatowy, i to na skalę światową. Przede wszystkim filiżanki. Ich kształt mniej wyznaczyła fizyka, a bardziej linia imbryka oraz potrzeba funkcjonalności. Filiżanki, nawet te najprostsze,

zniknął z rynku. Po prostu nadal parzył w dłonie. „Dorota” i „Ina” po wieloletniej przerwie znów są produkowane w ćmielowskiej fabryce. I pomyśleć, że w 1963 r. stały się symbolem światowego designu, wywołując sensację na Pierwszej Międzynarodowej Wystawie Form Przemysłowych w Paryżu.

– Jakimś zbiegiem okoliczności znalazł się tam mój serwis – Lubomir

To niesamowite uczucie, wiedzieć, że twoje rzeźby stoją w tysiącach domów.

nawet nie wiedział, że Instytut zgłosił na wystawę jego projekt. – I nagle zwykły czajnik pokonał wszystkich rywali. Tam były nawet samochody, parowozy, a tu polski czajnik! Mój czajnik! Moje życie zaczęło się od czajnika – śmiał się.

Czajniczek do kawy z serwisu „Dorota” otrzymał w Paryżu złoty medal. Lubomir pojechał do Francji na wręczenie nagród. Musiało to być dla niego wielkie przeżycie. On, prawie nieznan w Polsce projektant przemysłowy epoki Gomułki, jedzie do stolicy artystycznego świata. Tego nie doświadcza się codziennie.

– Wszyscy byliśmy podnieceni, zachwyceni, dumni z tego, że Polak! – opowiadała Sylwia Dobrowolska. – Ależ to była radość. Nikomu do głowy nie przyszło wtedy, żeby to przekładać na poglądy polityczne. Wtedy coś takiego, co spotkało Olę Tokarczuk po Nagrodzie Nobla, było w ogóle nie do pomyślenia. Przecież to zwykłe chamstwo! Musiałam dożyć 80 lat, żeby się zorientować, że jest coś takiego jak obszczekiwanie. Inteligentny człowiek nie obszczekuje, nie niszczy. Przecież myśmy byli zaraz po wojnie. Wojna zmieniła wszystkich Polaków. Ale wszyscy byli jednym sercem za tym, żeby Polska błyszczała. Cieszył każdy sukces.

Fragmenty książki
Jerzego A. Włazły
i Katarzyny Rij
*Lubomir Tomaszewski.
Portret w płomieniach,*
Wydawnictwo Agora,
Warszawa 2021



Lubomir Tomaszewski w swojej pracowni, Easton, 2015 r.

Przełomowy projekt Lubomira Tomaszewskiego na jakiś czas zbił argumenty przeciwników Instytutu. W popularnym, nawet awangardowym jak na tamte czasy miesięczniku „Ty i Ja” ukazał się artykuł „Przedmiot z metryką” o kawowych serwisach „Ina” i „Dorota”. W sumie wydzwitek jest pozytywno-entuzjastyczny, szkoda, że anonimowy autor (autorka) konsekwentnie w całym materiale myli imię artysty:

„Nad serwisami do kawy pracował Ludomir Tomaszewski przez 30 miesięcy. Efektem są INA i DOROTA (imiona córek) – wersja trzecia i czwarta z sześciu wykonanych prototypów. (W piątej i szóstej wprowadzono drobne korekty). Punktem wyjścia było założenie ułatwienia produkcji w skali przemysłowej przez zmniejszenie ilości koniecznych operacji. Tomaszewski jednak rozprawił się z zagadnieniem »serwis do kawy« generalnie, nie ograniczając się jedynie do zadośćuczynienia żądaniom wysuniętym przez przemysł. Doskonale spełnił postulat przemysłu, ale

aby stały się filiżankami, muszą mieć doklejone uszko, co jest dość trudne na etapie produkcji i grozi deformacją podczas wypalania. A w codziennym użytkowaniu uszko łatwo się obtłukuje, wyszczerbia lub pęka. Tomaszewski zaprojektował więc filiżankę z uchem, ale zarazem jakby

Prace Tomaszewskiego w 1963 r. stały się symbolem światowego designu, wywołując sensację w Paryżu.

bez niego. To cacuszko tak optywowe i delikatne, że przyjemność sprawia samo patrzenie. A trzymanie w dłoni to niemal erotyczne doznanie, bo filiżanka ma kształt zbliżony do kobiecej piersi. (...)

W sumie Tomaszewski zaprojektował dla IWP sześć serwisów. Trzy zostały zaakceptowane do produkcji, z czego jeden dość szybko

KURTYNA W GÓRĘ

NA EKRANACH



Trzepaczką w godło

Urodzona w latach 80. autorka dramatu sportretowała lata 70. Bilans nie wypadł pozytywnie, bo mieszkańcy miasta, ciągle biegający w poszukiwaniu mebli i czytający marną literaturę, żyją jeszcze w strachu przed grasującym dusiciem kobiet. Główna bohaterka nie może zaznać szczęścia, ze względu na swoje preferencje. Jediną atrakcją byłby wymarzony, ale nierealny występ gwiazdora Davida Bowiego. Znaczącą, symboliczną sceną jest tu odkurzanie na trzepaku ówczesnego godła – orla bez korony.

Bronisław Tumilowicz

Dorota Masłowska, „Bowie w Warszawie”, reżyseria Marcin Liber, Teatr Studio Warszawa, prapremiera 18 grudnia 2021

ZASŁUCHAJ SIĘ



Męskie Granie 2021

Mystic Production

Męskie Granie w 2020 r. odbywało się w specyficznej covidowej rzeczywistości, z powodu epidemicznych obostrzeń płytę rejestrowano bez tak potrzebnej dla oddania koncertowej atmosfery publiczności. Na szczęście trasa koncertowa z 2021 r. została już nagrana w zapelnionych publiką salach. Na dwupłytyowym albumie od pierwszych dźwięków słychać na linii wykonawcy-publiczność elektryzującą radość i entuzjazm. Pierwsza płyta zawiera covery w świetnym wykonaniu – Daria Zawiałow, Dawid Podsiadło i Vito Bambino błyskotliwie prowadzą Orkiestrę Męskiego Grania 2021. Wśród żywiołowo zagranych utworów T.Love („Warszawa”), Oddziału Zamkniętego („Ten wasz świat”), Krystyny Prońko („Psalm stojących w kolejce”) znajdziemy także przebojową „Małgośkę” Maryli Rodowicz z politycznym akcentem. Druga płyta to zapis występów zaproszonych gości, m.in. Katarzyny Nosowskiej, Organka, Artura Rojka, Ralpha Kaminskiego czy Krzysztofa Zalewskiego.

Rafał Pyznar



Spider-Man. Bez drogi do domu

reż. Jon Watts,
prod. Islandia, USA,
już w kinach

„Bez drogi do domu” zapisuje się złotymi zgłoskami w annałach filmów superbohaterów. Twórcy przepisują w nim historię Spider-Mana – dają mu szansę na odkupienie win i zadają pytanie, czy powinien unicestwiać przedstawicieli zła, czy spróbować ich naprawić. Reżyser wielokrotnie nawiązuje do poprzednich serii z Człowiekiem Pajakiem i składa im hold. Trudno to wszystko oglądać bez wzruszenia, zwłaszcza że tym razem bohater dobitnie się przekona, jaka jest cena ratowania świata. Tom Holland w głównej roli świetnie się rozwija. Nadal ma młodzieńczą werwę, ale tym razem na jego twarzy równie często co szelmowski uśmiech goszczą krew i łzy. Choć film często posilkuje się humorem, spowija go mrok, dlatego tym bardziej cieszy, że twórcy nie przeszarżowali z efektami komputerowymi. Choć dostajemy oszałamiające wizualnie walki (naparżanka Spideya i Dr. Strange’a to popis kunsztu CGI), najważniejsza jest historia, relacje między postaciami i emocje. W sieć tych ostatnich warto dać się złapać.

Artur Zaborski

Odkupienie

reż. Fran Kranz, prod. USA, już w kinach



Dwie pary. Każda straciła syna. Spotykają się w umówionym miejscu, siadają naprzeciwko siebie i rozmawiają. Najpierw wymiana uprzejmości: „Co u ciebie?”, „Jak się masz?”, „Ładnie wyglądasz”. Jednak z każdą minutą atmosfera gęstnieje. Nad emocjami coraz trudniej panować, a niewypowiedziane nigdy pretensje cisną się wszystkim na usta. Tych ludzi na zawsze już połączyła strzelanina w lokalnej szkole. Jedni są rodzicami oprawcy, który wymierzył broń w dziecko drugich, a potem w siebie samego. Ten przejmujący, błyskotliwy film zadaje niełatwe pytania, choćby o to, czy w swojej żalobie wszyscy bohaterowie są na równych prawach. I czy ktoś tu powinien czuć się winny. A czy przebaczenie jest w ogóle możliwe? „Odkupienie” formą przypomina bardziej spektakl teatralny, co nie obniża jego mocy oddziaływania na widza. Zasluga w tym znakomitego kwartetu aktorskiego i biegłości reżysera w operowaniu minimalizmem.

Artur Zaborski

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Bajerant Paulo Sousa abdykuje

Zbigniew Boniek
też w 2002 r.
zostawił kadrę



Maciej Polkowski

To była wiadomość dnia. W świąteczną niedzielę, 26 grudnia, gruchnęła wieść, która zburzyła spokój sympatyków biało-czerwonej. Do prezesa PZPN Cezarego Kuleszy za telefonował selekcjoner Paulo Sousa z informacją, że kroi mu się znacznie lepiej płatna robota, na dodatek w kraju, którego urzędowym językiem jest portugalski. Chociaż szef piłkarskiej centrali nie zgodził się na odejście Sousy (nadal obowiązuje go umowa) do brazylijskiego Flamengo, zdaje sobie sprawę, że praca Portugalczyka z naszą reprezentacją dobiegła końca. Powraca nazwisko Adama Nawatki, który kierował kadrą narodową od 1 listopada 2013 r. do 31 lipca 2018 r. W nim cała nadzieja... Zapytany o ewentualny powrót odpowiedział: „Reprezentacja ponad wszystkim”.

Pierwszy był Boniek

Postępek Sousy wywołał wyjątkowe poruszenie, nie tylko wśród

zagorzałych kibiców. Pod adresem Portugalczyka skierowano wszelkie znane inwektywy. Powtarzało się określenie o sytuacji bez precedensu w historii naszej piłki. A to nieprawda, o czym przypomniał były prezes PZPN Michał Listkiewicz: „Reakcja nowego prezesa mi się podobała, bo była wyważona, a nie histeryczna. Jest to działanie stanowcze, ale spokojne, a sytuacja wcale łatwa nie jest. Wiem, bo sam byłem w takiej, w jakiej znalazł się prezes Kulesza. W podobny sposób zachował się w 2002 r. Zbyszek Boniek, *de facto* też w grudniu, który okazuje się dla kadry i selekcjonerów miesiącem nieszczęśliwym. Zbyszek też zrezygnował z tej funkcji w sposób nagły, bez żadnej dyskusji i wyjaśnienia. Do dzisiaj nie wiem, o co chodziło. Razem z zarządem związku znaleźliśmy się w trudnej sytuacji, bo mieliśmy rozpoczęte eliminacje do Euro 2004. Drużyna została bez trenera. Pożar udało się ugasić dzięki Pawłowi Janasowi, który nie zgodził się jednak od razu. Najpierw nie chciał wziąć kadry ze względu na problemy zdrowotne,

Praca z kadrą Polski miała być dziesiątą w 13-letniej trenerskiej karierze Sousy.

ale ostatecznie podjął się tego wyzwania i uważam, że zrobił to z dużym sukcesem. Nadrobił straty po Bońku i gdyby nie to, że Szwecja sensacyjnie przegrała z Łotwą, byłibyśmy w barażach. A w kolejnych eliminacjach doprowadził nas do mundialu, więc życzę Cezaremu, żeby mu także się powiodło, jak nam wtedy”.

Samowola Zibiego

Wielce kontrowersyjną i nadwyzczaj ryzykowną decyzję o zatrudnieniu portugalskiego szkoleniowca podjął samodzielnie Zbigniew Boniek. Dzisiaj można domniemywać, że nie przestudiował wnikliwie CV przyszłego selekcjonera. A było nad czym się zastanowić. Praca z kadrą Polski miała być dziesiątą w jego 13-letniej trenerskiej karierze. Już jako piłkarz zmieniał kluby

jak rękawiczki. Trenerskie przygody też nie trwały długo. Pierwszą pracą Sousy było prowadzenie reprezentacji Portugalii U-16, później został asystentem Carlosa Queiroza w pierwszej kadrze. Następnie związał się z futbolem angielskim. Ani Queens Park Rangers (2008-2009), ani Swansea City (2009-2010), ani Leicester City (2010) pod wodzą Portugalczyka nie zwojowały rozgrywek. W tym ostatnim klubie wytrwał zaledwie trzy miesiące. Potem kolejno prowadził: Videoton (mistrzostwo Węgier i dwa Superpuchary Węgier), Maccabi Tel Awiw (mistrzostwo Izraela), Basel (mistrzostwo Szwajcarii), Fiorentinę i Tianjin Quanjian. Na uwagę zasługuje fakt, że w żadnym przypadku nie wypełnił całego kontraktu. Z Maccabi związany był dwuletnią umową, a z Basel trzyletnią. Tymczasem w obu klubach przepracował zaledwie rok. Ostatnim było Bordeaux – od marca 2019 r. do sierpnia 2020 r. „Pozostawił po sobie ogromny bałagan”, podsumował obecność Portugalczyka w klubie francuski dziennik „L'Équipe”. Bezpośrednim powodem odejścia był konflikt z prezesem Frédéricem Longuépée. Po trwających półtora miesiąca negocjacjach Sousa rozstał się z Bordeaux z zagwarantowaną wypłatą 2,2 mln euro, która miała trafić do niego do kwietnia 2021 r. W styczniu tego samego roku rozpoczął pracę z reprezentacją Polski.

Przez prawie rok Zibi nie dał po wiedzieć o Sousie nawet jednego złego słowa.

21 stycznia 2021 r.: „Jestem przekonany, że nowy selekcjoner reprezentacji Polski, dzięki swojej trenerskiej klasie, doświadczeniu i obyciu międzynarodowemu, da tak potrzebny naszej drużynie narodowej nowy impuls. Liczę na niego! Wszyscy – federacja, piłkarze oraz cała nasza piłkarska rodzina – jesteśmy do jego dyspozycji. Powodzenia, Paulo!”.

24 czerwca: „Paulo Sousa jest dobrym trenerem i uważam, że powinien zostać. Wydaje mi się, że Sousa pociągnął za sobą zawodników. Nie pamiętam takiego zgrupowania pod względem jakości i przygotowania. Idziemy w dobrą stronę. Sousa ma wielkie doświadczenie

i wie, czego nam potrzeba. Zmiana trenera była konieczna. Marazm wokół kadry był zbyt duży. Wybrałem dobrego szkoleniowca, który – mam nadzieję – udowodni to na Mistrzostwach Świata w Katarze i eliminacjach. Na dzisiaj tematu zwolnienia Sousy nie ma”.

23 września: „Mówienie o dziwnych powołaniach Paula Sousy to zwykłe bicie piany”.

Tchórzostwo i ucieczka

W jednym nasi byli selekcjonerzy są całkowicie zgodni – reprezentacji się nie porzuca!

Decyzję o zatrudnieniu Sousy podjął samodzielnie Zbigniew Boniek. Nie przestudiował wnikliwie CV przyszłego selekcjonera.

Antoni Piechniczek: „Ta decyzja bardzo źle świadczy o Sousie. Zaufaliśmy mu, był w Polsce przez wielu życzliwie oceniany, ale okazało się, że za bardzo życzliwie. Uważam, że tu wcale nie chodzi o dobry kontrakt z Flamengo Rio de Janeiro czy jakimkolwiek innym sławnym klubem. Moim zdaniem chodzi o coś innego: Paulo Sousa zwyczajnie się przestraszył! To tchórzostwo. Zdał sobie sprawę, jak trudno będzie poprowadzić Polskę w meczu przeciw Rosji w Moskwie. Dla mnie to zwykła ucieczka”.

Andrzej Strelau: „Porzucenie przez Paula Sousę reprezentacji było szokiem dla zawodników i z pewnością dla prezesów Kuleszy oraz Bońka. To jest zaskakujący i zdumiewający brak szacunku dla piłkarzy, polskiego świata piłkarskiego oraz milionów kibiców. To także powód do zastanowienia, co oznacza i jaką ma wartość pojęcie etyki zawodu”.

Wojciech Łazarek: „Dla mnie wszystko, co wiąże się z reprezentacją, nie ma przelicznika pieniężnego. Doszło do bolesnej i niezwykle trudnej sytuacji. Cały czas odnosiłem wrażenie, jakby Sousa stał obok. Nie miał we krwi naszej reprezentacji, natomiast polskie piłkarstwo miał, ale w głębokim poważaniu. A śnięte ryby płyną z prądem także w Brazylii”, mówi były selekcjoner.

Franciszek Smuda: „Każdy trener, który prowadził reprezentację narodową, obojętnie jakiego kraju, powinien mieć ambicje, aby coś dla tego kraju osiągnąć. Jeżeli jest trenerem z tzw. jajami, to on nigdy nie przedłoży pracy w zespole ligowym nad prowadzenie reprezentacji. Trenowanie reprezentacji kraju to dla trenera zawsze największy zaszczyt”.

Wszyscy trochę oszukani

Boniek sprawiał wrażenie zaskoczonego całym zamieszaniem, ale za wszelką cenę próbował uciekać od konkretności. Już 27 grudnia napisał na Twitterze: „Bez Sousy też polska piłka sobie poradzi, nie ma co płakać. Z niewolnika nie ma... Niestety, wielu postąpiłoby podobnie... Wykonuję piękny, ulubiony zawód i dają mi jeszcze pięć razy więcej. Taka dzisiejsza rzeczywistość... smutne,

ale prawdziwe”. Następnie dodał: „Wszyscy jesteśmy trochę oszukani. Najbardziej mnie zabolalo, że stworzono mu fantastyczne warunki pracy, dobre losowanie baraży, a on nie chciał grać tego dwumeczu, bo się boi, że skończy bez pracy, jak mu nie wyjdzie z reprezentacją”. Przedstawił krzepiącą teorię: „Paulo Sousa, stawiając pieniądze przed przyzwyczajoną czy zasadami, stracił chyba

Wszystko grało znakomicie, z wyjątkiem tego, co na boisku.

wszystko w naszej rzeczywistości. Uważam jednak, że teraz zadziała wkur... całej grupy i szanse w barażach się zwiększą. Nowy prezes niech zrobi dobry wybór (trzymam kciuki) i gramy dalej”.

Próbując się wywinąć od jakiegokolwiek odpowiedzialności, a podsumowując kadencję Sousy, Zibi stwierdził: „Reprezentacja funkcjonowała znakomicie, problem był sportowy”. Jeżeli dobrze rozumiem – wszystko grało znakomicie, z wyjątkiem tego, co na boisku. Zapewne dlatego sposób załatwienia sprawy przez „siwego bajeranta” Sousę krytykujemy, ale jego odejścia nie żałujemy.

■

Rozmawia Beata Igielska

Wypalenie zawodowe w 2019 r. zostało wpisane przez WHO do Międzynarodowej Statystycznej Klasyfikacji Chorób i Problemów Zdrowotnych (ICD-11). Ta wersja zaczęła obowiązywać od stycznia. W Polsce na podstawie obecnych przepisów lekarz może zlecić różne badania i konsultacje, niewiele więc to zmieni. Ale czy generalnie to dobry kierunek?

– Dla polskich lekarzy prawdopodobnie ta zmiana nie ma większego znaczenia. Wypalenie, mimo że nie zawodowe, istnieje w klasyfikacji chorób pod kodem Z 73.0. Jeśli ktoś ma problemy związane z pracą, może szukać pomocy lekarskiej i dostać zwolnienie z innym rozpoznanie. Często jest ono naprawdę potrzebne. Zmiana raczej nie będzie miała dużego wpływu na liczbę zwolnień L4 z powodu problemów psychologicznych związanych z pracą. Z badań wynika, że 85% Polaków odczuwa stres w pracy, ale ważne jest, żebyśmy umieli się regenerować. Te 85% Polaków nie pójdzie przecież teraz na zwolnienie. Większość z nas jakoś sobie radzi, choć czas pandemii jest wyjątkowo trudny.

Wypalenie zawodowe można łatwo symulować.

– Nie bardzo widzę powód symulowania – a jeśli już, to równie dobrze można symulować wiele innych dolegliwości. Jeżeli człowiek czuje się przeciążony pracą, to normalne, że chce iść do lekarza. U tych osób często pojawiają się stany lękowe, depresyjne, więc nie muszą symulować. Poza tym jeśli pracownik jest przeciążony, pracodawca nie odniesie żadnej korzyści, utrudniając pójście na zwolnienie. Przemęczony pracownik jest mało wydajny, a zwolnienie z pracy często naprawdę pomaga. Znam przypadki, że po paru tygodniach ludzie wracają w znacznie lepszej formie. Oczywiście istnieją też narzędzia do diagnozy wypalenia zawodowego, nawet samemu można się przebadać kwestionariuszem Maslach dostępnym online. Drugi popularny kwestionariusz to OLBI (*Oldenburg Burnout Inventory*), można łączyć obie metody diagnostyczne.

WYPALENI

Cierpimy na wypalenie zawodowe, bo jest coraz większy nacisk na osiągnięcia



MARTA JASTRZĘBSKA-KACZMAREK

– psycholog, psychoterapeuta poznawczo-behawioralny; pracuje w Poradni Psychologii Pracy oraz Wypalenia Zawodowego w Centrum Terapii Dialog. Doświadczenie zdobywała także na Oddziale Dziennym Nerwicowym w Wojskowym Instytucie Medycznym oraz w Instytucie Psychiatrii i Neurologii w Warszawie.

Wspomniała pani o stanach lękowych. Mogą być przecież cechą indywidualną, odróżnienie takich lęków od stanów lękowych związanych z pracą jest bardzo trudne. Potrafi to tylko psychiatra i wykwalifikowany psycholog, a nie dowolny lekarz.

– Tak, psychiatra jest konieczny, jeśli mówimy o zwolnieniu lekarskim bądź o skorzystaniu z farmakologii, w czym nie ma nic złego, bo dziś leki są zupełnie inne niż jeszcze kilka-kilkanaście lat temu.

Psychiatra potrafi wykluczyć inne możliwe zaburzenia, np. nastroju lub uogólnione lękowe. Nie każdy lekarz będzie miał kompetencje, aby właściwie zdiagnozować wypalenie zawodowe. W trakcie zwolnienia lekarskiego sensownym pomysłem jest także konsultacja z psychologiem, psychoterapeutą, żeby przyjrzeć się sobie, odpowiedzieć na pytanie, dlaczego stres jest już na tak wysokim poziomie.

W którym momencie powinniśmy podejrzewać wypalenie?

– Kiedy odczuwamy duże nagromadzenie negatywnych emocji związanych z pracą. Może to być uczucie zniechęcenia, przygnębienia, irytacji, niechęć do chodzenia do pracy, zmęczenie, poczucie wyczerpania, brak regenerowania się jako przedłużający się stan – kilkutygodniowy i dłuższy, pogłębiający się. Normalnie człowiek może być zmęczony po pracy, ale wraca do domu i odpoczywa. Przy wypaleniu zawodowym wyczerpanie nie znika. Może się pojawić bezsenność, bóle brzucha, napięciowe bóle kręgosłupa, lekko obsesyjne myślenie o pracy i związany z tym niepokój. Spada odporność, następuje osłabienie organizmu.

Jeszcze całkiem niedawno uważano, że wypalenie zawodowe dotyka głównie osoby wymagające bliskich kontaktów z innymi ludźmi oraz pełniących funkcje wspierające: nauczycieli, psychologów, lekarzy.

– Obecnie o wypaleniu zawodowym mówimy również w kontekście wielu innych profesji. Dziś na tę dolegliwość bardzo narzekają pracownicy służby zdrowia. Choć otrzymywali dodatkowe środki za pracę z chorymi na covid, płacą ogromną cenę psychiczną.

Czy wypalony pracownik może mieć negatywny wpływ na pozostałą część zespołu?

– Zaawansowane etapy wypalenia cechuje negatywizm, cynizm. Te zaś mogą odczuwać klienci czy pacjenci. Nawet na współpracowników może źle wpływać zniechęcenie wypalonej osoby.

Nierzadko wypalony pracownik sięga po używkę, co przynosi mu złudną ulgę.

– Użytki to niezdrowy sposób radzenia sobie ze stresem, unikania negatywnych emocji, odcinania się od nich.

Dlaczego problem wypalenia zawodowego dotyka coraz więcej coraz młodszych ludzi? Kiedyś pracownicy nie wypalali się? Jaki wpływ ma na to pandemia?

– Gdy popatrzymy na problem w szerszym historycznym, socjologicznym kontekście, zobaczymy, że zmieniły się bardzo społeczne wymagania wobec nas wszystkich. Kiedyś na jednym stanowisku można było przepracować całe życie i nie był to żaden problem. Dziś społeczne oczekiwanie jest takie, że

każdy będzie robił karierę, rozwijał się, miał wielkie osiągnięcia zawodowe, a praca będzie ciekawa i satysfakcjonująca. Są naciski, żeby się kształcić, żeby mieć właśnie tę pracę marzeń. Realia rozmijają się z rzeczywistością. Nierzadko trzeba podpisać umowę śmieciową, nawet na lata, za wykonywaną pracę otrzymuje się

Pracodawca powinien widzieć w pracowniku człowieka.

niesatysfakcjonujące wynagrodzenie. Rozbicia oczekiwań w starciu z rzeczywistością doświadczają coraz młodszy pracownicy. Szybko odkrywają, że prace nie są tak ciekawe, jak miały być, wcale nie dają możliwości rozwoju.

Poważną przyczyną rozczarowań jest nieumiejętne budowanie ścieżek rozwoju pracownika, niedopasowanie kompetencji do stanowiska. Może to dotyczyć awansowania bardzo dobrego specjalisty, np. sprzedawcy, na menedżera, gdy osoba ta potrzebuje rozwoju, ale niekoniecznie w tym kierunku. Z drugiej strony niekiedy praca jest za mało wymagająca dla kogoś o wyższych kompetencjach. To prowadzi do frustracji. Pojawia się przeciążenie z powodu wykonywania czegoś poniżej możliwości, co nie jest wyzwaniem, jest zbyt proste.

Człowiek może być zmęczony po pracy, ale wraca do domu i odpoczywa. Przy wypaleniu zawodowym wyczerpanie nie znika.

Moja przyjaciółka ze studiów polonistycznych, chcąc sobie dorobić, poszła do fabryki rajstop. Dwa tygodnie wykonywała ruchy jak automat: tekturka, złożyć rajstopy, folia. Była wyczerpana i sfrustrowana.

– Do tak mechanicznej pracy trzeba mieć predyspozycje, pani przyjaciółka ich nie miała. To nie była odpowiednia dla niej praca. Są jednak osoby, dla których będzie odpowiednia. A wracając do pytania o wypalenie młodych – jest coraz większy nacisk na osiągnięcia i zyski. Na firmie i szefów z kolei naciska centrala. Teraz jeszcze doszła pandemia.

Mówi się wręcz o covid burnout, covidowym wypaleniu.

– Obserwujemy jednoznaczne pogorszenie stanu psychicznego ludzi. Część boi się utraty pracy jako konsekwencji lockdownów. Do ogromnej niepewności, czy firma przetrwa, dochodzi lęk o zdrowie swoje i bliskich. Wiele osób przeżywa żałobę po śmierci kogoś bliskiego. Ogrom konsekwencji psychicznych ma izolacja. Pojawiła się praca zdalna, niektórzy mówią: „Podoba mi się, nie muszę jeździć do pracy, ubierać się, mobilizować”. Ale na dłuższą metę to nie jest ani zdrowe, ani dobre. Brakuje codziennej rutyny, porządku dnia, kontaktów społecznych. Online nie da się pogadać w kuchni z koleżanką w czasie przerwy na kawę. Do tego wielu ludzi straciło zajęcia, które redukowały stres, np. zamknięto w pewnym momencie siłownię. Trudno było spotkać się z rodziną, przyjaciółmi. Jest ciągła niepewność, trudno coś zaplanować, gdzie wyjechać, a dla wielu osób podróże są ważne. I jeszcze łączenie ról rodzicielskich z pracą online. Dzieci lądują na kwarantannach – ktoś pracuje zdalnie i musi opiekować się trzylatkiem. Czas pandemii jest dla wszystkich ogromnym wyzwaniem.

Jak się pracuje z osobą wypaloną?

– Indywidualnie, a więc bardzo różnie. Przede wszystkim należy nauczyć dbania o siebie, odczuwania swoich potrzeb, spraw najprostszych – dbania o sen, właściwą dietę, w grę

wchodzi suplementacja witaminami. Potem szukamy, co może relaksować: sporty, spacer, spotkania. Dla niektórych będzie to nauka czegoś nowego, np. gry na instrumencie. Ważne, żeby nie podążać za modą, tylko znaleźć sobie bezpieczny wenty, coś, co naprawdę relaksuje. Może to będzie najprostsze obejrzenie serialu. Pracuje się też nad podejściem do pracy, funkcjonowaniem w relacjach z przełożonymi: asertywnością, stawianiem granic, znajomością swoich praw. Pracuje się nad kwestiami odpowiedzialności, żeby sobie dobrze zdefiniować, za co jestem odpowiedzialny, a za co nie, bo ludzie często frustrują się ▶

► sprawami, na które nie mają wpływu. To jest pułapka. Dlatego warto nazwać to, na co mam wpływ, i tu poszukać, co mogę zrobić, co mogę poprawić.

Kolejnym etapem pracy z osobą wypaloną zawodowo jest próba odpowiedzi na pytanie, czy jest szansa na zmianę sytuacji w środowisku pracy, jeśli ono jest toksyczne. Jeśli rzeczywiście takie jest, podobne

Jeśli jednak kultura środowiska pracy jest toksyczna, co pracownikowi da pójście na dwutygodniowe zwolnienie? Chyba jedynie złapanie dystansu.

– Mówiliśmy już o wykorzystaniu tego czasu na spotkanie ze specjalistą bądź na pogłębioną, samodzielnie refleksję, co właściwie dzieje się w pracy, na ile ważne jest dla mnie, żeby tam zostać, jakie mam inne

moją motywacją do pracy jest tylko to, że boję się zwolnienia, nie jest dobrze. Czy warto zatem pracować w tej firmie, a z punktu widzenia pracodawcy – czy jestem dobrym pracownikiem?

Co może zrobić pracodawca, by pomóc wypalonemu pracownikowi? Odbić szczerą rozmowę ustalającą przyczyny kłopotów?

– Po pierwsze, pracodawca powinien widzieć w pracowniku człowieka. Szczególnie w pandemii brać pod uwagę, że pracownik ma życie osobiste. Jeśli słyszy: „Rety, mam dziś wizytę lekarską”, pozwolić pójść na

tę wizytę. Jeśli pracownik nie wykorzystuje tego nagminnie, daje mu to poczucie komfortu. Potem może posiedzieć godzinę dłużej, ale ważne, że może coś załatwić w ciągu dnia. Potrzebna jest elastyczność, mniej kontroli. Oczywiście dla każdego pracownika co innego jest ważne.

Błędem też jest zatrudnianie samych najlepszych kandydatów, gdy w zespole, owszem, są zadania związane z wyzwaniem, ale więcej niż połowa pracy to rutyna i powtarzalność, nikt potem tej pracy nie chce wykonywać. Ważny jest dobór odpowiedniej motywacji dla konkretnego pracownika. Na jednego świetnie zadziała nagroda, a na drugiego właśnie zrozumienie szefa, że od czasu do czasu musi wyjść. Liczy się podkreślenie wpływu pracownika na pracę zespołu, nawet jeśli wyda-

je mu się, że jest jedynie trybikiem w maszynie, i zwykłe docenianie za konkretne dobrze wykonane zadania, nie na zasadzie poklepania po ramieniu: „Jesteś super”, tylko: „Wspaniale napisałeś ten artykuł”.

Podsumowując: wypalamy się zawodowo, ale to jeszcze nie koniec świata.

– Zawsze możemy sobie sami pomóc. Ważna jest samoobserwacja, znajomość siebie, swoich potrzeb, praw. Można również szukać profesjonalnej pomocy u lekarza psychiatry i psychologa. Dzięki nim łatwiej pewne sprawy przewartościować, poukładać, zmienić, tak by poczuć się lepiej. To nie jest niemożliwe.

Zawsze możemy sobie sami pomóc. Ważna jest samoobserwacja, znajomość siebie, swoich potrzeb, praw.

problemy nie będą dotyczyły jednej osoby. Znam sytuacje, gdy jedna trzecia zespołu zwalnia się albo idzie na zwolnienie lekarskie.

Czy w przypadku wypalenia zawodowego zmiana pracy zawsze jest lekarstwem? Dla perfekcjonistów i stawiających sobie zbyt wysoko poprzeczkę zmiana raczej nie będzie rozwiązaniem na dłużej.

– Wypalenie dopada osoby, które bardzo starają się w pracy, bardzo chcą, mają idealistyczne podejście do pracy, ustawiają sobie poprzeczkę bardzo wysoko. A realia są takie, że albo procedury, albo tempo pracy nie pozwala im wykonywać zadań na zadowalającym ich poziomie. To powoduje coraz większą frustrację. Czują w dodatku, że nie mogą nic z tym zrobić.

Dziś zwolnienie się z pracy nie jest takie proste, spłacamy kredyty, rynek wbrew pozorom wciąż nie sprzyja pracownikowi.

– Pytamy zatem pacjenta, czy można jeszcze coś zrobić, odnieść się do wyższej instancji, czy też wchodzimy na ścieżkę prawną, gdy mamy do czynienia z mobbingiem. Te kroki są jednak bardzo obciążające i trzeba je dobrze przemyśleć. Ewentualnie można się zbliżyć z osobami, które czują się podobnie, by wzajemnie się wspierać. Można zbudować pewną tarczę ochronną, by odcinać się emocjonalnie od sytuacji w pracy. Jest to również kwestia wrażliwości osobistej – ktoś powie coś negatywnego na mój temat, a ja wierzę, że faktycznie tak jest, i zaczynam to przeżywać. Kolejnym etapem jest rozważanie zmiany pracy, a czasami nawet branży. Dziś zmieniają branżę 30-, 40-, a nawet 50-latkowie.

możliwości, jak mogę zmienić swoje podejście, żeby ta sytuacja tak bardzo mnie nie dotykała. Ważne też, co rozumiemy przez toksyczne środowisko.

Choćby zmuszanie do nadgodzin, nierealistyczne oczekiwania pracodawcy wobec pracownika albo niewypłacanie pensji, co nie jest rzadkością.

– Ten ostatni problem jest natury prawnej, konieczne są konsultacje z prawnikiem, są nawet punkty udzielające bezpłatnie porad. Jeśli na zewnątrz pokażemy raport z naszych nierozliczonych lub zbyt licznych nadgodzin, pracodawca może mieć nieprzyjemności.

Ludzie często frustrują się sprawami, na które nie mają wpływu. To pułapka.

Znam sytuacje z życia korporacyjnego, że pracownik ma w ciągu ośmiu godzin przygotować kilka raportów. To nie jest możliwe.

– A jak ich nie przygotowuje, to co się stanie? Zazwyczaj ludzie spinają się ponad siły i robią te raporty. Owszem, można raz na jakiś czas się spać i dwa, trzy dni popracować dłużej, gdy jest trudny moment w roku. Ale co innego, gdy to się dzieje nieustannie. Warto odpowiedzieć sobie na pytania: czy to dobrze, że biorę te nadgodziny, czy chcę tego, bo ktoś mi więcej zapłaci? Co się stanie, jeśli jednak wyjdę z pracy o godz. 17? Jak daleko sięga realnie moja odpowiedzialność? Czy rodzaj niepokoju, który odczuwam, jest lękiem przed byciem zwolnionym? Bo jeśli

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Niewczesny wędrowiec

Nie żegnam starego roku, trzymam się go jak tonący brzytwy, nie przyjmuję do wiadomości, że od 1 stycznia rocznikowo jestem już pięćdziesięcioletkiem. W takim np. Krakowie, który odwiedzam na dłużej niż dzień po raz pierwszy od czasu studiów doktoranckich, cierpię na coś w rodzaju zaburzenia perspektywy temporalnej, jak rzekłby fachowiec od mózgów. Gdzieś mi zginęły dwie dekady – wyszedłem na piwo i wróciłem „Dwadzieścia lat później”, jak głosiłby napis, gdyby to film był, nie życie. Zaburzenia dotyczą zresztą także topografii: umawiam się w kultowej knajpie Piękny Pies, po czym łażę po ulicy św. Jana w tę i we w tę. Czy coś mi się nie pomyliło, w głowę zachodzę, chodzę i pytam (gdzie jest moja szubienica?), aż mi mówią tubylcy, o których na Starym Mieście wcale nie tak łatwo: „Panie, przecież Pies już dawno na Kazimierzu”. Już dawno, powtarzam w myślach i patrzę po sobie, czy aby pajęczyny mnie nie spowity, czy ptaki nie uwiły sobie gniazd w moich zastygłych dłoniach. Gdzieś sobie przysiadłem, rzeki wylewały i wysychały, góry z górami się schodziły potajemnie, lasy padały pod zębem kornika i pilarzy, na karczowiskach wyrastały nowe, minęło siedem tysięcy dni i nocy, a ja naiwnie szukam kultowej knajpy tam, gdzie była pokolenie temu.

Byłem też lokatorem Lokatora setki miesięcy temu, po drodze zaglądam na Meiselsa, ach, przecież przeniósł się na Krakowską, przypominam sobie, ale tamże, na parterze Domu Norymberskiego, którego poddasze zamieszkiwałem, też już go nie ma, już dawno przeniósł się na Mostową i zmienił w kulturalną *book cafe*. Kraków jest uniwersum flaneurów, tu nawet knajpy się wałęsają; nie można by tu urządzić Bloomsday, gdyby Poldy Bloom urodził się pod Wawelem, wszak Davy Byrne's Pub dlatego stanowi żelazny punkt obchodów, że nie zmienił adresu od czasu, kiedy Joyce'owski Ulisses odwiedził go 16.06.1904 celem spożycia kanapki z gorgonzolą zapitej kieliszkiem burgunda.

Następnym razem będę się umawiał jak na turystę przysłało na Rynku pod Mickiewiczem, choć pewności już nie mam, czy i ten żelazny i odwieczny punkt orientacyjny nie zmieni lokalizacji lub po prostu nie zniknie. Skoro „Dziady” z pobliskiego Teatru Słowackiego znowu

na indeksie... Minister „Mójbratidiota” Gliński już się zużył jako prowokator środowisk artystycznych, jego niszczycielskie działania w resorcie kultury raczej żenują, niż rozwścieczają, Kaczor zaraz nam go wymieni jak Zalewską na Czarnka, przyjdzie taki okaz, że i za Glińskim zatęsknimy. Gdyby np. poseł „Caryca” Suski dostał Kulturę i Dziewictwo, zaraz by wysadził pomnik wieszczka, bo nie dość, że poeta litewski, to jeszcze w słowackim teatrze nabruździł – naprzeciw kościoła Mariackiego może stać tylko polski Papież lub bracia Kaczyńscy: Ministerstwo Kultury i Dziewictwa ogłosi konkurs na pierwszy podwójny pomnik Wielkich Bliźniaków, niejedną Kalina po nagrodę ręce wyciągnie, ech... Znajoma prawicówna jeszcze Mickiewicza toleruje, ale już narzeka na wmurowaną w ścianę kamienicy Bartscha tablicę, którą krakowianie upamiętnili trzydniowy pobyt Goethego – „cóż za polskie kompleksy”, powiada, „znowu to płaszczenie się przed Niemcami”, dodaje, a ja widzę, jak ją korci, żeby wzo-

rem kompanów sabotażystów z Warszawy jakoś tę tablicę zakleić, napis skorygować, np. słowo „niemiecki” zastąpić dosadniejszym „hitlerowski”.

Dotarłszy w końcu do celu, spotykam dwoje pięknych dorosłych: dzieci moje, które się zjechały na święta – ostatnim razem w tej knajpie Zośkę miałem w wózku, wychowywała się w akademiku, odporna była na gwar i tłok; Staś kilka lat starszy, jeszcze w czasach śląskich poczęty, teraz o głowę wyższy i w brodzie gęstszy, dopytuje: „Tato, czemu się spóźniłeś?”. No i jak ja mam mu wytłumaczyć, że zaplątałem się o czas utracony, wszystko mi się poprzestawiało, przerażają mnie te dwójki w galopie w dacie rocznej, bo wczoraj dopiero świętowaliśmy nowe milenium, a jeszcze przedwczoraj, synku, pokazałem ci śmoka zionącego Chromego i tak się przestraszyłeś, że dopiero wata cukrowa cię uspokoiła, a ciebie, córeczko, przecież nie było nawet w planach, więc skąd wy tu nagle teraz, tacy duzi... Czy to możliwe, że zrobiło się już tak późno?

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Konrad Malec

Skoro w Wigilię zwierzęta mówiły ludzkim głosem, wybrałem się na spacer i porozmawiałem z sąsiadami o życiu rodzinnym. Pierwszego w leśnych ostępach spotkałem dorodnego odyńca.

– Życie rodzinne? To dobre dla młokosów, jako poważny dzik wolę chodzić własnymi ścieżkami. Fajnie pobzykać, ale czy w tym celu muszę się męczyć przez całe życie? Jak laski są chętne, to odwiedzam tę czy inną grupkę rodzinną, robię swoje i zwiżam manatki Ale, wiesz pan, laski mają nieco inne zdanie, zresztą rodzinka dorodnych loch jest za tym zagajnikiem, zagadnij je sam.

Rzeczywiście po obejściu kępy młodych drzew udało mi się spotkać lochy z młodymi. Na zaniepokojone chrząknięcia wyciągnąłem opłatek. Lochy patrzyły na mnie jednak nieufnie, najwyraźniej miały zamiar czmychnąć. Na szczęście szefowa grupy, najbardziej doświadczona, zagadnęła:

– Myśliwy?

– Ależ skąd, prosty biolog terenowy i reporter, chciałem spytać, co panie myślą o życiu rodzinnym?

– Ach, nie ma nic lepszego nad życie rodzinne! Proszę spojrzeć na naszą rodzinę. Warchlaczkę już podrosły, ale ciągle są młode i głupiutkie. Nasze pociechy mogą przetrwać tylko dzięki opiece mojej, moich sióstr i kuzynek, starszych córek i siostrzenic. Razem je uczymy, co mogą zjeść, gdzie jest najlepsza sadzawka do wytaplania się w błocie (polecam tę za zwałonym dębem, proszę zabrać tam małżonkę w prezencie świątecznym, błoto jest najdelikatniejsze w lesie, a po wyschnięciu i wyczochraniu się o wytartą sosnę usuwa najwięcej kleszczy i innego robactwa, małżonka będzie zachwycona naszym leśnym SPA). Razem też chronimy młodziaki, w razie ataku wilków formujemy szyk bojowy, wewnątrz są maluchy, po bokach i na tyłach podrostki, a my, najstarsze i najwaleczniejsze, stanowimy pierwszy front natarcia. Nasi starsi synowie niebawem dorosną i pójdą w świat własną drogą. Proszę tylko spojrzeć, jacy dorodni kawalerowie.

– Nie jest pani żal, że więcej się nie spotkacie?

ROZWAŻANIA nad życiem rodzinnym

Czego powinniśmy się uczyć od zwierząt



Lochy: Same umiemy się bronić. A po co nam na co dzień ten arogant z wystającymi kłami? Żeby drzewa porysował?

– Owszem, będziemy tęsknić, ale co oni mieliby tu do roboty? Powinni rozejrzeć się za jakimiś dziewczuchami, roznieść geny w świat, przecież nie będą się kojarzyli z siostrami i kuzynkami.

– A nie brakuje pani samczej opieki na co dzień?

Locha przez dłuższy czas nie mogła opanować chrząkania, co jest odpowiednikiem śmiechu. W końcu obwieściła:

– Panie kochany, same umiemy się bronić. A po co nam na co dzień ten arogant z wystającymi kłami? Żeby brudne skarpetki po barłogu rozrzucać? Albo tymi swoimi kłami drzewa porysował?

Tu reszta loch zawtórowała śmiechem. Podziękowałam za rozmowę i udałam się do innych mieszkańców lasu. W płataninie korzeni pod wykrotem dostrzegłem kunę leśną. Wylegiwała się na skórkach upolowanych

gryzoni i podobnie pozyskanych ptasich piórach.

– Miło, że pan pyta, zapewne po mnie nie widać, ale jestem przy nadziei. Choć nasza ciąża trwa osiem miesięcy, czyli niewiele krócej niż wasza, to na czas zimy zarodki w macicy są uśpione. Intensywnie zaczną się rozwijać na wiosnę. Wówczas urodzę trojaczki, a może w tym roku pięcioraczki? Nie wiem jeszcze, ile ich będzie, w naszym lesie nie ma aparatury do USG. Sama się nimi zaopiekuję i wychowam, by jesienią mogły zacząć życie na własną łapę. A ja? No cóż, może spotkam się znów z tym przystojniakiem, co mieszka koło cmentarza, ależ brutal z niego w łóżku! Ale koleżanka wspominała, że ten spod Rogóżna też niezły szatan! – zakończyła rozmarzonym głosem.

Po tej nieco perwersyjnej wypowiedzi miałem nadzieję trafić na jakieś zwierzę o spokojniejszym pożywciu.

Zastukałem w pień z dziuplą dzięcioła dużego. Wyjrzał nieco zaspany jęgomość. Widać było, że do w miarę sympatycznego tonu zmuszają go tylko świąteczne okoliczności.

– No, skoro już pan musi wiedzieć, to najlepsze jest życie samotne.

– Ale przecież buduje pan dziuple wspólnie z partnerką, razem wychowujecie pisklęta.

– Owszem, każdy chce coś po sobie zostawić. Sam sobie przecież jaj nie zniosę. Razem z partnerką wykujemy dziuplę, bo to kawał ciężkiej pracy. Próbował pan kiedyś tej sztuki? No właśnie. Ale chęć rozmnożenia się nie oznacza jeszcze, że muszę być szczęśliwy z towarzystwa baby. Razem karmimy pisklaki, ale staramy się nie włożyć sobie zanadto w drogę. Po zakończeniu opieki każde z nas leci na swoją część terytorium i po sprawie.

– Czy wszyscy pańscy pobratymcy mają równie nietowarzyski stosunek do życia?

– A co w tym złego? Już za pisklaka nie lubiłem towarzystwa rodzeństwa. Przydawali się tylko do tego, by na zmianę wołać o żarcie do starych. Ale to wspólne przesiadywanie w dziupli... Brrr! Dobra, dość mi pan czasu zmarnował, do widzenia!

Zanurkowałem w dziupli, a ja udałem się nad rzekę. Ponoć ryby głosu nie mają, ale w Wigilię miały jednak coś do powiedzenia. Pod taflą wody dojrzałem płotkę. Zawołana podpłynęła do powierzchni, z pewną obawą, ale widząc opłatek, nieco się ośmieliła. Skubnęła, złożyła życzenia, po czym odpowiedziała krótko:

– Po diabła jakieś tam życie rodzinne? Wprawdzie pływamy w małych grupkach, lubimy towarzystwo innych ryb, także spoza naszego gatunku, to zapewnia bezpieczeństwo, ale bez przesady, po co się męczyć jakimś małżeństwem czy wychowem młodych? Wiosną puszczam ikrę na rośliny, atrakcyjny chłop obleje ją mleczkiem i po krzyku. Ale – tu ściszyła konfidencjonalnie głos – idź pan na tamto zakole, gdzie woda prawie nie płynie. Pogadaj z samcem ciernika, ten to ma nierówno pod sufitem – poślała mi porozumiewawcze spojrzenie prawym okiem, po czym dała nurka.

By porozmawiać z ciernikiem, musiałem wykuć mały przerębel, bo na zastoisku woda zamarzała. Chyba się naraziłem owym wybijaniem dziury.

– Co się pan tak dobijasz, święta zakłócasz?! – ofuknął mnie ciernik. Naprędce wyjaśniłem powód mojej wizyty, co zdecydowanie go uspokoiło i wprawiło w błogie rozmarzenie.

– Ach, ikra, narybek! – wykrzyknął w uniesieniu dorodny, ośmiocentymetrowy, kolczasty samiec. – Już nie mogę się doczekać wiosny, lata. Zbuduję piękne gniazdo z roślin, murarską robotę wykonam specjalną wydzieliną z moich nerek, a potem zaproszę dziewczyny, by złożyły ikrę, o którą będę się troszczył bardziej niż o własną żrenicę!

– O! Kilka małżonek, nieco zażdroszczę! – puszczam oko.

– Jakich małżonek?! Zwariował pan? Żeby mi maleństwa zjadły? Albo przeszkadzały w tacierzyństwie? A niech spływają! Składają ikrę, a ja mam wolną płetwę w wychowaniu moich rybeczek!

– No ale kilka partnerek to spora przyjemność – zauważam.

Dzięcioł: Razem karmimy pisklaki, ale staramy się nie włożyć sobie zanadto w drogę.

– Nie narzekam, jestem całkiem wyrośniętym samcem i panienki nie przepływają koło mnie obojętnie – tym razem pan ciernik uśmiechnął się odrobinę szelmowsko, choć po chwili spowaźniał i rzekł: – Wie pan, to przyjemne, nie przeczę, ale celem nadrzędnym jest mój kochany narybek. Proszę sobie wyobrazić, że tej wiosny sąsiad – kurdupel, może z 6 cm ma łachudra – nie mógł zdobyć uznania żadnej samicy, więc próbował ukraść mi ikrę, by podrzucić do swojego gniazda i w ten sposób pokazywać panienką, że jakaś już na niego poleciała! Pogoniłem konusa, aż się woda zmąciła!

– Ale tak między nami mówiąc, bardzo lubię dzieci, niemniej jednak cenię pomoc małżonki. Nie myślał pan o tym?

– Nie! Absolutnie nie widzę sensu w takim modelu społecznym! Ale proszę zagadnąć o to bobry, o tej porze żerują 2 km w górę rzeki.

– No tak, znam je, bo tam mieszkam, dziękuję za rozmowę i życzę dużo ikry i narybku w nadchodzącym sezonie.

Ruszyłem w stronę domu. Już przy bramie usłyszałem chrupanie dochodzące znad rzeki. Podszedłem

do bobrzyc sąsiadów i ich pozdrowiłem. Od dawna były przyzwyczajone do mojej obecności i nie uciekały, a dziś na mój widok przysiadły, podpierając się ogonami, i odpowiedziały:

– Dobry wieczór sąsiadowi, niech pandemia waszności omija!

– Dziękuję pięknie. Czy zechcieliby państwo powiedzieć czytelnikom PRZEGŁĄDU, co znaczy dla państwa rodzina?

Bobry wyraźnie się rozpromieniły, a ich wibrysy zadrgały od wewnętrznego poruszenia.

– Dla nas, bobrów, rodzina jest najważniejsza – zaczął pan bóbr. – Wykopaliśmy z żoną naszą norę i stale o nią razem dbamy. Wspólnie z dziećmi na co dzień pracujemy jako drwale i budownicowie. Dzięki temu działamy jak dobrze zorganizowana brygada. Proszę spojrzeć, ja ścinam ten klon, przyzna pan, że zaśnania widok na rzekę (ugryzłem się w język, by nie

palnąć, że bardzo lubię to drzewo). Ten drugi, już leżący, nasze starsze latorośle tną na mniejsze kawałki (w tym momencie miałem wrażenie, że starsze bobrki pokraśniały, choć futerko uniemożliwiało dojrzenie lic), jednocześnie uczą tej sztuki młodsze rodzeństwo. Żona zajmuje się transportem, większe kawałki holuje na budowę, mniejsze zatapia jako zapasy na czas, gdy lód skuje rzekę.

– Proszę zwrócić uwagę, że dzieci uczą się najpierw od nas, później od starszego rodzeństwa – wtrąciła pani bobrowa. – Starsze niebawem nas opuszczają i zaczynają szukać własnego miejsca do życia, ale nim odejdą, poznają jeszcze najmłodsze rodzeństwo, którego spodziewamy się wiosną – powiedziała z rozrzewnieniem szacowna matrona.

– Jak pan widzi wiemy prawdziwie rodzinne życie, wasze władze powinny z nas uczynić symbol polityki prorodzinnej. Moglibyśmy was wiele nauczyć, jak takie życie powinno wyglądać.

– I jak wychowywać dzieci – dodała pani bobrowa.

Wraz z moimi rozmówcami życzymy Szanownym Czytelnikom do siego roku!

Rozmawia Dorota Bartosewicz

Data ważności – takiego terminu nie ma w żadnym akcie prawnym, który precyzuje zasady wprowadzania żywności do obrotu.

– Bo to sformułowanie potoczne, używane w zastępstwie dwóch specjalistycznych terminów stosowanych w UE: data minimalnej trwałości i termin przydatności do spożycia.

PRZETERMINY

Co warto wiedzieć o datach umieszczanych na jedzeniu

Czyli odpowiednio „najlepiej spożyć przed” i „należy spożyć do”. Co dokładnie je różni?

– Pierwszy to tzw. data jakości, odnosi się do produktów suchych, takich jak makaron, ryż, fasola, kuskus, ale też kawa.

Które, co do zasady, po tej dacie nadal będą zdatne do spożycia...

– ...choć mogą zmienić kolor czy aromat i smak (szczególnie kawa mielona). Tak! Drugi termin to data bezpieczeństwa, inaczej gwarancja jakości, koniec fizycznej przydatności do spożycia. Widnieje głównie na produktach mokrych, takich jak jogurty, sery, mięsa, wędliny...

I wtedy, nawet gdybyśmy przymierali głodem, lepiej nie sięgać po nie.

– Chyba że na tym się znamy. Bo jeśli mamy twaróg, który zaczyna już chodzić, to możemy się pokusić o zrobienie z niego smażonego sera wielkopolskiego.

Czyli?

– To odmiana sera topionego o długiej dacie przydatności do spożycia, który ponownie możemy przechowywać w lodówce. Jak powstaje? Najpierw wyjmuje się twaróg z lodówki, zostawia w temperaturze pokojowej, pod ściereczką, by trochę wysechł. Następnie przesmaża się go na wolnym ogniu, aż do uzyskania jednolitej konsystencji, w największym skrócie. W wielu

domach w Wielkopolsce nadal się go robi. Ale tu uwaga – jeśli nie mamy takiej wiedzy i nigdy o tym nie słyszeliśmy, to ze względu na własne bezpieczeństwo lepiej po prostu twaróg wyrzucić. Z bólem serca.

Terminy może i precyzyjne, ale w badaniach widać, że Polacy nadal je mylą. Tylko 25% rozumie, co znaczy „najlepiej spożyć przed”.

KATARZYNA BOSACKA

– dziennikarka telewizyjna i prasowa, przez lata prowadziła programy „Wiem, co jem” i „Wiem, co kupuję”, autorka poradników konsumenckich i książek kucharskich.

– I tak dobrze, bo Polacy czytają jednak etykiety – 60% deklaruje, że to robi, jak pokazują analizy Instytutu Żywności i Żywienia.

Tylko niewiele z tego wynika.

– Zgoda! Ale trudno się dziwić, skoro – po pierwsze – nie ma w Polsce edukacji żywieniowej z prawdziwego zdarzenia. A ta powinna być prowadzona od najmłodszych lat i włączona do programu lekcji z zakresu biologii czy środowiska. Tymczasem dzieci dużo więcej uczą się o odżywianiu eugleny zielonej czy pantofelka niż o odżywianiu człowieka. A jeśli już, to mało praktycznie. Wyłącznie teoretycznie, o tym ile węglowodanów, tłuszczów, soli może zjeść człowiek w ciągu dnia. Dla uczniów to przecież abstrakcja! Po drugie, sam system oznaczeń jest skomplikowany. Kto wie, czy robienie zakupów spożywczych to nie materiał na habilitację. Po trzecie, stale pojawiają się nowe informacje. Zaledwie kilka tygodni temu UE zdecydowała o zakazie sprzedaży żywności z dwutlenkiem tytanu (E171). To biały barwnik dodawany m.in. do gum do żucia, drażetek i cukierków. Uznano, że to środek potencjalnie szkodliwy, szczególnie dla dzieci.

„Należy spożyć do” to data bezpieczeństwa, koniec fizycznej przydatności do spożycia. Widnieje na produktach mokrych, takich jak jogurty, sery, wędliny.

Problem także w tym, że sami producenci nie są konsekwentni. Analizy KE pokazują, że sałata w folii raz była opisana „najlepiej spożyć przed”, a raz „należy spożyć do”.

– To tym bardziej zaskakujące, bo sałata szybko się psuje, liście puszczają wodę, więc obowiązkowo powinna być oznaczona: „należy spożyć do”. Bez dyskusji!

Jedynym wyjątkiem był ketchup – zawsze oznaczony „należy spożyć do”.

– Tyle że w przypadku ketchupów to nie jest już tak oczywiste. Przecież jeden może być pasteryzowany i bez konserwantów, czyli krócej postoi na półce, zwłaszcza w plastikowym opakowaniu, i dlatego powinien być oznaczony „należy spożyć do”. A drugi pasteryzowany i z konserwantami – „najlepiej spożyć przed”. Co oznacza, że po

terminie przydatności nadal może być jadalny.

A chleb? Jak powinni go opisywać producenci?

– To też zależy. Jeśli mowa o chlebie tostowym, jest to raczej gąbka do mycia szyb. Nafaszerowany emulgatorami, konserwantami i inną chemią będzie jak Lenin wiecznie żywy. Jeśli nie złapie wilgoci z otoczenia, może

„Najlepiej spożyć przed” to data jakości, odnosi się do produktów suchych: makaronu, ryżu, fasoli, kuskusu, ale też kawy.

być zdalny do spożycia nawet przez parę tygodni, więc powinno na nim widnieć: „najlepiej spożyć przed”. Co innego chleb prawdziwy. Na zakwasie, który powoduje, że w środku może się pojawić pleśń. Maksymalnie wytrzyma tydzień – powinno to być oznaczenie „należy spożyć do”.

Podobnie będzie z wędliną?

– Tak! Jeśli kupimy tę tańszą, czyli z małą ilością mięsa – przekrojona i wrzucona w plastikowej torebce do lodówki natychmiast puści wodę – obowiązkowa powinna być na niej data bezpieczeństwa. Tak jak przy

pasztetach, w których na pierwszym miejscu w składzie jest woda (*sic!*). Co innego, jeśli będzie to kielbasa prawdziwa – z mięsa, z minimalną ilością wody, naturalnie wędzona. Wtedy powinna pojawić się na niej data jakości. Najwyżej nam w lodówce wyschnie. A nawet jeśli, i będzie już grubo po terminie, wciąż możemy ją pokroić i dorzucić do jajecznicy czy bigosu. Bez obaw.

To może w tej sytuacji lepiej w ogóle odejść od określeń „data minimalnej trwałości” i „termin przydatności do spożycia”? Co z tego, że unijne, skoro nie zdaje to egzaminu?

– Można próbować i przyjąć prostszą regułę: to, co suche, jedz śmiało po wskazanej przez producenta dacie, o ile tylko było prawidłowo przechowywane. Na to, co mokre, uważaj. I pamiętaj, że jest cała masa

produktów, które nigdy się nie psują. Są to: cukier, sól – ktokolwiek słyszał, żeby ktoś je wyrzucił?! Alkohol – czy pani kiedyś widziała, żeby on się zepsuł?!

Niestety tak. Nie zawsze wino im starsze, tym lepsze.

– Owszem, są gatunki, które się rozwarstwiają i stają niepijalne, zgoda. Ale generalnie zyskują na wartości.

A wódka czy whisky? To jest naturalny konserwant. Do tego dochodzi miód – mówi się, że ten jeszcze nieodkryty w piramidach egipskich nadal jest jadalny, po tylu tysiącletniach. Poza tym olej rzepakowy rafinowany, oczyszczony. Inaczej niż np. olej lniany, tłoczony na zimno, który szybciej traci właściwości; może zawierać pozostałości roślin i kropelki wody, co przyspiesza proces psucia się. Dalej – ocet, o ile był w szczelnie zamkniętej butelce z dobrym korkiem i nie zwietrzał.

Czyli ma być niczym w podręczniku do towaroznawstwa z 1945 r.? Ocet, jeśli stanie się mętny, przelej przez bibułkę i jak najszybciej upłynnij.

– Nie kombinowałabym do tego stopnia! Widzę to raczej tak: zaglądam do kuchni, spiżarni, piwnic, szuflad i szaf – swoją drogą styczeń jest dobrym miesiącem, by zrobić przegląd tego, co nam zostało po świętach. A nawet podjąć wyzwanie: miesiąc bez karty kredytowej. Pieńiądże wydajemy tylko na benzynę, składki szkolne i energię. Korzystamy za to z produktów, które znajdziemy w domu.

Trafiam, dajmy na to, na makaron. Data minimalnej trwałości przekroczona przynajmniej o dwa lata. Co robię? Najpierw oglądam dokładnie opakowanie, sprawdzam, czy nie jest naruszone. Zaglądam do środka i upewniam się, że nie zagnieździły się tam robaki. Nie ma pleśni. Koloru i zapachu innego, niż ma świeży produkt. Jeśli nic niepokojącego się nie dzieje, spokojnie mogę go jeść. A jeśli nadal bardzo się boję, mogę ugotować małą porcję i spróbować, czy makaron nie ma grzybicznego posmaku i nie smakuje teksturą.

► **Wielu ekspertów mówi podobnie: w ocenie produktów najważniejsze są zmysły.**

– Dotyk, słuch, wzrok, węch, smak, w takiej dokładnie kolejności. Przy czym, co też istotne, odnosi się to głównie do produktów suchych. W przypadku tych mokrych, np. jogurtu, nie ryzykowałabym zjedzenia tygodni po terminie. Ale dwa dni, czemu nie? Jeśli tylko wieczko jest nie naruszone, a wygląd i smak niczym nie odbiegają od jogurtu z dobrą datą ważności.

Nie wszyscy są co do tego zgodni. Część argumentuje: to jak przechowanie na czerwonym świetle.

– Jeśli już, to na pomarańczowym. Najistotniejsze, by być uważnym i pamiętać dodatkowo o kilku wyjątkach.

To, co suche, jedz śmiało po wskazanej przez producenta dacie, o ile tylko było prawidłowo przechowywane. Na to, co mokre, uważaj.

Jednym z nich są jajka. Zwłaszcza spożywane na surowo, dodawane do tatara. Po terminie bym po nie jednak nie sięgała.

Czyli mamy przyjąć, poza wyjątkami, że to nadal produkty bezpieczne? Choć żywność stale podlega pewnym procesom?

– Pełna zgoda, bakterie się kolonizują, ale co najwyżej grozi nam niestrawność.

Czy tylko? W grę wchodzi również zatrucie salmonellą, gronkowcem złocistym, *E. coli*...

– Weźmy to na zdrowy rozum. Kiedy nie było przetworzonego jedzenia, liofilizowanej żywności ani technologów żywienia, Polak miał u siebie polską krowę czerwoną, jajka od kurki zielononóżki, to na pewno. Do tego kiszoną kapustę i śledzia w beczce. I jeśli dołł krowę, ściągał z tłustego mleka śmietanę – polska krowa czerwona dawała bardzo tłuste mleko, ok. 4% – i robił z niej potem masło, to nie przyklejał do niego informacji „należy spożyć do”. Zamiast tego odstawiał je w chłodne miejsce, najczęściej zawinięte w ściereczkę, i przychodził co trzy, pięć, dziesięć dni i patrzył, czy ma dobrą konsystencję. Jaki ma kolor. Jak pachnie... Próbował i decydował ostatecznie, czy jest to jadalne, czy nie. Tak było przed wiekami

i z powodzeniem działało, więc nie dajmy się zwariować.

Data ważności ma w ogóle krótką historię. Pojawiła się po raz pierwszy na produktach sprzedawanych w brytyjskiej sieci sklepów Marks & Spencer, a na dobre zadomowiła się na opakowaniach dopiero w latach 70.

To skąd w ogóle teraz te dyskusje o datach bezpieczeństwa i jakości?

– Swoje robią szalejąca inflacja (najwyższa od 21 lat – przyp. red.), galopujące ceny jedzenia (w okresie bożonarodzeniowym o ok. 7% wyższe niż przed rokiem), a także trend niemarnowania żywności. Jeśli wierzyć badaniom, 80 mln ton jedzenia trafia co roku na śmietnik w krajach Unii Europejskiej, z czego niemal 5 mln ton w Polsce.

Nic dziwnego, że media, głównie te zagraniczne, idą za ciosem i radzą teraz w ogóle ignorować oznaczenia. „Wyrzuc datę ważności do kosza”, pisze „Guardian”, a „Time” donosi: „Tylko frajerzy przestrzegają daty ważności”.

– To ślepa uliczka, bo nie można namawiać do kroków radykalnych. Szabrujcie po śmietnikach, bo wszystko, co wyrzucają sklepy spożywcze, jest jadalne, nawet 30 dni po terminie. Nie! Trzeba zachować złoty środek.

Jest masa produktów, które nigdy się nie psują: cukier, sól, miód, mocne alkohole.

To może lepiej pójść za przykładem Belgów? Stworzyli listę produktów i szczegółowe wytyczne, np. makaron, kawa, herbata – przechowywać jeszcze rok od daty na opakowaniu. Majonez, ser – dwa miesiące dłużej...

– Jestem za, choć może docelowo lepiej byłoby się zastanowić nad uproszczeniem, które pozwoliłoby łatwiej i szybciej odróżniać „najlepiej spożyć przed” od „należy spożyć do”. Może w formie symboli graficznych? Kolorów? Albo danych obowiązkowo wgrzywanych do aplikacji w telefonach komórkowych?

A rozwiązanie portugalskie? Producent zamawia w sanepidzie badanie

mikrobiologiczne, które ma potwierdzić, że żywność po terminie nadal jest bezpieczna.

– Zbyt skomplikowane, szczególnie przy bylejakości naszego państwa – sanepid nadal nie radzi sobie z covidem. Precyzja w podawaniu statystyk nadal pozostawia wiele do życzenia.

To może za przykładem Finlandii wprowadzić zasadę: jeśli sięgasz po tzw. przeterminy, koniecznie je ugotuj, usmaż, upiecz? Najpóźniej następnego dnia po wskazanej przez producenta dacie.

– I to jest bardzo dobry pomysł. Bo jeśli mamy np. jogurt naturalny, dajmy na to, dwa dni po terminie, a nie chcemy go wyrzucić, to możemy z niego zrobić marynatę do kurczaka, którego wstawimy do piekarnika. W ten sposób zabijemy bakterie, o ile w ogóle się pojawiły w nabiale. Proste, logiczne i użyteczne rozwiązanie.

A systemowo do przyjęcia w Polsce?

– A skąd! Sanepid będzie przekonywał, że to kwestia bezpieczeństwa, z kolei firmy – zleką się możliwych strat wizerunkowych i regulacji prawnych. A prawo mówi jasno: za żywność dostępną na rynku w okresie jej przydatności do spożycia odpowiada producent. Po tym terminie konsument spożywa ją na własną odpowiedzialność.

Czytaj: w przypadku zatrucia pokarmowego nie ma prawa do odszkodowania.

– Dlatego nie widzę u nas szans na zmianę, o ile ta nie wyjdzie od nas samych. Na szczęście mamy coraz

więcej książek kucharskich, kanałów na YouTube i blogów o tym, jak nie marnować jedzenia. Jak obchodzić się z żywnością po terminie. Jak gotować z resztek, choć część przedstawianych tam rad bywa absurdalna. Dlatego lepiej zachować instynkt samozachowawczy. Jeśli otworzymy dżem, a ten będzie mieć kałużę pleśni, to obowiązково go wyrzucamy, a nie odciągamy łyżką pleśń i resztę zjadamy! Pleśń może mieć właściwości rakotwórcze. Podobnie jeśli mamy zacząć jeść skóry od arbużów czy pestki z awokado, to nie tędy droga. Ani jedno, ani drugie nie jest jadalne. Pod żadną postacią!

Dorota Bartosiewicz

Szaleństwo Zbigniewa Z.

To zaczyna wyglądać jak kolejny rozdział książki Barbary Tuchman „Szaleństwo władzy”. Jeden z takich momentów w historii, kiedy władza wie, że ciągnie swój kraj w przepaść, ale nie stać jej na zawrócenie.

Widzimy coś takiego w stosunkach Polski z Unią Europejską. Jeszcze w pierwszych dniach grudnia polski rząd miał realną szansę odblokować zaliczkę z Europejskiego Funduszu Odbudowy (EFO). Wystarczyło pójść na ledwie trzy ustępstwa.

Po pierwsze, PiS miało przedstawić projekt ustawy o Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego. Po drugie, przywróceniu do pracy mieli zostać sędziowie, których Zbigniew Ziobro odsunął od orzekania. (O ilu sędziów chodzi? Pięciu?). A po trzecie, rząd miał się zgodzić na dopuszczenie samorządów do uczestnictwa w kontrolowaniu wydatków z EFO. Przy czym politycy Unii dawali znać, że zadowolą ich ogólne gwarancje, bardziej więc chodziło im o dobre wrażenie niż o łapanie rządu za ręce.

I co? Wszystko się rozpadło w proch i pył, bo minister sprawiedliwości i zarazem szef Solidarnej Polski, która ma w Sejmie 19 posłów, powiedział: nie.

Tak oto Zbigniew Ziobro i jego partia z przytupem wkroczyli w kolejne obszary, których nie mieli prawa tykać – w politykę zagraniczną, w politykę europejską i w finanse państwa.

Swego czasu Patryk Jaki, zastępca Ziobry, ignorując uwagi mądrych ludzi, także pani ambasador Izraela, przepchnął nowelizację ustawy o IPN, co odepchnęło Polskę od USA i poróżniło z Izraelem. Teraz Ziobro odpycha Polskę od Unii. Tylko dlatego, że chciałby kontrolować sędziów. On nazywa to walką o suwerenność Polski, choć

jest to co najwyżej walka o suwerenność Ziobry w Zjednoczonej Prawicy.

Za sprawą takich działań sytuacja Polski pozostaje w zawieszeniu. Wiadomo tylko, że na 5 mld euro zaliczki w ramach EFO będziemy mogli liczyć najwcześniej w drugiej połowie roku. Kogoś to w tej bogatej Polsce martwi?

Tak oto Ziobro pokazał, że to on ma większy wpływ na polską politykę zagraniczną niż minister spraw zagranicznych z premierem razem wzięci.

Co warto zauważyć, ten antyeuropejski zwrot, który Polska wykonuje, odbywa się nie tylko wbrew nadziejom premiera i ministra finansów, ale i wbrew polskiemu społeczeństwu. Znakomicie ilustruje to niedawny Eurobarometr, czyli badanie postaw obywateli wszystkich państw Unii. Według tego sondażu 81% obywateli państw Unii twierdzi, że UE powinna przekazywać fundusze wyłącznie tym państwom członkowskim, które przestrzegają praworządności i zasad demokratycznych. Innymi słowy, te wszystkie mechanizmy praworządności, które wobec Polski są wdrażane, spotykają się z aprobatą obywateli państw UE. Ba! Tego samego zdania jest aż 72% ankietowanych w tym sondażu Polaków! I tylko 16% ma przeciwnie zdanie.

Kolejne pytanie dotyczyło obrazu Unii. I oto okazuje się, że 53% badanych ma pozytywny obraz UE, a 19% postrzega Unię negatywnie. Na tym tle wyróżnia się Polska. Aż 70% Polaków ma pozytywny obraz Unii, z czego 33% – bardzo pozytywny. Jest to najwyższy wynik w całej Europie.

Mamy więc najbardziej proeuropejsko nastawione społeczeństwo i najbardziej antyeuropejskich polityków. I ktoś jeszcze twierdzi, że w kraju nad Wisłą szanowana jest wola suwerena?

Attaché



Szkola w dobie koronawirusa, Zachodni Bengal, Indie.



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odpagdywanych wyrazów.

Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery T ujawniono.

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 18 utworzą końcowe hasło.

- wstępowa odmiana chalcyonu
- ...Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa
- czynnik wywołujący uczulenie
- ...Bunsch, najważniejszy scenograf teatru lalek w Polsce
- teść Józefa Kajfasza
- tętnica główna

- podręczny zestaw lekarstw, opatrunków
- niejedno na parkingu
- autor „Wujaszka Wani”
- można go obsadzić lub zamrozić
- i fantazja, i fałsz
- prostak, ordynus
- brytfanna z przykrywką i sierotka Marysia
- maruda, grzebała

- I w IPN
- Robert Górski lub Roman Żurek
- pałak
- piękne, staranne pisanie
- był maskotką sieci McDonald's
- Antarktyda, Australia lub Europa
- używany do klejenia papy
- wśród bobowatych i w Szwajcarii
- ...mchowy – typ niskiego (łąkowego) torfowiska
- naprzykrza się, wtrąca

- słodki sok wydzielany przez kwiaty
- ich gniazdo z szarej masy papierowej
- polny – chwast, trójbarwny – roślina ozdobna
- kształtowniki lub na portalu społecznościowym
- plany na nią robimy
- opowiadanie o przebiegu zdarzenia
- naczynie laboratoryjne do destylacji
- można komuś iść na nią
- Ha-Ga lub Maja Berezowska
- tworzy zielony kozuch na wodzie
- yorka – długa i jedwabista

- powodowanie lub oprawianie zwierzyny
- dawniej zwana fechtunkiem
- trochę lodu do zabawy
- chodnik
- „Holender...”, opera Wagnera
- idzie szlakiem z plecakiem
- jak nie on, to przemasz wojsk
- kawa, herbata lub tytoń
- puszczane na wodę w noc świętojańską
- to, co należy wykonać
- stolica nad Sawą
- ...czasu – naszynnik Hermiony
- wystąpienie zbrojne i nagle przyspieszenie
- plonący kawał drewna, głównia

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-1046”. Do rozlosowania DVD „Mistrz” ufundowane przez Galapagos. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 9 stycznia 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1043” z nr. 51: *Sława budzi zazdrość.*
Nagrody otrzymują: Łukasz Karol z Makowa Mazowieckiego,
Zenon Lewiński z Dębina, Zbigniew Popielski z Nadarżyna.

PENETRACJE

ZDANIE

PROF. JAN WOLEŃSKI,
FILOZOF

Skandalem było to, że konkordat był negocjowany przez polski episkopat, a nie przez Watykan. Toż to nawet w latach 20. było inaczej, w państwie polskim, które było państwem deklaratywnie katolickim. A więc Kościół grał, natomiast polski rząd wyobrażał sobie, zupełnie niesłusznie, że wprowadzenie w konstytucji konkordatu zapewni poparcie dla którejś tam ekipy. Nieprawda. Kościół będzie popierał to, w czym ma jakiś interes ideologiczny, materialny czy społeczny. Mówię to z całkowitym przekonaniem.

TYGODNIK
ANGORA

DR WOJCIECH SZEWKO,
EKSPERT DO SPRAW
BEZPIECZEŃSTWA

Po wyborach prezydenckich na Białorusi Polska i Litwa (samodzielnie albo z poduszczenia Stanów Zjednoczonych) próbowały zorganizować w Mińsku nowy Majdan. Stały się hubami aktywnego zwalczania reżimu Łukaszenki (Polska udzieliła azylu ok. 20 tys. Białorusinów). Gdybyśmy tego nie zrobili, prawdopodobnie Łukaszenka nie atakowałby naszej granicy przy pomocy sprowadzanych z Bliższego Wschodu emigrantów. Jeśli już się na to zdecydowaliśmy, trzeba było robić to rozsądnie. Ale gdy głównym naszym narzędziem propagandowym jest Bielsat, to wszystko mówi o naszej sprawności. Także postawienie na panią Cichanowską, która ma zapewne wiele zalet, ale nie jest

białoruskim Nelsonem Mandelą, okazało się nieporozumieniem.

DZIENNIK
GAZETA PRAWNA

ANDRZEJ STASIUK,
PISARZ

Nie wiem, czego ludzie tam szukają. Ja wolałbym się zesrać w gacie, niż pojechać na jeden dzień do Zakopanego. Ale są tacy, co kupują tam apartamenty za miliardy. Ja jednak nikomu nie będę mówił, co ma robić. Ludzie lubią odpoczywać w otoczeniu ciasnoty i brzydoty? A wystarczy pojechać kilka kilometrów dalej, na Słowację. Wszystko tam wygląda zupełnie inaczej. A góry są równie piękne i wysokie – Łomnica czy Gerlach są wyższe od Rysów. Nie rozumiem, jak to się stało, że Polska była w stanie spier...ć sobie jedyny kawałek pięknych, wysokich, skalistych gór.

zwierciadło

SŁAWOMIRA
ŁOZIŃSKA,
AKTORKA

Byliśmy „rokiem” widocznym i – co wszyscy podkreślali – „inteligentnym”. Profesorem teoretycy bardzo nas lubili, bo nie olewaliśmy historii sztuki. Uczyła nas młodziutka Agnieszka Morawińska, a Krzysztof Teodor Toeplitz raz w tygodniu w salce projekcyjnej SPATiF-u pokazywał nam kinowy kanon – od braci Lumière do „Psa andaluzyjskiego”. Z jego zajęć wszyscy dostaliśmy piątki. Zapytałam po latach: Ale jak to się stało? „Bo byliście zachwycający” – odpowiedział.

Aby język giętki...

JERZY URBAN O GEN. JARUZELSKIM

Zabrakło sprawności i nie stworzyliśmy zorganizowanego kultu gen. Jaruzelskiego jako jedyne go w dziejach wielkiego organizatora.

JACEK MERKEL

O ODMOWIE PRZYJĘCIA KRZYŻA ZASŁUGI

Rzeczpospolita Polska nie ma wobec mnie zdolności honorowych, choć to moje państwo.

ANTONI PAWLICKI O RODZINIE

Mój ojciec pracuje w TVP, stryj nakręcił „Smoleńsk”, a ja pomagającemu uchodzę.

ANDRZEJ ROZENEK

O WŁODZIMIERZU CZARZASTYM

Kierownictwo Lewicy nie ma żadnych ideałów i jest mu absolutnie wszystko jedno, z kim będzie rządzić.

ROBERT GÓRSKI O TELEWIZJI PUBLICZNEJ

Nie wybieram się, bo tam się dzieją rzeczy obrzydliwe.

KATARZYNA PAKOSIŃSKA

O DNIU PRZEZNACZENIA

W tradycji gruzińskiej 2 stycznia to data, która powie, co nas czeka w nadchodzącym roku.

ANNA JURKSTOWICZ O PRZEBACZANIU

Przebaczyć to nie to samo co zapomnieć. Przebaczymy przecież głównie dla siebie. Dla swojego spokoju i równowagi psychicznej.

KAROLINA KORWIN-PIOTROWSKA

O PIOTRZE KRAŚCE

Nikt nie jest ponad prawem. Tym bardziej dziennikarz cisnący polityków w kwestii jego przestrzegania.

MACIEJ STUHR

O SKOKU SPADOCHRONOWYM

Najpierw się leci na białą, odbijając słońce połać chmur. Burza uczuć, endorfin, doświadczenie prędkości.

MARYLA RODOWICZ O PLAYBACKU

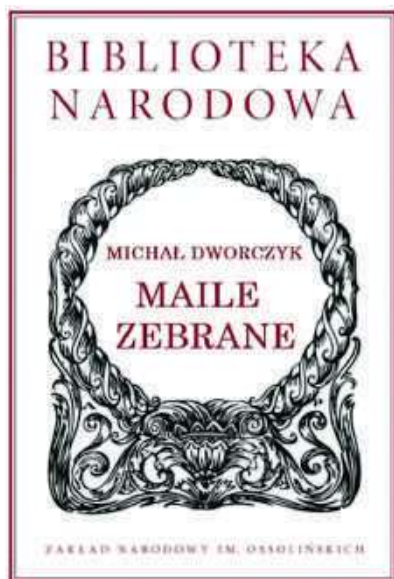
Koncertów nie gram z playbacku, muzyka to emocje. I życie to emocje.

MAGDALENA RÓŻCZKA O WODZIE

Szklaną butelkę mam zawsze przy sobie, by nie kupować wody w plastikowych opakowaniach i nie zaśmiecać planety.



Najnowsza kolekcja projektantki Jingyi Jin prezentowana podczas chińskiego Tygodnia Mody.



Źle się siedzi w państwie duńskim

Dania zamierza walczyć z przeludnieniem więzień, posyłając część skazanych do cel wynajętych w Kosowie. Realizacja umowy, na mocy której rząd w Prisztinie zagwarantuje duńskiemu wymiarowi sprawiedliwości 300 miejsc w zakładzie karnym w Gnjlane, rozpocznie się w 2023 r. Do wspomnianego przybytku będą trafiać obywatele krajów nienależących do UE, których skazano na deportację po odbyciu wyroku. Uniemożliwiając takim osobom odsiadkę w kraju Hamleta, jego władze chcą im dobitnie zakomunikować, że nie mają w nim przyszłości. Projekt wywołał kontrowersje: jedni uważają go za strzał w dziesiątkę, drudzy za, *nomen omen*, pudło.

Dać takiemu palec, a weźmie całą kasę

Dzięki nowym technologiom pewien Chińczyk okradł byłą dziewczynę za pomocą jej linii papilarnych i rysów twarzy. Odwiedził ekspertkę pod pretekstem zamiaru zwrotu długu. Kiedy zasnęła, za pomocą należącego do niej smartfona wyczyścił konto. By odblokować urządzenie, wystarczyło położyć na nim palec kobiety, by zalogować się do aplikacji płatniczej – podnieść jej powieki i skierować na nią kamerę. Gdy ofiara obudziła się i zobaczyła historię przelewów, powiadomiła policję. Złodziej został złapany i skazany na trzy i pół roku więzienia, a „kradzież na ładną buzię” zapewne zostanie dopisana do chińskiego kodeksu karnego.

Przez lukę do puszek?

O sporym pechu może mówić 18-letnia bydgoszczanka, która o możliwość pożyczania lufki (w domyśle: do palenia trawki) zapytała przez okno kierowanego przez siebie auta najgorsze możliwe osoby – policjantów. Funkcjonariusze pełniący służbę w nieoznakowanym radiowozie zamiast szklanego akcesorium wyjęli legitymacje, a następnie przeszukali dziewczynę i jej kolegę. Nastolatka miała przy sobie marihuanę, a narkotest wykazał, że zażyła kokainę. Straciła prawo jazdy, odpowie też za kierowanie pojazdem pod wpływem narkotyków i za ich posiadanie. Kto pyta... czasem napyta sobie biedy.

I ty, gadżecie, przeciwko mnie?

Gadżety mające chronić przed rzekomym szkodliwym wpływem sieci komórkowej 5G okazały się radioaktywne. Mowa o aż dziesięciu produktach, m.in. masce do spania, naszyjniku i dziecięcej bransoletce. „Nie noś ich nigdy więcej”, zaapelował ANVS, czyli holenderski urząd ds. bezpieczeństwa i ochrony przed promieniowaniem. W dzisiejszych czasach nikomu nie można ufać, nawet producentom magicznych naszyjników...

Internet i koperta tylko dla zaszczepionych

Firma Diament, dostarczająca internet na tódzkim osiedlu Zarzew, poinformowała, że nie będzie podłączać do sieci osób, które nie okażą certyfikatu szczepienia przeciw COVID-19. Jej właściciel Jakub Hubert wyjaśnił, że zgodnie z przepisami ma obowiązek zapewnić bezpieczeństwo swoim monterom. Odpowiedzialnością wykazał się także biskup elbląski Jacek Jezierski, który poinformował wiernych, że mają prawo upewnić się, że ksiądz chodzący po kolędzie ma paszport covidowy. Wskazał ponadto, że kapłan odwiedzający parafian powinien mieć maseczkę, dezynfekować ręce oraz zachowywać dystans, a wizyta powinna trwać maksymalnie 15 minut. Serdecznie witamy w antywirusowej koalicji!

(Nie)spor(czakow)y sukces!

Grupa fizyków jako pierwsza na świecie wprowadziła wielokomórkowe zwierzę, konkretnie miniaturowego niesporczaka, w stan tzw. kwantowego splątania. Ponieważ zaburzyć go może nawet



Bawią się jak pies z kotem.

pojedynczy kwant promieniowania cieplnego, na potrzeby eksperymentu nie-sporczaki schłodzone do temperatury zaledwie o jedną setną stopnia wyższej od zera bezwzględnej. Dwóch bohaterów nie przeżyło całej procedury, trzeci po ogrzaniu wrócił na ten świat. Niewiele z tego rozumiemy, ale w imieniu ludzkości dziękujemy bezimiennym pionierom, którzy w naszych sercach zajmą miejsce zaraz obok Łajki oraz Biełki i Strietki.

Skasować (i zjeść) stres

Przed świętami w berlińskim metrze pojawiły się jadalne bilety dobowe z olejem z konopi. – W ten sposób możesz bezproblemowo podróżować przez cały dzień, a następnie po prostu połknąć świąteczny stres wraz z biletem – wyjaśniało tamtejsze przedsiębiorstwo komunikacji miejskiej, BVG. Akcję należy raczej traktować w kategorii żartu, gdyż zastosowany olejek nie zawierał psychoaktywnego THC ani nawet legalnego CBD, znanego z właściwości relaksujących. Po firmie działającej w podziemiu spodziewaliśmy się większej odwagi...

Z roku na rok coraz ciekawszy

TYGODNIK

ANGORA

ZMYŚŁOWA
ROZKOSZ
CZYTANIA



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeгляд@tygodnikprzeгляд.pl

tygodnikprzeгляд.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański

e-mail: j.domanski@tygodnikprzeгляд.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:

Paweł Dybicz e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępcy redaktora naczelnego:

Roman Kurkiewicz e-mail: r.kurkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Robert Walenciak e-mail: r.walenciak@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:

Joanna Wielgat e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretarz redakcji: Agata Gogońkiewicz

e-mail: a.gogonkiewicz@tygodnikprzeгляд.pl

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

e-mail: a.panko@tygodnikprzeгляд.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków),
Anna Brzeska, Marek Czarkowski, Regina Dachówna
(Zielona Góra), Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Beata Igielska, Leszek Konarski (Kraków),
Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork),
Paula Leśniewska, Maja Markłowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini,
Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski,
Jan Ordynski, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski,
Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk,
Małgorzata Szczepańska-Piszczyk (Bydgoszcz),
Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski,
Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan,
Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski,
Beata Znamirska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski,
Andrzej Szahaj, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,

Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Zuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeгляд.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeгляд.pl

Koordynator ds. komunikacji i PR:

Piotr Ciszewski e-mail: p.ciszewski@tygodnikprzeгляд.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Izabela Strupieczowska

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeгляд.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeгляд.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeгляд.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.

07-200 Wyszów, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Stanisław Zalewski, Martwa natura z lalką



Agnieszka Sandomierz, Bez tytułu

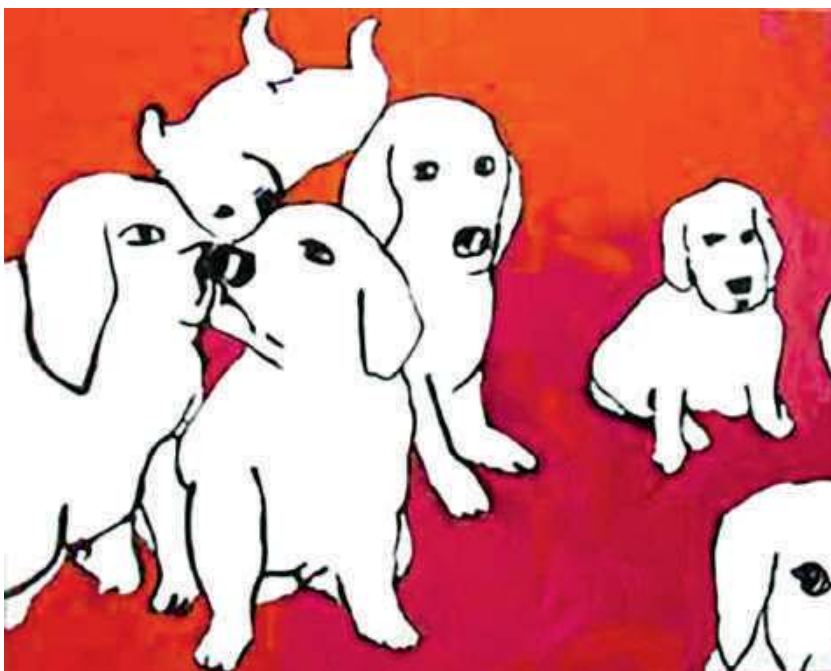
My i psy, psy i my



Ryszard Woźniak, Strażnik doliny

Psy są wyjątkowo chętnie podejmowanym przez artystów tematem. Motyw ten jest wszechobecny w sztuce na przestrzeni wieków. Ekspozycja zaplanowana została jako szeroka panorama sztuki polskiej, prezentująca zarówno obrazy, rysunki, jak i rzeźby, od XVIII w. po dzień dzisiejszy. Nie chodzi tu o klasyfikację psich wyobrażeń, ważna jest przyjemność płynąca ze spotkań z nimi, i estetyczna, i myślowa, bo rola psów w ludzkim otoczeniu, mimo że wciąż się zmienia, pozostaje nadzwyczaj ważna.

Państwowa Galeria Sztuki
Sopot, plac Zdrojowy 2
do 16 stycznia



Edward Dwurnik, Szczeniaki środa

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PODNECA
PROWOKUJE
OBRAŻA

BENEDETTA

REŻYSERIA

PAUL VERHOEVEN

(„NAGI INSTYKT”, „ROBOCOP”, „ELLE”)

VIRGINIE EFIRA
CHARLOTTE RAMPLING
DAPHNÉ PATAKIA
LAMBERT WILSON
OLIVIER RABOURDIN

OPARTY NA
PRAWDZIWEJ HISTORII

W KINACH OD 7 STYCZNIA



KONKURS GŁÓWNY
CANNES



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca

homework | Górsko, Siatkun

Radio Mariia

**Bednarek, Cichosz, Czerkaszyńska,
Dzikowska, Sarkisian, Stoczyński,
Wichowska, Zduńczyk**
premiera 13.01.2022
pokazy popremierowe: 14, 15, 16.01

Wyobraźmy sobie przyszłość. Wyobraźmy sobie niewyobrażalne. Na przykład: Kościół katolicki w Polsce zniknął. Nie ma już lekcji religii w szkołach ani pomników polskiego papieża w przestrzeni publicznej. Na plebaniach mieszkają uchodźcy, a kościoły zmieniły się w sale koncertowe (albo supermarkety). Jak do tego doszło i jakie są konsekwencje przełomu?

W styczniu gramy też:

Opowieści niemoralne

reż. Jakub Skrzywanek
7–9.01

Capri – wyspa uciekinierów

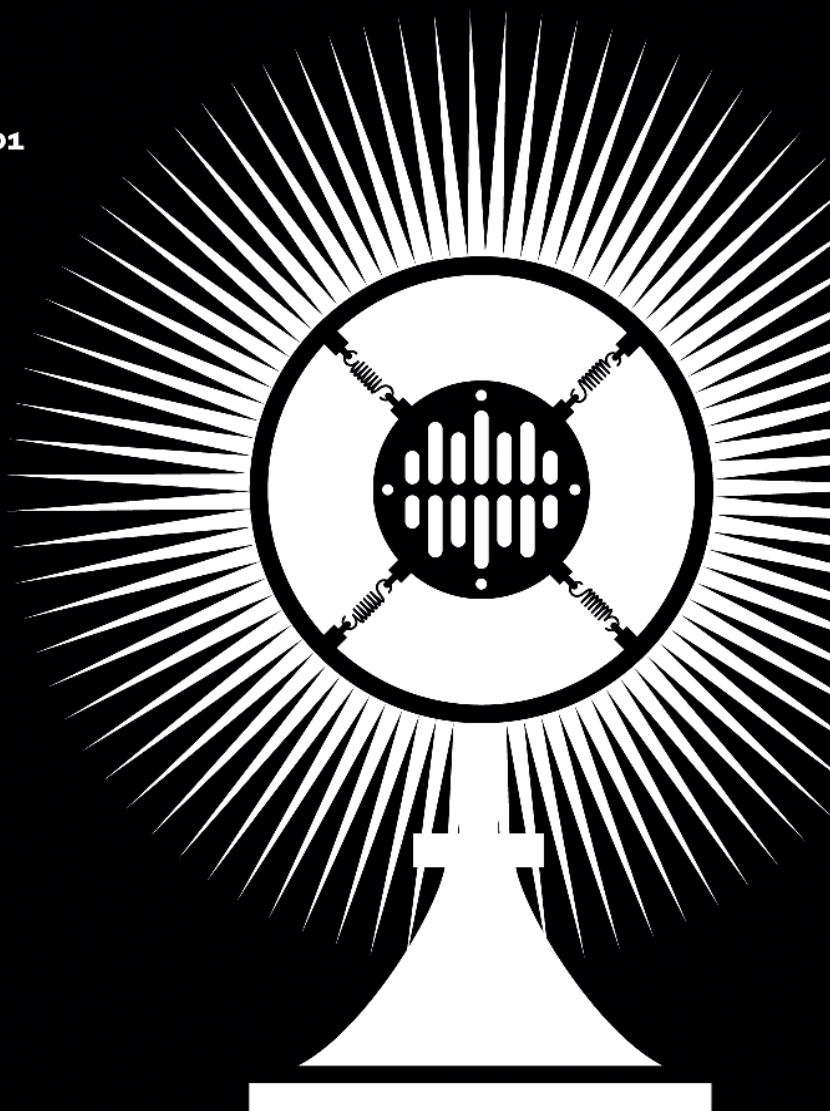
reż. Krystian Lupa
20–23.01

Strach żłierać duszę

reż. Agnieszka Jakimiak
25–27.01

Dobrobyt

reż. Árpád Schilling
28–30.01



Spektakl jest częścią europejskiego projektu „Face to Faith” organizowanego dzięki wsparciu z programu „Kreatywna Europa” Unii Europejskiej.

Face to Faith



Co-funded by the Creative Europe Programme of the European Union

Patroni medialni

wyborcza

wyborcza.pl
WARSZAWA

dojusto.pl

reflex